

FALA PRZEMOCY. DZIECI ZABIJAJĄ DZIECI



TAK GAŚNIE GWIAZDA MENTZENA



POLACY MAJĄ JUŻ DOŚĆ UNII?



POŻEGNANIE BOSKIEJ BRIGITTE

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

2 (684) 2026
5–11 stycznia 2026

CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

NIEZŁOMNY SĘDZIA O ZAMORDYSTYCZNEJ WŁADZY:

KRYPTO-DYKTATURA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

Numer w sprzedaży do 12 I 2026 r.

wPolsce 24

WIADOMOŚCI

codziennie
19:30
wPolsce 24

Najważniejszy program informacyjny w Polsce

Newsy, komentarze, opinie ekspertów



Piotr Pawelec

Marta Kielczyk

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	459	631	43
telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	inea	TOYA	evio

eprasa.pl ae11eb359b

10 postulatów za życiem

Polska znów znalazła się na światowym podium. Tym razem w sferze dzietności. Szybko gonimy Koreę Południową, w której kobieta rodzi statystycznie 0,7 dziecka. U nas w wielu powiatach jest nawet gorzej, a w skali kraju spadliśmy do poziomu poniżej 1,1 dziecka na kobietę. To katastrofa oznaczająca, że każde kolejne pokolenie będzie o połowę mniej liczne niż poprzednie. I marne to pocieszenie, że inne kraje europejskie, w tym radzące sobie do niedawna całkiem nieźle Czechy, też zmierzają ku przepaści. Także Węgry, prowadzące najbardziej spójną na świecie politykę prorodzinną, też odnotowują najgorsze w historii pomiary dzietności.

Ale jest też dobra wiadomość. Dramatyczne dane za zeszły rok po raz pierwszy wywołały szerszą reakcję społeczną – przynajmniej w mediach społecznościowych. To pierwszy sygnał przebudzenia, niosący nadzieję, że jednak nie umrzemy w ciszy, w samozadowoleniu między jedną a drugą zagraniczną wycieczką w dalekie kraje, kłócąc się o kwestie trzeciorzędne, wpatrując się w twarze celebrytów tak głupich, jak to tylko możliwe. Kto wie, być może ten liczący prawie 11 stuleci Naród podejmie walkę o biologiczne przetrwanie? Może zbudzi się z tego zaczadzenia, zanim będzie za późno?

Wiemy jedno: nie pomogą kolejne diagnozy na poziomie ogólnym, które sprowadzają się do tych samych wniosków co zawsze. Które wskażą na „złożony splot czynników kulturowych i ekonomicznych" i „konieczność prowadzenia spójnej, inteligentnej polityki wsparcia dzietności". Nie chodzi o to, że eksperci, ludzie szczerze przejęci sytuacją, nie mają racji – idzie o to, że z tych diagnoz niewiele wynika. Żaden plan działania, żadna droga ku jakiejś namacalnej nadziei. Prawda jest brutalnie prosta: mogą nas uratować tylko drastyczne, rewolucyjne działania. I choć są one bardzo trudne do wprowadzenia – dziś wręcz niemożliwe do wdrożenia – to uważam, że w nic innego nie ma sensu inwestować. Budujmy klimat prawdziwej zmiany, prawdziwie nowej drogi.

Od czego zacząć? Wypracujmy listę postulatów, które – jak sądzimy – mogą przynieść punkt odbicia. Myślmy odważnie, szeroko. Rozmawiajmy tak, jak nakazuje powaga sytuacji. Rozmawiajmy bez politycznej poprawności. Proponujmy. Ja proponuję na początek 10 postulatów:

1. Zakaz propagandy antyrodzinnej, która powinna być karana co najmniej tak surowo jak handel narkotykami, bo jej skutki są straszniejsze niż nawet twarde używki; 2. Przyjęcie założenia, że misją każdej kobiety i każdego mężczyzny jest posiadanie potomstwa; nie oznacza to piętnowania tych, którzy z różnych powodów nie mogą spełnić tego postulatu, ale wyznaczenie nowego systemu wartości społecznych; 3. Przyznanie rodzinom z dziećmi większych praw politycznych niż reszcie społeczeństwa (np. dodatkowy głos na każde dziecko pozostające pod opieką); 4. Progresywne programy socjalne, tzn. 800 zł na pierwsze dziecko, 1,6 tys. zł na kolejne, 2,4 tys. zł na trzecie itd.; 5. Wychowanie młodego pokolenia maksymalnie poza wpływem mediów społecznościowych (szkoły bez telefonów komórkowych, ograniczony wiekowo dostęp do mediów społecznościowych); 6. Wzmocnienie treści narodowych i wspólnotowych w edukacji szkolnej, a także większe nasycenie procesu edukacji zajęciami praktycznymi; 7. Obowiązkowe przeszkolenie wojskowe – rok dla wszystkich bez wyjątku, kobiety z możliwością wyboru służby w siłach wsparcia medycznego; 8. Powstrzymywanie laicyzacji życia społecznego; 9. Zaprzestanie wykorzystywania zagrożeń geopolitycznych i zdrowotnych jako narzędzi destabilizacji społecznej; 10. Przyjęcie założenia, że emigracja z Polski na stałe nie może być dalej postrzegana jako neutralna (czy wręcz pozytywna) dla losów narodu.



Przy niczym się nie upieram, czekam na lepsze pomysły. Ale nie możemy iść dalej tą drogą. Tym bardziej że radykalna lewica udowodniła nam w ostatnich dekadach, że społeczne postawy można kształtować bardzo swobodnie. Skoro udało się przekonać setki tysięcy ludzi, iż mogą zmienić płeć, skoro w milionach kobiet udało się zabić instynkt macierzyński, to można także wywołać postawy prorodzinne i prodzietnościowe.

Polityka w państwie demokratycznym jest grą o władzę, prowadzoną w warunkach, które istnieją. Ale w tym momencie dziejowym politycy obozu niepodległościowego muszą znaleźć w sobie odwagę do postawienia w centrum narodowej debaty kwestii dzietności. Naprawdę w centrum. Naprawdę radykalnie. Naprawdę na serio.

Jacek Karnowski

Autopromocja

SIECI spis treści



25 Niezgoda buduje
Stanisław Janecki



36 Pokój bliżej, ale wojna trwa
Marek Budzisz



63 Żyrafa Medyceuszy
Przemysław Barszcz

NA POCZĄTEK

5 **LEGENDA OKRĄGŁEGO STOŁU**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **UROCZYSTE POSTANOWIENIA**
Dorota Łosiewicz

9 **STRATEGICZNA NIGERIA**
Marta Kaczyńska-Zielińska

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **W CIENIU PODWYŻEK**
Daniel Obajtek

13 **MIASTO PAMIĘCI TŁUMIONEJ, PAMIĘCI ODZYSKIWANEJ**
Arkadiusz Mularczyk

13 **PAŃSTWO, KTÓRE OSTRZEGA PRZED WŁASNYM PREMIEREM**
Samuel Pereira

14 **WALIZKA WOJCIECHA WIŚNIEWSKIEGO**
Michał Korsun

16 **RECEPTA NA CHANDRĘ**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

18 **WIĘCEJ TAKICH SĘDZIÓW!**
Marek Pyza

KRAJ

22 **GAŚNIE GWIAZDA SŁAWOMIRA MENTZENA**
Piotr Gursztyn

25 **NIEZGODA BUDUJE**
Stanisław Janecki

28 **ROZCZAROWANI UNIĄ**
Konrad Kołodziejski

31 **WYPĘDZANIE DEMONÓW POSTKOMUNIZMU**
Maciej Walaszczyk

34 **GDY DZIECI ZABIJAJĄ DZIECI**
Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

36 **POKÓJ BLIŻEJ, ALE WOJNA TRWA**
Marek Budzisz

39 **CZY TRUMP OCALI PRZEŚLADOWANYCH CHRZEŚCIJAN?**
Jan Rokita

42 **KULEJĄCY KANCLERZ**
Aleksandra Rybińska

OPINIE

45 **PRL TO NIE BYŁA KOMEDIA**
Z Jackiem Piekarą rozmawia Jerzy Szmit

HISTORIA

48 **ZAKŁAD HRABIEGO SKARBKA**
Andrzej Skwarczyński

52 **JANINA SUCHODOLSKA – ZAPOMNIANA POLSKA BOHATERKA**
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

55 **OGIEŃ, POPIÓŁ I DZIKOŚĆ**
Jolanta Gajda-Zadworna

58 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

60 **BB, CZYLI BOSKA BRIGITTE**
Maciej Walaszczyk

NATURA DLA LUDZI

63 **ŻYRAFA MEDYCEUSZY**
Przemysław Barszcz

GOSPODARKA

66 **WSZYSTKIE KLĘSKI WICEPREMIERA**
Bartosz Życiński

NA KONIEC

67 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

68 **TAJEMNICA TAJEMNIC**
Robert Tekieli

70 **GDYBOLOGIA I RZECZYWISTOŚĆ**
Wojciech Reszczyński

71 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

72 **ŻYCZĘ SZKOLE…**
Aleksander Nalaskowski

73 **POLSKI SPORT JEST KOBIETĄ!**
Ryszard Czarnecki

74 **NIE PRZEKLIKAĆ ŻYCIA**
Katarzyna Zybertowicz

eprasa.pl ae11eb359b

BRONISŁAW WILDSTEIN

Legenda okrągłego stołu

Okrągły stół powędrował do Muzeum Historii Polski. Nic bardziej oczywistego. Decyzja prezydenta wywołała jednak dezaprobatę i protesty. Podnoszono, że w czasie wymagającym zgody narodowej i poczucia wspólnoty dzieli ona Polaków. Najbardziej oburzali się rzecznicy koalicji, która usiłuje zniszczyć opozycję i prześladuje ją wszelkimi dostępnymi sobie środkami.

Okrągły mebel był symbolem III RP i jej pierworodnej mistyfikacji. Do teraz przedstawiany jest jako emblemat pojednania i narodowej zgody. W rzeczywistości był próbą utrzymania władzy przez komunistów, namiestników ościennego reżimu, wrogów polskiej wspólnoty i tożsamości. Próbą do pewnego stopnia uwieńczoną sukcesem.

Władze PRL zdecydowały się dogadać z opozycją, gdy zrozumiały, że towarzysze z Moskwy nie będą w ich obronie interweniować. A sowiecki system narzucony został Polsce siłą Kremla i utrzymywany wyłącznie groźbą jej użycia. Wszyscy w komunistycznym bloku pamiętali interwencje w Berlinie, na Węgrzech, czy w Czechosłowacji.

Społeczeństwo polskie nie odważyło się zdecydowanie przeciwstawić stanowi wojennemu, obawiając się moskiewskiej inwazji. Jaruzelski prosił o nią rosyjskich towarzyszy, gdyby jego operacja nie odniosła sukcesu. Kiedy siedem lat później KC dowiedział się, że „braterska pomoc" nie wchodzi już w grę, a kraj pogrążał się w „katastrofie ekonomicznej" (słowa premiera M.F. Rakowskiego) i narastał bunt młodych, jedynym ratunkiem dla komunistów pozostało porozumienie z opozycją, która nie wiedziała o pękaniu komunistycznego bloku.

Nomenklatura próbowała wykorzystać dawny komunistyczny wybieg, czyli kooptację przeciwników. Pierwotnie usiłowała wymusić wspólną listę rządu i opozycji i tylko opór tej drugiej ją uniemożliwił. Ostatecznie przy okrągłym stole zalegalizowana została Solidarność i przygotowane zostały wybory, w których opozycja została dopuszczona do 35 proc. miejsc w Sejmie i do Senatu, który nie miał realnych uprawnień. Dodatkowym gwarantem dla nomenklatury była funkcja prezydenta dla Jaruzelskiego, który mógł rozwiązać parlament w dowolnym momencie.

W ówczesnych warunkach i przy stanie wiedzy opozycji wynik ten był osiągnięciem Solidarności. Tylko pojedynczy wizjonerzy jak Kornel Morawiecki, przekonani o tym, że system sowiecki się wali, wzywali do bojkotu komunistów. Co bardziej przenikliwi rzecznicy opozycji liczyli na dynamikę przemian i możliwość poszerzenia wynegocjowanego kompromisu.

Magdalenkowe porozumienia nie mogły mieć wiążącego charakteru. Prowadziły natomiast do zadzierzgnięcia aliansów, które wykreują establishment III RP i zablokują proces demokratycznych przemian. Pierwszym, niezwykle znaczącym tego aktem była zgoda na zmianę reguł wyborów w ich trakcie, bez czego komuniści – ofiary własnej propagandy – już wtedy utraciliby władzę. To wówczas Bronisław Geremek ogłosił jako obowiązującą opozycję maksymę *pacta sunt servanda*, czyli „porozumienia zobowiązują". Chodziło o ugodę z komunistami. Prowokowało to pytanie: wobec kogo czują się zobowiązani opozycyjni uczestnicy okrągłego stołu? Byli przecież reprezentantami narodu, do którego upodmiotowienia powinni dążyć. Jeśli bardziej czuli się związani układami z nomenklaturą, powinni ustąpić ze swoich stanowisk.

Niestety postawa ta pogłębiała się tylko. Blok sowiecki i komunizm rozpadały się, a rząd Mazowieckiego traktował porozumienia okrągłego stołu jak sakramenty. Nomenklatura nie tylko nie została rozliczona, ale pozostawała na uprzywilejowanych stanowiskach i po krótkim okresie paniki, kiedy nastąpiło załamanie się tego środowiska, a jego przedstawiciele gotowi byli zrobić wszystko dla ratowania własnej skóry, nastąpiła jego ponowna integracja. Nadal zajmowali kluczowe stanowiska w życiu społecznym: w gospodarce, sądownictwie, administracji, kulturze nawet. Po dokooptowaniu grupy solidarnościowych liderów stworzyli nową oligarchię, która opanowała te dziedziny w nowych już warunkach. W rzeczywistości, w której rozpaczliwie brakowało kapitału, to oni decydowali o jego przyznawaniu, jako dyrektorzy firm państwowych uwłaszczali się na ich majątku, kontrolując ośrodki opiniotwórcze dystrybuowali prestiż społeczny. Wspierały ich realnie niezmienione służby specjalne.

W tym stanie rzeczy o budowie rzeczywistej demokracji nie było mowy. Odbywały się wybory, ale środki, którymi dysponowali ich uczestnicy, były nieporównywalne. Nastąpiło porozumienie tzw. liberalnej części nomenklatury z liberalnymi elitami Solidarności, a więc realnie udał się manewr kooptacji tych drugich do postkomunistycznego układu. Naturalnie kosztem wielkiego ruchu Solidarności, czyli narodu.

Powstanie nowej oligarchii odzwierciedlało ewolucję całego europejskiego systemu i było przezeń wspierane. Miejmy nadzieję, że przeniesienie okrągłego mebla do muzeum symbolizować będzie głębsze zmiany nie tylko w Polsce.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl ae11eb359b



Sygnalista nadaje

Season greetings i happy holidays dla wszystkich osób czytelniczych z okazji neutralnych światopoglądowo świąt, w które także psiecka, psieci i i psieciątka mówą ludzkim głosem! Wesołej Chanuki i inne takie tam!

Bawcie się i świętujcie, ale nie traćcie czujności. W te święta nie udało nam się porozmawiać przy chanukowym stole o aresztowaniu Zbigniewa Z. czy innego ziobrystowskiego złoczyńcy. Jednak jak mówi stare praworządne powiedzenie: „Co ma być tymczasowo aresztowane, to zostanie przywiezione w bagażniku". Może nie w te święta, ale w któreś następne. Nie traćcie czujności: „Zbrodniarze czują się bezkarni, zdrajcy udają patriotów" – takie piękne życzenia złożył nam nasz premier ***Donald Franciszek Tusk***. I zadał pytanie: jak sobie poradzić z rosnącym złem? My wiemy – więcej wpisów w mediach społecznościowych, więcej filmików z wnukami i rysowaniem piesków, a wtedy pokonamy to zło.

A jakie zło? O tym mówią słowa starej chanukowej piosenki: wieść to straszna, wieść to smutna, Kaczor spisek knuje. Ale nic Donalda nie odstrasza, trollowaniem w internecie się cieszy! Jeśli zaś chodzi o tegoroczne happy holidays, to może i były droższe, ale za to bardziej skromne. Warto jednak zapłacić tę cenę, bo PiS nie rządzi.

Bo jeśli chodzi o niearesztowanie Zbigniewa Z., to nie można się czepiać prokuratury, że nie dostarczyła sądowi wszystkich dokumentów. Może nawet i lepiej, bo ostatnio w sądach głowę podnoszą sędziowie, których należy wylać na zbity pysk i zastąpić sędziami zaufanymi. Tak jak mówił minister ***Waldek Żurek***. Bo zdarzył się przecież przypadek, że jakiś pseudosędzia nie chciał wydać Europejskiego Nakazu Aresztowania za tym Romanowskim, który obżera się na Węgrzech zupą halászlé i opija tokajem. A na dodatek ten pseudosędzia (niestety nie jest neo-, tylko paleo-) napyskował, że w Polsce panuje kryptodyktatura. Nie należy tego wszystkiego traktować jako porażki ministra Waldka. Wiadomo, że tak miało być, bo walka o demokrację zaostrza się wraz z postępami we wprowadzaniu praworządności.

Wandal ***Nawrocki*** wyciął choinkę w lesie, który mógłby być parkiem narodowym, ale nie jest, bo wiadomo, że on by też to zawetował. Bezwstydnie pokazał kompletne lex Szyszko w sytuacji, gdy planeta płonie. Wprawdzie rząd premiera Donalda Franciszka pracuje nad nowym lexem, które pozwoli każdemu z nas wycinać niepotrzebne chaszcze w postaci drzew, ale co wolno demokracie, tego nie wolno Nawrockiemu. Zresztą ten domniemany prezydent wyciął chyba aż dwie choinki – jedną uśmiercił siekierą, a drugą piłą. Nawiązując do nauczania profesorki Środy, choinki też powinny mieć obywatelstwo. Nawrocki uśmiercił zatem dwie osoby choinkowe.

Ogłoszenia o pracę mają brzmieć neutralnie płciowo – zarządziła osoba ministerska ds. rodziny, singli i singielek, bezrobocia i innych takich głupot, czyli Aga Dziemianowicz-Bąk (ważna informacja: Aga nie jest związana z Józefem Bąkiem. Michał Tusk ma inną żonę). Od tej pory w ogłoszeniach ma być napisane: osoba stolarska, śmieciarska, żołnierska itp. Popieramy, bo oczywiście prawica się wścieknie, gdyż jak zwykle nie nadąża za postępem. Zwłaszcza za tym, że z powodu wzrostu cen energii i wyższych kosztów produkcji niedługo nie będzie żadnych ogłoszeń o pracę. Więc nie wiadomo, o co ta awantura!

eprasa.pl ae11eb359b

Przy okazji – dobrze by było, aby minister ds. rozliczeń i aresztów tymczasowych Waldek Żurek uregulował status osób sędziowskich. Można bowiem zauważyć częste zjawisko, że za tytułem „sędzia" kryją się osoby płci nieżeńskiej. To jawne zawłaszczenie kulturowe oraz misdżenderowanie, co jest niedopuszczalne w naszym inkluzywnym społeczeństwie. Dlaczego te osoby wstydzą się słowa „sędź"? Jednocześnie warto zaproponować, aby minister Waldek rozszerzył gamę kolorów dla osób paleo- i neosędziowskich. Obok przyszywanych do tóg trójkątów w barwach zielonej, żółtej i czerwonej warto chyba też pomyśleć o różowym.



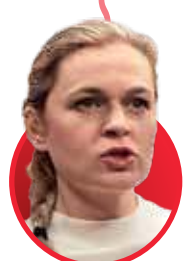
Niezła zgrywuska z tej ***Baśki Nowackiej***! Kto by pomyślał – bo o wszystko ją podejrzewano, ale nie o poczucie humoru. Pozory jednak mylą. „To jest dla nas największe wyzwanie, żeby młody człowiek nie marzył o byciu influencerem, instagramerem, ale marzył o byciu nauczycielką, nauczycielem" – Baśka naprawdę to powiedziała i są tego świadkowie, bo mówiła to w telewizji. To jest tak mocne i srogie, że można to podsumować jedynie zwięzłym: „No comments".



A teraz równie sroga rzecz: dużo wyklinaliśmy niejakiego Grigorija Brauna, a okazuje się, że może to być fajny facet o imieniu Grzegorz. Otóż ten charyzmatyczny i nieco kontrowersyjny polityk zagościł u towarzyszki panienki Moniki Jaruzelskiej. Nie pod willą w rocznicę 13 grudnia, lecz we wnętrzach podczas miłej rozmowy. Rzec można, że spotkały się dwie bratnie dusze. Nomen omen – pogoworit po duszam. Grzesiek komplementował Monikę, że po tatusiu ma żołnierski genetop. To miłe, choć nie wiemy, o co chodzi, bo Monika nie łysieje. Zaproponował jej też start w wyborach w ramach frontu gaśnicowego. Niestety nie dosłyszeliśmy odpowiedzi.



Jednak chwalimy ***Grzegorza Brauna*** nie tylko dlatego, że znalazł wspólny język z córką legendarnego żołnierza Wojciecha, lecz także za to, że ostro tam pojechał po Radiu Maryja. Zgromił je nie gorzej niż „Gazeta Wyborcza". Słuszną linię ma Konfederacji Korony Polskiej! Z jednej strony prokuratura dojeżdża tego strasznego dyrektora Rydzyka, a z drugiej Grzegorz mu dokłada. I tak ruka w ruku jest szansa, że dzięki takim inicjatywom jak Grzegorz i jego kamanda, Donald Franciszek będzie premierem także przez następną kadencję.



W czasie wizyty oficjalnej Grzegorza u towarzyszki panienki ważnym punktem było spotkanie z jamnikiem Loleczkiem, które odbyło się w bardzo dobrej atmosferze. Podczas spotkania z Loleczkiem został też wykonany telefon do eurodeputowanej Ewy „Pięć Gwiazdek" Zajączkowskiej. Rozmowa była miła, choć Loleczkowi mogła się nie podobać, bo gdyby Ewa się o nim dowiedziała, mogłaby zrobić to, co lubi najbardziej – czyli przerobić jamnika na futerko.



Słynny politolog Antoni „Kasandra" Dudek przestrzega. Tym razem nie przed tym bardzo niebezpiecznym Nawrockim, ale właśnie przed Grzegorzem. Coś tam, że ekstremizm, populizm i inne takie straszne rzeczy. To chyba jednak nie krytyka, ale męskie pieszczoty. Bo przecież Antoni i Grzegorz to rumaki z tej samej stajni, której koniuszym jest Janek Piński. Obaj drukują u niego książki, więc na pewno się też przyjaźnią. A stajnia to nie byle jaka, bo wszystkiemu patronuje tam Naczelny Koń Polski Uśmiechniętej, czyli sam Roman Giertych. Tak więc nie pomylcie małpki z kataryniarzem, czyli Janka z Romkiem.

Tyle było złych wiadomości dla PiS, ale wreszcie jest dobra. TVP w nieustannej likwidacji zapowiada nową superprodukcję. Będzie to sequel słynnego wiele lat temu filmu „Dramat w trzech aktach". To dzieło w pionierski sposób demaskowało najstraszniejsze zbrodnie kaczyzmu. Dzieło było arcydziełem, lecz niestety widzowie okazali się niedojrzali i zamiast potępić kaczystowskich zbrodniarzy, zagłosowali na nich i oddali władzę w ich ręce.

W związku z tym w kwaterze głównej partii kaczystowskiej zapanowało duże poruszenie. Kaczyści nie mogą się doczekać nowej wersji „Dramatu w trzech aktach", uważają bowiem, że dzięki niej znów wrócą do władzy.

PS Według nieoficjalnych informacji osobą reżyserską nowego serialu będzie ceniona twórczyni Dorota Obława-Augustowska. TVP (w likwidacji) nie potwierdziła oficjalnie tych doniesień.

Zbyt wolno idzie praworządne demokratyzowanie mediów, ale cieszmy się z tych sukcesów, które są. Porządki w Polsacie. Niejaki Zygmunt Solorz nie jest już właścicielem. A niejaki Rymanowski Bogdan został wpuszczony do kanału. Youtubowego, który wprawdzie ma większą widownię niż stary Polsat, ale za to lepiej się rozwija. Wszelkie sugestie, że to kara za to, jak został przeprowadzony wywiad z premierem Tuskiem, są całkowicie nieuzasadnione, a rozpowszechnienia tego typu pogłosek jest całkowicie haniebne. Prośba do czytelników, by w komentarzach domagali się, aby tego Rymanowskiego zastąpiła znana postać, czyli Jacula Murański. Brakuje nam jego głosu.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x3, RMF FM

eprasa.pl ae11eb359b

WIEŻA BAB

Uroczyste postanowienia

Pierwsze dni idą nieźle. Lodówka przechodzi detoks. W koszyku pojawia się jarmuż, karnet na siłownię kupiony. Przez chwilę czujemy, że tym razem się uda

1 stycznia świat wygląda inaczej. Ciszej. Czyściej. Bardziej obiecująco. Nawet powietrze ma w sobie coś z motywacyjnego cytatu, a człowiek – coś z bohatera poradnika „Nowe życie w 12 prostych krokach (najlepiej od jutra)". To jest ten moment, w którym wszyscy nagle wiedzą, kim chcą być. I co ważniejsze – kim absolutnie nie chcą już być.

Nie chcemy być grubsi, zmęczeni, rozdrażnieni, spłukani i uzależnieni od kanapy. Dlatego postanawiamy schudnąć. Postanawiamy jeść zdrowo, czyli rzeczy zielone, które wcześniej służyły głównie jako dekoracja talerza. Postanawiamy się ruszać – odważnie, dynamicznie, minimum trzy razy w tygodniu, a najlepiej codziennie, o świcie, przy wschodzie słońca i dźwiękach wewnętrznej harmonii.

Postanawiamy też więcej spać, choć nikt nie wie, kiedy, bo przecież trzeba jeszcze schudnąć, ugotować zdrową kolację, pobiegać, pomedytować i obejrzeć odcinek serialu (tylko jeden!). Obiecujemy sobie dbać o siebie – maseczki, kąpiele, afirmacja. Być milsi dla innych – szczególnie dla tych, którzy irytują nas najbardziej. Oszczędzać – pieniądze, czas, nerwy. Krótko mówiąc: zostać ulepszoną wersją siebie, najlepiej w wersji premium.

Pierwsze dni idą nieźle. Lodówka przechodzi detoks. W koszyku pojawia się jarmuż, którego nazwy nikt nie potrafi wymówić, dzieci patrzą nań z obrzydzeniem, bo wchodzi między zęby. Karnet na siłownię kupiony, buty sportowe patrzą z wyrzutem sumienia, ale z nadzieją. Budzik dzwoni wcześniej, a my nawet wstajemy. Przez chwilę czujemy, że to jest TO. Że tym razem się uda. Że poprzednie lata były tylko rozgrzewką.

A potem przychodzi połowa stycznia. Taki cichy, niepozorny dzień. Niby nic się nie wydarzyło, a jednak stało się wszystko. Najpierw jedno opuszczone „tylko dziś" ćwiczenie. Potem jedno „małe" odstępstwo od diety, bo przecież był stres. Albo urodziny. Albo wtorek. Sen skraca się sam, bez pytania. Medytacja przegrywa z doomscrollingiem. A oszczędzanie kończy się zdaniem: „Należy mi się".

W połowie stycznia nasze postanowienia wyglądają jak choinka po święcie Trzech Króli – trochę smutne, lekko opadające i ewidentnie do wyniesienia. Karnet na siłownię zmienia się w drogi magnes do portfela. Zdrowe produkty psują się w lodówce w ciszy i poczuciu niezrozumienia. A my wracamy do siebie – starych, sprawdzonych, lekko nieidealnych, ale za to bardzo konsekwentnych w byciu sobą.

Ale postanowienia mogliby mieć też politycy. Premier mógłby np. postanowić mówić prawdę. Albo przestać planować 100 rzeczy na 100 dni, skoro większość i tak zostaje na później. Ale to dokładnie tak, jak obiecywać schudnięcie i codzienne bieganie po świątecznych pierogach. Szymon Hołownia w tym roku powinien postanowić jedno: nie robić wielkich planów. Nici z prezydentury i kariery międzynarodowej, ale wciąż zostaje płacz nad konstytucją. W tej roli Hołownia czuje się jak ryba w wodzie. Patos, wielkie słowa, troska, wzruszenie. A że konstytucja cierpi, demokracja krwawi, łzy są na miejscu jak nigdy wcześniej.

Władysław Kosiniak-Kamysz mógłby w tym roku postanowić przede wszystkim jedno: odnaleźć wyborców, bo ci zniknęli jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, choć zniknąć miały problemy. PSL znalazło się w sondażach poniżej progu wyborczego, co dla partii z ponadstuletnią historią jest sytuacją, delikatnie mówiąc, niewygodną.

Włodzimierz Czarzasty mógłby postanowić, że już więcej nie będzie obiecywał, iż raz na zawsze koniec z kandydowaniem na stanowisko szefa partii, bo przecież obiecał, a i tak kandydował.

Mogliby postanowić, tylko po co? Skoro – jak wyżej napisałam – z postanowień i tak zostaje tylko wspomnienie. A już za 12 miesięcy przyjdzie kolejny nowy rok i znów będzie można sobie coś postanowić.

Dorota Łosiewicz

Strategiczna Nigeria



Marta Kaczyńska-Zielińska

W grudniu 2025 r. Stany Zjednoczone przeprowadziły uderzenia militarne w północno-zachodniej Nigerii skierowane przeciwko bojownikom związanym z Państwem Islamskim (ISIS) oraz pokrewnymi grupami ekstremistycznymi działającymi na obszarach Sahelu i granicznych regionach Afryki Zachodniej. Prezydent USA ogłosił, że był to atak wymierzony w terrorystów mordujących m.in. chrześcijan. Uderzenia nastąpiły w koordynacji z rządem nigeryjskim.

Obecność ISIS w Afryce Zachodniej jest zjawiskiem destrukcyjnym dla społeczeństw regionu, a także dającym pewne pośrednie korzyści kilku aktorom politycznym, militarnym i ekonomicznym, wynikające z dynamiki chaosu i osłabiania państw. Beneficjentem są m.in. zewnętrzni dostawcy bezpieczeństwa – przede wszystkim państwa i podmioty oferujące szkolenia wojskowe, broń, doradców i „ochronę reżimów". Dotyczy to głównie Rosji, która wykorzystuje zagrożenie dżihadystyczne w części Afryki do wypierania wpływów Zachodu i zawierania transakcyjnych sojuszy z lokalnymi władzami. Pośrednio korzystają również Chiny, choć w bardziej subtelny sposób. Nie wspierają one ISIS ani przemocy, ale niestabilność osłabia pozycję Zachodu i podważa atrakcyjność liberalnego modelu rozwojowego. W efekcie rządy regionu chętniej sięgają po chiński model współpracy: inwestycje infrastrukturalne i kredyty bez dodatkowych warunków politycznych. ISIS nie jest więc narzędziem Chin, lecz elementem, który ułatwia Pekinowi wejście gospodarcze tam, gdzie Zachód traci wpływy.

Z punktu widzenia Zachodu Nigeria zajmuje znacznie ważniejsze miejsce, niż sugerowałaby to kategoria „państwa Globalnego Południa". Państwo to jest bowiem największym krajem Afryki pod względem liczby ludności, jedną z największych gospodarek kontynentu oraz kluczowym filarem stabilności Afryki Zachodniej. Dla Zachodu znaczenie Nigerii ma zatem charakter strategiczny. Kraj jest jednym z głównych producentów ropy naftowej i gazu ziemnego w Afryce, a jego zasoby od lat stanowią element dywersyfikacji dostaw dla Zachodu. Dla USA Nigeria była ważnym dostawcą ropy spoza Bliskiego Wschodu, natomiast jej znaczenie dla UE wzrosło szczególnie po 2022 r., gdy konieczne stało się ograniczanie zależności energetycznej od Rosji.

Nigeria jest naturalnym liderem Afryki Zachodniej – posiada największy potencjał demograficzny, gospodarczy i militarny w regionie. Od jej stabilności zależy równowaga w pasie od Zatoki Gwinejskiej po Sahel. Odgrywa rolę zapory przed rozlewaniem się niestabilności wywołanej zamachami stanu, konfliktami wewnętrznymi i rywalizacją mocarstw zewnętrznych. Jej osłabienie oznacza powstanie próżni strategicznej, którą szybko wypełniłyby Chiny i Rosja. Stabilność kraju przekłada się na bezpieczeństwo Zatoki Gwinejskiej – jednego z newralgicznych szlaków morskich świata, zagrożonego m.in. piractwem. Z perspektywy Europy i USA Nigeria stanowi więc pierwszą linię obrony przed niebezpieczeństwami, które mogłyby przeniknąć poza region. Ze względu na swoją ogromną i młodą populację jest to jedno z kluczowych państw pochodzenia migrantów z Afryki. Stabilna, rozwijająca się Nigeria oznacza ograniczenie presji migracyjnej, a kryzys w niej mógłby wpłynąć na znaczący wzrost migracji. Nigeria to także jeden z największych potencjalnych rynków konsumenckich świata, z dynamicznymi sektorami finansowym i technologicznym. Dla zachodnich firm stanowi zarówno rynek zbytu, jak i potencjalne zaplecze produkcyjne w ramach dywersyfikacji globalnych łańcuchów dostaw. Jej industrializacja mogłaby w dłuższej perspektywie zmniejszyć zależność Zachodu od Azji.

Formalnie Nigeria posiada ustrój demokratyczny i balansuje między Zachodem a Chinami. Pogrążenie jej w niestabilności lub trwałe przesunięcie w kierunku autorytarnych partnerów wzmocniłoby narrację rywali Zachodu, że liberalny model rozwojowy nie jest skuteczny. Nigeria jest więc dla Zachodu kotwicą stabilności regionalnej, elementem bezpieczeństwa energetycznego, barierą przed migracją oraz ekstremizmem, a także kluczowym polem rywalizacji geopolitycznej i ideologicznej.

REKLAMA



29/1225/F

eprasa.pl ae11eb359b

Stare, dobre czasy


Wielka Brytania

Brytyjczycy są dziś jednym z najbardziej rozczarowanych narodów. Ich zdaniem w ciągu ostatnich 50 lat życie na Wyspach zmieniło się na gorsze. Nawet ci, którzy przyszli na świat po 1975 r., uważają, że ludzie byli kiedyś szczęśliwsi, a większość w ogóle żałuje, iż nie urodziła w tamtych czasach. Ok. 63 proc. z nich sądzi, że w latach 70. ich kraj był dobrym miejscem do życia, a jedynie 12 proc. ankietowanych ma odmienne zdanie.

Badanie przeprowadziła międzynarodowa pracownia Ipsos. To już kolejny sondaż pokazujący głębokie poczucie niepokoju i niezadowolenia wśród rdzennych mieszkańców Wielkiej Brytanii. W innym badaniu, wykonanym przez Uniwersytet Londyński, aż 86 proc. ankietowanych było przekonanych o głębokich podziałach społecznych i napięciu narastającym pomiędzy imigrantami a rodowitymi Brytyjczykami. Poczucie to podzielają zwolennicy wszystkich partii politycznych i grup etnicznych. Połowa z nich twierdzi również, że zmiany nastąpiły zbyt szybko, były niepotrzebne i należy wrócić „do tego, jak było kiedyś". Aż 67 proc. badanych zgadza się też z twierdzeniem, że wokół toczy się „wojna kulturowa". Wzrosła także liczba osób, które uważają, że prawa osób transpłciowych poszły zbyt daleko, a to, co jest określane jako pojęcie „woke", stało się obciachem i jest traktowane jako obelga.

Pod względem nostalgii za „starymi, dobrymi czasami" przodują jednak Francuzi, spośród których aż 57 proc. chciałoby cofnąć czas do 1975 r. Marine Le Pen jest przez nich identyfikowana jako „kobieta lat 80.", wprost z piosenek Michela Sardou, a Éric Zemmour budzi nostalgię za złotą przeszłością dzięki piosenkom śpiewanym przez Jane Birkin, ikonę lat 60. i 70.

Wszędzie katalizatorem wielkiego rozczarowania jest masowa pozaeuropejska imigracja, która wywołała utratę poczucia bezpieczeństwa, także socjalnego. Europejczyków niepokoi też upadek przemysłu oraz wyludnienie terenów wiejskich. Z badań wyłania się tęsknota za stabilizacją, jaką niosła epoka państwa narodowego – z pełnym zatrudnieniem, dobrobytem, pokojem i bezpieczeństwem. Poczucie rozpadu ma konsekwencje polityczne, stając się szansą dla wszystkich „populistycznych" i „nostalgicznych" partii prawicy. Droga do władzy jest teraz dla nich otwarta.

Maciej Walaszczyk

Nowa opozycja bardziej ugodowa


Białoruś

Wiktar Babaryka i Maryja Kalesnikawa, zwolnieni niedawno z więzień liderzy białoruskich protestów z 2020 r., wezwali do „zmniejszenia izolacji" społeczeństwa białoruskiego i „odbudowy związków" Białorusi ze światem. Ten apel został sformułowany po ich spotkaniu z niemieckim ministrem spraw zagranicznych Johannem Wadephulem. Opowiedzieli się oni również za stopniowym zniesieniem sankcji oraz włączeniem się państw europejskich do negocjacji z Mińskiem, które miałyby prowadzić do poprawy relacji.

Deklaracja ta wywołała konsternację w środowisku białoruskiej emigracji i jest odczytywana jako próba zdystansowania się od linii Swiatłany Cichanouskiej i Pawła Łatuszki, którzy domagają się utrzymania, a nawet zaostrzenia sankcji. Nadziei na skłócenie opozycji nie kryje sam Łukaszenka, który dał do zrozumienia, iż liczy na konflikt w gronie diaspory. Jego przemówienie było zresztą w sporej części poświęcone programowi opozycji, co zdaniem komentatorów może wskazywać, że starzejący się dyktator obsesyjnie śledzi życie swoich przeciwników i nadal obawia się rebelii przeciwko reżimowi. Łukaszenka zapowiedział też „wielkie porozumienie" ze Stanami Zjednoczonymi, zniesienie sankcji, a nawet spotkanie z amerykańskim prezydentem. Ujawnił też, iż przedstawiciele resortów siłowych byli przeciwnikami zwolnienia z więzień liderów opozycji.

Niektórzy komentatorzy obawiają się, że Babaryka, który podczas protestów w 2020 r. (zanim został aresztowany) prezentował znacznie mniej radykalne stanowisko niż Serhij Cichanouski, zostanie teraz wykorzystany przez reżim – tym bardziej że jego syn ciągle jest przetrzymywany w więzieniu i można go uznać za zakładnika Łukaszenki. Białoruski emigracyjny politolog Artiom Szrajbmann zwraca też uwagę, że Babaryka i Kolesnikawa podczas pierwszej po zwolnieniu z więzienia rozmowy politycznej, którą odbyli z premier Litwy Ingą Ruginienė, prezentowali bardzo stonowane stanowisko w porównaniu z dotychczasową „nieprzejednaną" linią Cichanouskiej i Łatuszki. Wejście do polityki zwolnionych liderów protestów 2020 r. może zatem oznaczać nie tylko ukształtowanie się bardziej kompromisowo nastawionego obozu, lecz także narastające podziały i kryzys w środowisku diaspory.

Marek Budzisz

eprasa.pl ae11eb359b

USA

Przyparci do muru



Stany Zjednoczone szukają sposobu, aby wyzwolić się z uzależnienia surowcowego od Chin. Chodzi przede wszystkim o metale ziem rzadkich, z których powstaje dziś niemal wszystko – od smartfonów i samochodów po pociski rakietowe.

Amerykanie osiągnęli niezależność energetyczną dopiero w początkach XXI w., gdy opracowano nową technologię produkcji ropy naftowej. Dzięki szczelinowaniu wyprzedzili gigantów naftowych, takich jak Rosja i Arabia Saudyjska, stając się największym producentem ropy na świecie. Dziś Biały Dom dąży do realizacji podobnego marzenia – tym razem z pierwiastkami ziem rzadkich. Jednak w przeciwieństwie do ropy i gazu jest niezwykle mało prawdopodobne, aby w najbliższym czasie Stany Zjednoczone opracowały innowacje, dzięki którym byłyby w stanie przezwyciężyć głęboki deficyt surowcowy – pisze agencja Bloomberg.

Metale ziem rzadkich tworzy rodzina 17 pierwiastków. 70 proc. wydobycia oraz 90 proc. ich rafinacji przypada na Chiny, co daje im niemal całkowitą kontrolę nad tymi strategicznymi minerałami. Stany Zjednoczone (podobnie jak reszta państw zachodnich) przez wiele lat zlecały Chinom produkcję metali ziem rzadkich, aby uniknąć wysokich kosztów wydobycia i rafinacji dla środowiska naturalnego. Okazało się to jednak śmiertelną pułapką.

Teraz Biały Dom chciałby odzyskać niezależność, ale będzie to bardzo trudne. W tej chwili w Stanach Zjednoczonych działa zaledwie jeden zakład wydobywający metale ziem rzadkich. To kopalnia na pustyni Mojave w Kalifornii, otwarta jeszcze w czasach zimnej wojny, potem – w 2000 r. – zamknięta i ponownie uruchomiona w 2017 r. Przedsiębiorstwo prowadzi wydobycie na potrzeby amerykańskiej gospodarki, przede wszystkim przemysłu zbrojeniowego. W minionym roku zakład wyprodukował 1 tys. t materiałów, ale to tylko niecały 1 proc. produkcji Chin. Nawet jeśli w ciągu następnej dekady produkcja wzrośnie dziesięciokrotnie, to nadal będzie stanowić zaledwie 7 proc. chińskiej. Co więcej, kopalnia na pustyni Mojave wydobywa jedynie część poszukiwanych pierwiastków. Trwają przymiarki do otwarcia drugiej – tym razem w Nebrasce.

Próbą znalezienia rozwiązania jest odzyskiwanie metali ziem rzadkich ze złomu lub zastąpienie strategicznych pierwiastków innymi surowcami. Jednak certyfikacja nowej technologii zajmie wiele lat, zanim będzie można ją zastosować w przemyśle. Ostatnią deską ratunku są więc inwestycje zagraniczne. Amerykanie sfinansowali niedawno projekty wydobywcze i przetwórcze w Arabii Saudyjskiej oraz Australii. O ich determinacji dobrze wiedzą Rosjanie, dlatego Putin zwodzi dziś Trumpa wspólnymi przedsięwzięciami. Pytanie, czy zdesperowana Ameryka złapie tę przynętę.

Konrad Kołodziejski

Konserwatywna fala

Honduras



Nowym prezydentem Hondurasu został 67-letni Nasry Asfura, stojący na czele prawicowej Partii Narodowej. Choć jest wnukiem palestyńskich imigrantów, pozostaje gorliwym katolikiem. Jego głównym rywalem był 72-letni Salvador Nasralla, mający libańsko-arabskie korzenie, prezentujący poglądy konserwatywno-liberalne i deklarujący się jako pobożny chrześcijanin. Obaj kandydaci oparli swoją kampanię wyborczą na krytyce ideologii lewicowej i formacji socjalistycznej, którą reprezentowała dotychczasowa prezydent Xiomara Castro.

Choć wybory odbyły się 30 listopada, to na oficjalne wyniki trzeba było czekać aż do 24 grudnia. Wyścig między dwójką głównych pretendentów był tak zacięty, że wyłonienie zwycięzcy wymagało niecodziennej procedury: 15 proc. głosów (setki tysięcy) przeliczono ręcznie, transmitując to na żywo w telewizji. Ostatecznie Asfura pokonał Nasrallę różnicą 0,8 proc. głosów. Obaj politycy są jednak skazani na współpracę, ponieważ w wyborach parlamentarnych ich partie zdobyły wspólnie 90 mandatów w 128-osobowym Kongresie. Oznacza to większość konstytucyjną dla prawicy.

Wyniki okazały się całkowitą klęską dla rządzącej lewicy. Ustępujący przewodniczący parlamentu Luis Redondo z socjalistycznej partii Libre oświadczył, że wybory były „całkowicie nielegalne" i „nie mają żadnej wartości", jednak jest to tylko pusta retoryka. Nowy rząd może liczyć za to na wsparcie USA. Podczas kampanii dwaj główni pretendenci do fotela prezydenckiego deklarowali się jako zwolennicy prezydenta Trumpa, który ostatecznie poparł Asfurę.

Wydarzenia w Hondurasie to dalszy ciąg konserwatywnej fali, która rozpoczęła się w 2023 r. po spektakularnym triumfie Javiera Milei w Argentynie. Potem nastąpiła seria zwycięstw prawicowych kandydatów w wyborach w Paragwaju, Ekwadorze, Boliwii i Chile. Wydaje się, że dla mieszkańców Ameryki Łacińskiej groźnym memento pozostaje los Wenezueli, która na skutek długoletnich rządów lewicy z zamożnego kraju stała się najbiedniejszym państwem na kontynencie.

Grzegorz Górny

Fot. Shutterstock x2, wikipedia, domena publiczna

eprasa.pl ae11eb359b

W cieniu podwyżek

Święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok zawsze dają chwilę na oddech, kiedy rodziny spotykają się przy wigilijnym stole, a tempo życia zwalnia. W 2025 r. Polacy próbowali złapać ten moment spokoju, ale rachunki szybko przypomniały o sobie i popsuły świąteczny nastrój. Rząd z premierem na czele powtarzał mantrę stabilności, jednak drożyzna w sklepach i na stacjach benzynowych sprawiła, że nawet karp stał się luksusem. Inflacja w listopadzie 2025 r. zatrzymała się na poziomie 2,5 proc. rok do roku, co brzmi jak drobiazg, ale koszty życia idą w górę, głównie z powodu cen energii. Narodowy Bank Polski szacuje, że w 2025 r. inflacja CPI dojdzie do 3,7 proc., a w 2026 r. spadnie do 2,9 proc., jednak te liczby ukrywają prawdziwe ciosy dla domowych budżetów. Święta zamieniły się w festiwal oszczędzania, bo rząd nie zdołał zahamować lawiny podwyżek, które uderzają w zwykłych ludzi.



Od stycznia 2026 r. rachunki za prąd pójdą w górę, bo kończy się rządowe mrożenie cen. Minister energii przekonuje, że wzrost nie sięgnie 50 proc., ale stawki na 2026 r. oscylują wokół 500 zł za MWh, co oznacza realne podwyżki dla każdego domu. Bez osłon rządowych miesięczne opłaty podskoczą o kilkadziesiąt złotych, a eksperci ostrzegają, że bez dalszych interwencji ceny prądu przebiją poziom z 2025 r. Ceny ciepła też rosną, ponieważ bon ciepłowniczy na 2026 r. jest dostępny tylko dla nielicznych – gospodarstw o niskich dochodach, korzystających z ciepła systemowego – a wniosek trzeba było złożyć do 15 grudnia. Bez niego ogrzewanie stanie się droższe, a rząd przedłużył termin składania oświadczeń o zamrożeniu cen dla małych i średnich firm do 30 czerwca 2026 r. To jednak tylko chwilowa ulga, bo koszty życia pędzą.

Ta fala drożyzny nie wzięła się znikąd, lecz z brukselskich pomysłów na klimat i energię, które rząd realizuje z entuzjazmem godnym lepszej sprawy. Europejski Zielony Ład z pakietem Fit for 55 i REPowerEU wymusza odejście od węgla i gazu, co windowało koszty energii w Polsce.

Teraz dochodzi nowy hit – system, który obejmie budynki i transport (jakby mało było dotychczasowych obciążeń), a opóźnienie do 2028 r. w razie wysokich cen energii to marna pociecha. Mechanizm ten nałoży cenę na emisje z ogrzewania domów i jazdy samochodem, co podbije rachunki o co najmniej kilkaset złotych rocznie, a wielu – o tysiące złotych. Unijni urzędnicy obiecują przyspieszenie transformacji, ale tak naprawdę nie oznacza to nic innego jak transfer kolejnych kosztów na obywateli, bo firmy energetyczne po prostu doliczą wszystko do faktur, podsycając inflację. Rząd, zamiast walczyć o wyjątki, kiwa głową na zgodę, fundując nam kolejne podatki ukryte pod płaszczykiem ekologii, co brzmi jak żart, bo kto lubi płacić więcej za ciepło zimą.

Nie lepiej wygląda sprawa z unijnym nakazem modernizacji budynków, zgodnie z którym domy muszą być przerobione na zeroemisyjne cuda, jakby każdy Polak miał worek pieniędzy na ocieplenia i nowe instalacje. Wdrożenie tego nakazu do maja 2026 r. w Polsce pochłonie – według szacunków – 2,5 bln zł na dostosowanie całego budownictwa, co oznacza setki miliardów złotych rocznie z kieszeni podatników. Nowe klasy energetyczne wymuszą remonty, a koszty dla jednego domu sięgną dziesiątek tysięcy złotych – bez gwarancji, że to się opłaci. Unia wymaga wypełnienia luki inwestycyjnej na 150 mld euro rocznie w Europie, ale w Polsce, z naszymi starymi blokami i piecami, to recepta na bankructwo wielu rodzin. Rząd mógłby negocjować ulgi, ale woli wdrażać wszystko po kolei, jakby Bruksela wiedziała lepiej, jak grzać polskie mieszkania, co kończy się śmiechem przez łzy, gdy rachunek za remont przewyższa wartość domu.

Polacy zasługują na coś więcej niż puste zapewnienia. Rząd, zamiast chronić przed drożyzną, pcha unijne regulacje, które duszą gospodarkę i portfele. Święta przeszły w cieniu niepokoju, bo nowy rok niesie podwyżki zamiast ulgi. Gospodarka ma urosnąć o 3,5 proc. w 2026 r. – to miraż, bo koszty życia zjedzą wszelkie korzyści. Rząd mógł renegocjować cele klimatyczne, ale wybiera uległość wobec Brukseli, czyniąc Polskę pionkiem w zielonej grze.

Cała nadzieja w zjednoczonej opozycji, która musi jak najszybciej przejąć stery i zahamować tę brukselską machinę. Sondaże pokazują, że Polacy mają dość, a prawica, jeśli dojdzie do władzy, przywróci sens w energetyce, odrzucając te absurdalne systemy i skupiając się na tanich, praktycznych rozwiązaniach, by rachunki wreszcie spadły.

W nowym roku życzę wszystkim wytrzymałości na te brukselskie prezenty, a rządzącym chwili refleksji, bo nadzieja umiera ostatnia. Może 2026 r. zaskoczy pozytywnie, zanim drożyzna pochłonie resztki świątecznego optymizmu.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl ae11eb359b

Miasto pamięci tłumionej, pamięci odzyskiwanej

Wizyta prezydenta Karola Nawrockiego w Poznaniu podczas uroczystości wybuchu powstania wielkopolskiego była wydarzeniem przełomowym. W mieście od lat zdominowanym przez obóz antypolski padły słowa o dumie, ciągłości i suwerenności – i spotkały się z gorącym przyjęciem. Owacje w Poznaniu – w takim Poznaniu – nie są normą. Dlatego były tak wymowne. I dlatego tak bardzo przeszkadzały tym, którzy wolą uciekać od polskiej historii.

To nie jest przypadek, że właśnie tu obóz patriotyczny ma dziś wyjątkowo trudno. Wielkopolska była przecież jednym z najsilniejszych bastionów obozu narodowego, zapatrzonego w Romana Dmowskiego i etos pracy organicznej. Z tego fundamentu wyrósł sukces zwycięskiego powstania wielkopolskiego. Niemcy doskonale wiedzieli, kogo trzeba zniszczyć, by ten duch nie odrodził się ponownie. Podczas II wojny światowej wymordowali powstańców, ich rodziny i środowiska podtrzymujące polską tożsamość. Przerwali ciągłość. Zostawili pustkę.

Dlatego tak symboliczna jest sprawa Muzeum Powstania Wielkopolskiego. To państwo polskie za naszych rządów decyzją wicepremiera prof. Piotra Glińskiego rozpoczęło współfinansowanie tej inwestycji z budżetu centralnego. Państwo wzięło odpowiedzialność za pamięć. Tymczasem władze lokalne przez długi czas zwlekały z decyzjami, jakby zwycięskie powstanie stanowiło kłopot, a nie fundament tożsamości miasta. To bardzo wiele mówi o priorytetach ludzi rządzących dziś Poznaniem.

Dzisiejszy Poznań jest miastem, w którym dominują środowiska PO i lewicy, a obóz Tuska ma poparcie większe niż w Gdańsku czy we Wrocławiu. To miasto, w którym łatwiej atakować tych, którzy mówią o polskiej historii, niż wziąć udział w jej upamiętnianiu.

Symboliczne było też to, że Tusk nie pojawił się w Poznaniu w dniu tak ważnym dla naszej historii. Nie było go na uroczystościach, zabrakło refleksji i szacunku. Był za to szybki, nerwowy atak na prezydenta Nawrockiego. To charakterystyczne: brak obecności, wybuch pogardy. Podobnie kilka lat temu prezydent miasta z PO Jacek Jaśkowiak nie pojawił się na obchodach rocznicy wybuchu powstania wielkopolskiego, za to pokazywał w internecie, jak się wyleguje na kanapie.



I właśnie dlatego tak ważne było to, co wydarzyło się teraz. Gorące przyjęcie Karola Nawrockiego pokazało, że Poznań to nie tylko bastion obozu antypolskiego. To także miasto ludzi, którzy pamiętają, kim byli powstańcy i co im zawdzięczamy. Ludzi, którym nie wszystko jedno. Duch powstania wielkopolskiego nie zginął. Był tłumiony, spychany i zagłuszany, ale nie zniknie.

Arkadiusz Mularczyk

Państwo, które ostrzega przed własnym premierem

„Nie bądź trollem w internecie" – ostrzegają w specjalnej kampanii Ministerstwo Cyfryzacji i NASK, zachęcając do walki z dezinformacją. Tymczasem ich szef staje się ekspertem w tej materii, każdego dnia dając nowy popis. Rząd, który ostrzega przed własnym premierem, to już nie jest paradoks – to diagnoza. Gdy władza zaczyna nieświadomie „orać" swojego lidera i jednocześnie próbuje kneblować tych, którzy myślą inaczej, wchodzimy w przestrzeń, w której demokracja staje się dekoracją, a nie ustrojem.



Samuel Pereira

Sprawa sądowej kompromitacji prokuratury w walce o areszt dla Zbigniewa Ziobry pokazała coś więcej niż zwykłe niedbalstwo – pokazała mentalność. Prokurator idzie do sądu bez pełnego materiału dowodowego, sąd zgodnie z prawem nie podejmuje decyzji, a telewizja rządowa, zamiast zapytać, dlaczego, oburza się, że sędzia śmiał zachować niezależność. Trudno o lepszą ilustrację tego, czym w praktyce jest „demokracja walcząca", o której marzy Donald Tusk i jego akolici.

W tej opowieści prawo staje się przeszkodą. Art. 249 Kodeksu postępowania karnego jest jednoznaczny: bez kompletu dowodów nie ma mowy o areszcie. To wiedza elementarna, dostępna każdemu obywatelowi. Ale w nowej logice władzy problemem jest nie brak dowodów, lecz to, że sąd nie chce uwierzyć na słowo. W idealnym świecie obecnej ekipy sąd nie ma rozstrzygać, tylko przyklepywać. Gdy nie przyklepuje – staje się „problemem ustrojowym".

I wtedy na scenę wkracza pojęcie kryptodyktatury. Oburzenie jest natychmiastowe, bo słowo zostało wypowiedziane. A przecież nie chodzi o to, czy komuś się ono podoba. Idzie o opis rzeczywistości, w której władza wykonawcza próbuje podporządkować sobie sądy, prokuratura działa w pośpiechu i pod presją, a media publiczne zamieniają się w studio, w którym objaśnia się, dlaczego łamanie prawa stanowi w istocie jego przywracanie. A że jest tak bardzo trafne, to i wycie większe.

eprasa.pl ae11eb359b



Walizka Wojciecha Wiśniewskiego

dziennikarza, pisarza, męża Beaty







Przygodę z życiem rozpocząłem w 1933 r. „Swój rejs, z początku sterowany przez dom rodzinny, wychowanie i wartości przekazywane mi przez matkę i ojca. Potem naznaczony doświadczeniem wojny i Powstania Warszawskiego, które bliznami określiło na zawsze moją twarz i ukształtowało mój charakter [...]". „Nie wiadomo, dlaczego [w wieku 92 lat – przyp. red.] pamięć przywodzi mi nagle szczęśliwe dni i moje wspaniałe dzieciństwo. Jak bardzo wtedy świat urzekał, oszałamiał i ciągle odkrywał coś nowego! A wokół mnie tyle najbliższych i wszyscy tacy kochani... ten świat jest tylko mój i taki zostanie do końca. Wiele się zmieniło po śmierci mojej matki. Nadal jednak miałem liczną rodzinę z dziadkami, ciotkami i kuzynami. Skończyła się wojna. Zacząłem bardzo dużo czytać. I właśnie w tamtym czasie książka stała mi się szczególnie bliska. Nie chcę się chwalić, ale przeczytałem mnóstwo książek. I ciągle czytam, chociaż nie ukrywam, że dokonuję teraz selekcji. Cieszę się, że moja głowa jeszcze jako tako pracuje, gorzej z nogami... Za każdym razem, kiedy coś zwróci moją uwagę, notuję w swoim brulionie, jak to miałem w zwyczaju od lat, a czasami nawet głęboko przeżywam moje najnowsze lektury. Jednocześnie mam w sobie książki, które przeczytane kiedyś, pozostały we mnie na zawsze. I czy chcę, czy nie chcę, powracają do mnie w różnych chwilach, pozornie bez przyczyny. Przypominają mi się nieraz całe akapity, obszerne fragmenty, opisy sytuacji, bohaterowie zdarzeń. To przedziwnie wciąga, potrafi działać trochę jak narkotyk. »Chłopcy z Placu Broni« Ferenca Molnára, »Przylądek Dobrej Nadziei« Zygmunta Nowakowskiego, »Kamienie na szaniec« Aleksandra Kamińskiego, »Jezioro Bodeńskie« Stanisława Dygata [...] książki, które cały czas noszę w sobie i tak będzie zapewne do końca moich dni [...]". Mimo że zbliża się „wieczór życia", ja dalej piszę i widzę moją żonę Beatę, jak na niebieskich łąkach cieszy się, że znów coś napisałem.

Fot. Archiwum Wojciecha Wiśniewskiego, Michał Korsun, postprodukcja Andrzej Swat

eprasa.pl ae11eb359b



„PANI W BERŻENIKACH”

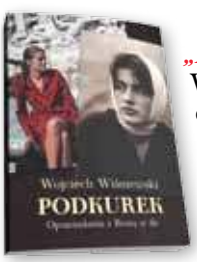


Fascynujące wspomnienia Heleny Stankiewiczowej, siostry Tomasza Zana. Przenoszą nas w świat dworków na polskiej Litwie, w Berżenikach. Poznajemy rodzinę Zanów znad Niemna, lata wojny, rewolucji, okupacji sowieckiej, niemieckiej oraz czas Polski Ludowej. Dzięki Wydawnictwu LTW po 22 latach książka pojawi się na początku stycznia w księgarniach.



„LEKCJA POLSKIEGO I NIE TYLKO...”

Rozmowy: „Wzorcowe, finezyjne, klarowne, urocze, przekorne, namiętne, istotne, polemiczne” – tak pisał w recenzji o książce Tomasz Burek. Książka zawiera 31 rozmów z pisarzami reprezentującymi wszystkie pokolenia i różne twórczości. Dziś to najlepsza i chyba jedyna prawdziwa lekcja literatury języka polskiego.



„PODKUREK”

W 1962 r. zadebiutowałem opowiadaniem dla młodzieży „Beata ma oczy brązowe”. W 2020 r., zmarłej żonie Beacie, swojej wielkiej miłości, poświęciłem opowiadania zawarte w książce „Podkurek”.

„WIECZÓR ŻYCIA. SPOTKANIA Z NIEZWYKŁYMI LUDŹMI”

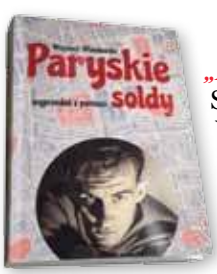


Zbiór opowiadań, w których świat literacki miesza się w zaskakujący sposób ze światem realnym. Opisuję tutaj rozmowy z nietuzinkowymi osobami, wśród których są pisarze i artyści, ujawniam też kulisy spotkań z ważnymi postaciami polskiej historii.

„PSY PANA BOGA (LOS PERROS DE DIOS)”

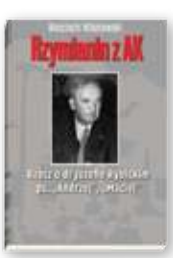


By poznać życiorysy oraz duchowość ojców i braci dominikanów, zjechałem cały kraj. Opowiadali mi o swoim powołaniu, pracy duszpasterskiej, a także dzielili się osobistymi wspomnieniami. Po łacinie są zwani *dominicanis*, a to słowo brzmi tak samo jak „domini cane”, czyli psy Pana Boga.



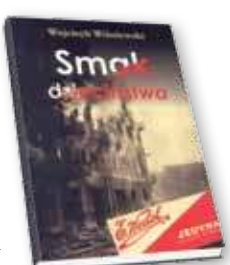
„PARYSKIE SOLDY”

Soldy, czyli „wyprzedaż z pamięci” Wojciecha Wiśniewskiego. Wspomnienia, historie, opowiadania i obrazki z mojego życia w Paryżu sprzed pół wieku.



„RZYMIANIN Z AK”

Rzymianin z AK to dr Józef Rybicki, dowódca Kedywu Okręgu Warszawa, a książka pod tym tytułem jest opowieścią o człowieku, który w najtrudniejszych dla Polski czasach nie stracił honoru ani zdrowego rozsądku. Opisuję piękną postać prawdziwego szlachetnego Polaka.



„SMAK DZIECIŃSTWA”

Książka zebrała dobre recenzje, m.in. ks. Jan Twardowski napisał: „[...] przywołuje pamięć dobrej polskiej mieszczańskiej tradycyjnej rodziny, opowiada żywym, barwnym językiem o dawnej Warszawie, sklepach, kupcach, o Powstaniu Warszawskim. Przywraca smak dzieciństwa i smak dobrej literatury dla dzieci od lat 10 do 100”.

„ZAN. OSTATNI Z RODU”



Książka „Ostatni z rodu”, czyli rozmowy z Tomaszem Zanem, została uznana przez SDP za najlepszą książkę 1989 r. Tygodnik „Przekrój” uzupełnił ocenę: „To jedna z najpiękniejszych książek w naszej literaturze”.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Podziękowania za pomoc przy realizacji wywiadu dla Wojciecha Reszczyńskiego. Fragmenty ze wstępu pochodzą z książki „Wieczór życia” oraz najnowszej, którą Wojciech Wiśniewski szykuje dla czytelników.

eprasa.pl ae11eb359b

TRENDY I OWĘDY

Recepta na chandrę

W nowy rok wkraczamy przeważnie z dobrą energią. Oczywiście jeśli mamy konkretne strapienia lub skłóciliśmy się z rodziną przy wigilijnym stole, wtedy niedawne życzenia Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku rezonują wyrafinowaną ironią.



Ryszard Makowski

U nas obywatele przeważnie nie są zadowoleni. I o to chodzi! Najgroźniejszą bronią biologiczną, jaką użyto przeciwko Polakom, jest zaaplikowane przez media III RP wielu podatnym na to organizmom ogłupienie nienawistne. I nie ma znaczenia, jaki jest status społeczny osoby zainfekowanej. Czy to osoba murarska czy profesor uniwersytetu, z taką samą euforią na fizjonomii używa określeń ośmiogwiazdkowych, traktując z pogardą i wyższością swoich rodaków tylko dlatego, że tamci pozwalają sobie na prezentowanie odmiennych poglądów niż te preferowane przez TVN czy „GW". Takie osoby, podkręcone przez „autorytety", są przekonane, że pozostają depozytariuszami nie wiadomo jakiej mądrości i wspaniałości. Zapominają o jednym drobiazgu.

Fundamentem demokracji jest wolność oraz różnorodność poglądów. I tu pojawia się pytanie o naszą formę ustrojową. Gdzie my właściwie, po prawie 37 latach od okrągłego stołu, wylądowaliśmy? Niestety w Republice Pookrągłostołowej. Beneficjentami systemu okazali się cwani postkomuniści. Ludzie porządni zostali pokazowo wystrychnięci na dudka. Czy zwiastunem zmian jest pozbycie się feralnego mebla z Pałacu Namiestnikowskiego przez prezydenta Karola Nawrockiego? Trudno przesądzać, ale gdy złapie nas chandra, pomyślmy sobie, kto o mały włos nie został głównym mieszkańcem Belwederu. Lepiej? Z pewnością!

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA



SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: PAP/RAFAŁ GUZ, MARYSIA ZAWADA/REPORTER, PIOTR MOŁECKI/EAST NEWS, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, RILP NAUMENKO/REPORTER, LIUDMYLA KAZAKOVA, KEYSTONE USA/EYEVINE/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK/ NEW AFRICA

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

Autopromocja

eprasa.pl ae11eb359b

Mocne tematy.
Najważniejsze wydarzenia.
Rzetelne informacje.

wPolsce24.tv





Do czytania:

- to, co **naprawdę ważne** z Polski i ze świata
- **mocna publicystyka** – bez tematów tabu
- teksty o gospodarce i zdrowiu – przydatne dla każdego
- **dobra rozrywka** i **sport**



Do oglądania:

- telewizja wPolsce24 – oglądaj **LIVE**
- odcinki ulubionych programów:
  bez spiny, bez cenzury*, POLITYKA NA DESER i wiele innych
- **program telewizji wPolsce24** – zaplanuj, co chcesz oglądać

wPolsce24.tv

PORTAL DO CZYTANIA I OGLĄDANIA

eprasa.pl ae11eb359b



Więcej takich sędziów!

Mamy w Polsce kryptodyktaturę – stwierdził warszawski sąd, uchylając Europejski Nakaz Aresztowania Marcina Romanowskiego. W odpowiedzi minister sprawiedliwości tak się zaperzył, że dostarczył na to kolejnych dowodów. Najmocniejsze sądowe orzeczenie ostatnich lat pokazuje, w jakim bagnie tkwimy. Ale daje też nadzieję, bo „są jeszcze sędziowie w Warszawie”



MAREK PYZA

Gdy cesarz Fryderyk II chciał zburzyć pewien młyn – za bardzo hałasował i psuł mu widok – młynarz wniósł przeciwko monarsze sprawę do sądu. I wygrał. Władca miał wówczas z uznaniem odnieść się do werdyktu: „Są jeszcze sędziowie w Berlinie”. Według innej wersji te słowa miały paść z ust młynarza. Jak by nie było, to zdanie po przeszło 250 latach wciąż jest w Europie trawestowane, by podkreślać niezawisłość sędziowską, zwłaszcza w rozstrzygnięciach dotyczących ludzi władzy.

Waldemar Żurek mógł się zachować jak Fryderyk zwany Wielkim i docenić orzeczenie sędziego Sądu Okręgowego w Warszawie. W końcu „sprawiedliwość jest ostoją mocy i trwałości Rzeczypospolitej”, jak głosi myśl Andrzeja Frycza Modrzewskiego wyryta na gmachu stołecznego sądu. Nie skorzystał z tej okazji.

DOBRY, ALE DO CZASU

„Sytuację panującą obecnie w państwie polskim zakwalifikować można jako kryptodyktaturę”. To zdanie zapisane w uzasadnieniu postanowienia wydanego przez Dariusza Łubowskiego przejdzie do historii. Jego moc jest tym większa, że ów

Fot. Rafał Guz/PAP

eprasa.pl ae11eb359b

sędzia to autorytet chwalony przez różne strony politycznego sporu. Trudno uznać go za człowieka któregokolwiek z obozów. Był delegowany do Ministerstwa Sprawiedliwości i pracował tam w czasie rządów AWS-UW, SLD-PSL, PiS-LPR-Samoobrona i PO-PSL (w latach 1997–2013).

W późniejszej karierze orzeczniczej zasłynął z wielu odważnych decyzji. Jesienią ub.r. nie zgodził się na wydanie Niemcom podejrzewanego o wysadzenie gazociągów Nord Stream Wołodymyra Żurawlowa, wskazując przy tym m.in. na „głębokie upolitycznienie niemieckich sądów" i ich „pełną zależność od władzy wykonawczej", a także na to, że nasz sąsiad zza Odry pasł rosyjski budżet za pomocą kupowanych na Wschodzie surowców energetycznych.

W 2022 r. odmówił Białorusi wydania opozycyjnego dziennikarza serwisu NEXTA Sciapana Puciły. Argumentował przy tym, iż nie można wydać kogoś organom wymiaru sprawiedliwości, jeśli ten wymiar sprawiedliwości w ogóle nie istnieje, że nie można wydać człowieka państwu, które faktycznie nie jest państwem. „Kraj ten żąda wydania obywatela całkowicie niewinnego tylko dlatego, że ma inne poglądy niż psychopatyczny dyktator" – stwierdził. Ta decyzja zaowocowała ściganiem sędziego – białoruska prokuratura generalna wszczęła przeciwko niemu śledztwo za rzekome podżeganie do nienawiści narodowej i społecznej.

Od 2018 r. kieruje sekcją postępowania międzynarodowego w Sądzie Okręgowym w Warszawie. To właśnie on rozstrzyga wnioski dotyczące europejskich nakazów aresztowania.

Co najciekawsze, również on wydał ENA wobec Marcina Romanowskiego. Wtedy był chwalony przez polityków koalicji 13 grudnia. Gdy jednak zmienił decyzję (o przesłankach za chwilę) na niepomyślną dla obecnej władzy, z miejsca stał się dla niej sędzią kontrowersyjnym, który nie powinien zajmować się tym, czym od lat się zajmuje.

Wystarczy zatem jedno orzeczenie wbrew oczekiwaniom kamaryli Donalda Tuska, by zamachnęła się ona na sędziowską niezawisłość. Spójrzmy zatem dokładnie na to, co wzbudziło ten gniew.

JAWNE ŁAMANIE PRAWA

Sędzia Łubowski wskazuje na trzy okoliczności zmuszające go do uchylenia ENA. Pierwszą jest udzielenie Romanowskiemu azylu politycznego na Węgrzech. Już to powinno było sprawić, że prokuratura odstąpi od prób zatrzymania polityka PiS. „Węgry są pełnoprawnym członkiem Unii Europejskiej i wszelkie decyzje państwa węgierskiego w przedmiocie udzielenia azylu politycznego wywołują pełne i identyczne skutki prawne do takich decyzji wydanych w jakimkolwiek państwie członkowskim Unii Europejskiej. Żaden akt prawny ani orzeczenie unijnego trybunału nie pozbawiło Węgier jakichkolwiek przymiotów czy uprawnień wynikających z faktu członkostwa w Unii Europejskiej" – przypomniał sędzia w uzasadnieniu orzeczenia.

> „Sytuację panującą obecnie w państwie polskim zakwalifikować można jako kryptodyktaturę". To zdanie zapisane w uzasadnieniu postanowienia wydanego przez Dariusza Łubowskiego przejdzie do historii. Jego moc jest tym większa, że ów sędzia to autorytet chwalony przez różne strony politycznego sporu

Dalej jest jeszcze mocniej: „[...] ani prawo pierwotne, ani prawo wtórne UE, ani nawet orzecznictwo TSUE nie przewidziało sytuacji do niedawna niemożliwej do przewidzenia, że w którymkolwiek z państw członkowskich UE może dojść do tak poważnych naruszeń wewnętrznego porządku konstytucyjnego, jawnego łamania prawa i prześladowań politycznych opozycji z niskich pobudek (w szczególności takich jak zemsta) i prób włączania w te prześladowania wymiaru sprawiedliwości, że inne państwo członkowskie uzna za konieczne i uzasadnione przyznanie prześladowanemu obywatelowi takiego państwa członkowskiego statusu uchodźcy i udzielenie mu ochrony międzynarodowej".

Krótko mówiąc, to, co obecnie dzieje się w Polsce, jest ewenementem w historii Unii Europejskiej.

Drugą przesłanką do cofnięcia ENA jest decyzja Interpolu o odmowie wydania tzw. czerwonej noty i międzynarodowych poszukiwań za Romanowskim. Wobec powyższego dalsze utrzymywanie ENA byłoby – według sądu – „dyskwalifikujące polską władzę wykonawczą, a w szczególności Prokuraturę Krajową jako organu demokratycznego państwa prawa".

Te dwie okoliczności powinny niemal automatycznie skutkować odstąpieniem od poszukiwania Romanowskiego. Ale okazuje się, że prokuratura przez ponad pół roku nie raczyła poinformować sądu o ich wystąpieniu. A zatem o udzielonym politykowi azylu na Węgrzech sąd wiedział wyłącznie... z mediów.

Jest wreszcie przesłanka trzecia, kluczowa, nad którą trzeba się zatrzymać nieco dłużej: „Łamanie przez władzę wykonawczą praw człowieka i wolności obywatelskich oraz porządku konstytucyjnego Rzeczypospolitej Polskiej".

SĘDZIA MÓWI, JAK JEST

„Czy każdy przeciwnik jakiegokolwiek rządu w jakimkolwiek demokratycznym państwie prawa, nawet gdyby był przestępcą, przestaje być człowiekiem i ma być pozbawiony wszelkich praw człowieka, a także ludzkiej godności?". To retoryczne pytanie otwiera druzgocący dla rządu Tuska wywód sądowy, dowodzący, jak patologiczny system buduje ekipa rządząca.

Dariusz Łubowski uznał za „całkowicie nieuprawnione" przedstawianie Romanowskiego jako winnego, który po sprowadzeniu do kraju zostanie skazany i osadzony w więzieniu. Sędzia przywołał tu publiczne dywagacje Waldemara Żurka o możliwości porywania polityków opozycji przez polskie służby

eprasa.pl ae11eb359b

specjalne i przewożeniu ich do Polski „w bagażniku". I skonstatował: „Te nikczemne i nielicujące z elementarnymi standardami demokratycznego państwa prawnego wypowiedzi są szeroko znane także międzynarodowej opinii publicznej. Bezpośrednio wkraczają w sferę niezawisłości sędziowskiej także w sprawie niniejszej. Są to okoliczności anihilujące wiarygodność państwa polskiego, w tym polskiego sądownictwa".

Tu dochodzimy do fragmentu, po którym zatrzęsła się ziemia, a wstrząs był odczuwalny nie tylko w polskiej, lecz także w międzynarodowej infosferze.

„W świetle wyżej naprowadzonych okoliczności istnieją poważne obawy, że sytuację panującą obecnie w państwie polskim zakwalifikować można jako kryptodyktaturę. Na marginesie dodać trzeba, że te naruszenia praw człowieka i porządku konstytucyjnego mają miejsce przy całkowitym milczeniu wszystkich organów Unii Europejskiej".

Są też passusy o „niezwykle niebezpiecznym dla demokratycznego państwa prawa i niespotykanym w żadnym cywilizowanym porządku prawnym zjawisku ingerencji najwyższych rangą przedstawicieli władzy wykonawczej w sferę niezawisłości sędziowskiej", „drastycznym łamaniu porządku konstytucyjnego przez władzę wykonawczą w Polsce", „ustawicznych publicznych wypowiedziach dotyczących toczących się postępowań sądowych i ferowaniu orzeczeń zanim zostały one wydane przez sąd", co „narusza najistotniejsze prawa człowieka wszystkich osób oskarżanych w postaci domniemania niewinności" oraz „dewastuje wizerunek polskiego wymiaru sprawiedliwości w kraju i, co w sprawie niniejszej najistotniejsze, także na arenie międzynarodowej".

To, co stwierdził Dariusz Łubowski, jest oczywistością dla każdego, kto nie jest zapatrzony w rządzącą koalicję jak w obraz i nie podziela jej chęci zemsty na PiS. Ale przelanie tego na papier przez sędziego będącego jednym z największych specjalistów od międzynarodowego prawa karnego jest wydarzeniem bezprecedensowym. I może wywołać lawinę.

ŻUREK KONTRATAKUJE

Co robi opresyjny system po takim orzeczeniu sędziego? Refleksja, krok w tył, przeprosiny i odstąpienie od ENA? Nic z tych rzeczy. System chce takiego sędziego zgnoić. Ludzie, którzy przez lata próbowali nas tresować, że „z wyrokami sądów się nie dyskutuje", nie zostawiają suchej nitki na decyzji Łubowskiego.

> W orzeczeniu Łubowskiego są też passusy o „niezwykle niebezpiecznym dla demokratycznego państwa prawa i niespotykanym w żadnym cywilizowanym porządku prawnym zjawisku ingerencji najwyższych rangą przedstawicieli władzy wykonawczej w sferę niezawisłości sędziowskiej" oraz o „drastycznym łamaniu porządku konstytucyjnego przez władzę wykonawczą w Polsce"

Natychmiast rusza kampania oczerniania go, pełna manipulacji i kłamstw. Twierdzi się, że działał na rzecz Rosji (gdy nie zgodził się na wydanie Szwecji rosyjskiego obywatela, który uciekł z małymi córkami do Polski po tym, jak szwedzkie sądy odebrały mu je po zachorowaniu żony na schizofrenię i umieściły w muzułmańskiej rodzinie zastępczej) albo że niebawem będzie zapewne działał na rzecz węgierskich przestępców.

Innym razem przywołuje się sprawę z 2020 r., gdy Łubowski odmówił wydania Królestwu Niderlandów holenderskiego małżeństwa, które uciekło do Polski z 7-letnim synem cierpiącym na autyzm. W ojczyźnie odebrano im dziecko (po skargach sąsiadów, że chłopiec dużo płacze) i przez rok utrudniano kontakt z nim. Gdyby polski sędzia zgodził się na aresztowanie pary, w Holandii trafiłaby ona do aresztu, odebrano by jej prawa rodzicielskie, a jej syn za trzy lata mógłby zostać zabity, bo holenderskie prawo dopuszcza eutanazję nawet 12-latków wyłącznie za decyzją lekarza. Sędzia Łubowski nie chciał wziąć na siebie i Polskę tej prawdopodobnej zbrodni. Kochające się w cywilizacji śmierci lewactwo nad Wisłą wróciło teraz do tej sprawy z pytaniem, czy „była to retorsja wobec Królestwa Niderlandów, które za władzy PiS broniło praworządności w Polsce, czy też kierował się [sędzia – przyp. red.] konserwatywnym poglądem?" [cytat z OKO.press]. Jakby sprzeciw wobec zabijania dzieci charakteryzował tylko konserwatystów (poniekąd tak jest).

Gdzie w tym wszystkim Waldemar Żurek? On nie wytacza ciężkich dział – ma od tego szwadrony internetowych hejterów i medialnych zagończyków.

Udaje, że włożył białe rękawiczki i przyczepia sędziemu łatkę „kontrowersyjnego". Stwierdza, że postanowienie Łubowskiego jest „wewnętrznie sprzeczne", bo jak niby w kryptodyktaturze sędzia mógłby napisać to, co napisał (odpowiadamy ministrowi: dlatego jeszcze nie pełna dyktatura, lecz z tym dziwnym przedrostkiem).

Jednak w tym samym wywodzie minister sprawiedliwości potwierdza diagnozę sędziego, bo zapowiada złożenie ponownego wniosku o ENA wobec Romanowskiego. A jeśli trafiłby on do tego samego sędziego – wniosek o wyłączenie go ze sprawy ze względu na brak obiektywizmu.

Cóż za szalona niekonsekwencja! Według ministra sędzia był bowiem obiektywny, gdy przed rokiem wydał ENA i gdy go przedłużał, był obiektywny przez długie lata swojej pracy. Ale utracił obiektywizm, gdy orzekł nie po myśli urzędującego ministra. Przecież stąd jest już tylko przystanek na Białoruś.

WOJNA W SĄDACH

Czy jest tylko Dariusz Łubowski, czy mamy więcej sędziów gotowych prze-

eprasa.pl ae11eb359b

ciwstawić się „kryptodyktaturze”? Odpowiedź jest oczywista, a niech udzieli jej – w swoim stylu – zadymiara ze Strajku Kobiet Klementyna Suchanow, zatrudniona najpierw przez szefa SKW w komisji ds. rosyjskich wpływów, a później przez ministra sprawiedliwości w komisji ds. rzekomego represjonowania społeczeństwa obywatelskiego w czasie rządów Zjednoczonej Prawicy: „Jestem często w sądach na sprawach swoich i nie swoich (dzisiaj np. cd. Ordo Iuris vs. Suchanow) i widzę, jak w wyrokach, zwłaszcza neosędziów, zaczyna się pojawiać rebelia wobec MS i Żurka. Mam wrażenie, że to takie koordynowane podnoszenie głowy w oczekiwaniu na powrót hydry”.

Jest się czego obawiać, bo Suchanow ma niejedną sprawę sądową, podobnie jak wielu innych uliczników (sami się tak nazywają). Niedawno zapaliło się dla nich światełko nadziei, bo podczas zamkniętego spotkania z ministrem sprawiedliwości chyba coś im obiecano. Przyznała to we wpisie w mediach społecznościowych dziarska emerytka Katarzyna Augustynek, opisując wydarzenie z 24 listopada: „Ja zaś byłam w błędzie, myśląc, że poznamy strategię pana ministra w sprawie naszych licznych, również tych niezakończonych spraw karnych, tę swoją intencję na początku potwierdził on sam [...]. Jedno, co mi utkwiło w pamięci, to końcowe słowa pana ministra, że do osób z listy, przypuszczam, że ze spisu zaproszonych uliczników, będą dzwonić. Dziś minęły 4 tygodnie, a ze mną nikt się nie kontaktował”.

Czy Żurek ich oszukał? Nie ma powodów, by tak sądzić. To jego zasoby, które pójdą za nim w ogień, niestrudzeni awanturnicy, gotowi napsuć pisowskiej krwi na każdej miesięcznicy smoleńskiej czy nawet uroczystościach państwowych. Niezależnie jednak od intencji ministra, obietnica „załatwienia” ich spraw złożona osobom oskarżonym o różnorakie przestępstwa to przestępstwo. Dlatego Marcin Romanowski złożył zawiadomienie w tej sprawie. Prokuratura nic z nim nie zrobi, bo dziś zajmuje się ściganiem opozycji, a sprawy ludzi władzy umarza. Ale ten stan rzeczy może się zmienić już za niespełna dwa lata. Wówczas potrzebny będzie specjalny zespół prokuratorów do ścigania bezprawia, z jakim zmagamy się od początku 2024 r.

Jedyną nadzieją dla obozu kryptodyktatorskiego jest podporządkowanie sobie sądów. Systemowo tego nie zrobią, bo zablokuje to prezydent. Ale Trybunał Konstytucyjny zapewne przejmą – stąd pozostawiony bez cięć budżet tej instytucji na 2026 r., czyli jasna zapowiedź, że za chwilę będzie „ich”.

To również powód bezprawnego rozporządzenia Żurka o ograniczeniu losowań sędziów w sądach apelacyjnych (czyli tam, gdzie zapadają kluczowe, bo prawomocne wyroki).

Tysiące polskich sędziów to uczciwi prawnicy, nieoglądający się na polityczne wiatry. Ale być może część z nich da się złamać, zastraszyć. Obecna władza próbuje tego od dawna: stygmatyzowanie etykietą „neosędziów”, grożenie wyrzuceniem z zawodu czy próba wprowadzenia groteskowych przepisów rodem z PRL o „czynnym żalu”, swoistej deklaracji lojalności wobec aktualnie rządzących, jaką mieliby składać sędziowie powołani na mocy znowelizowanej w 2017 r. ustawy o KRS.

Ten ostatni plan jesienią 2024 r. znakomicie podsumował prezes Izby Karnej Sądu Najwyższego Zbigniew Kapiński. „Tego rodzaju metody są esbecko-ubeckie. Gdyby dziś jakikolwiek sędzia złożył tego rodzaju oświadczenie, to byłby wystarczający powód, że przestał być w tym momencie niezawisły, że w sposób jednoznaczny utożsamia się z określoną władzą polityczną i jest od niej zależny, bo władza ma jego oświadczenie i może zrobić z tego użytek”.

Na razie gwarantem tego, że sądy nie zostaną do końca upolitycznione, jest Karol Nawrocki. Ale nie wiadomo, na co jeszcze może się zdecydować przeciwnik. Jest nieobliczalny i nie ogląda się na jakiekolwiek koszty. Trudno już zliczyć sprawy, które zakończyły się uchyleniem wyroków bezwzględnym zbrodniarzom (mordercom, gwałcicielom), a także w licznych sprawach mniejszego kalibru tylko dlatego, że „rozgrzani sędziowie” (ależ trafnie ujął to przed laty Bronisław Komorowski) poważyli się na nielegalne podważanie statusu innych sędziów. Zbigniew Kapiński wskazywał przed rokiem, że w samym Sądzie Najwyższym zapadło blisko 100 wyroków, w uzasadnieniach których nie ma ani jednego zdania na temat meritum sprawy: „Czy sprawa została źle osądzona, czy dobrze, wyrok został uchylony tylko dlatego, że w składzie I lub II instancji orzekał sędzia, który uzyskał nominację po 2018 r. Co więcej, dochodzi do sądu na sędziami bez podstawy prawnej”.

Antydemokratyczna i antykonstytucyjna grupa sędziów – „nadzwyczajna kasta”, jak mówiła jedna z jej przedstawicielek – zwiera więc szeregi i jest gotowa służyć konkretnej partii – czy to z przekonań, czy dla kariery, czy ze strachu. Oni *de facto* poszli na wojnę z naszym państwem i powoli, ale skutecznie rozbrajają fundamentalny dla jego bezpieczeństwa wymiar sprawiedliwości.

Muszą spotkać się z bardziej stanowczym oporem wewnątrz własnego środowiska. Milczenie to przyzwolenie na niszczenie Polski. Sędzia Dariusz Łubowski dał kolejny sygnał. Oby skuteczny.

> Co robi opresyjny system po takim orzeczeniu sędziego? Chce takiego sędziego zgnoić. Natychmiast rusza kampania oczerniania go, pełna manipulacji i kłamstw



Fot. Shutterstock

eprasa.pl ae11eb359b

Gaśnie gwiazda Sławomira Mentzena

Polityk, który miał decydować o tym, kto będzie rządził w Polsce, dzisiaj traci na znaczeniu. Jeszcze kilka miesięcy temu Mentzen zdawał się pożądanym przez wszystkich koalicjantem. A jedyne, co może robić dzisiaj, to infantylne happeningi i niepoważne wpisy w mediach społecznościowych



PIOTR GURSZTYN



Fot. Sergei GAPON/AFP/East News

Tegoroczne święta Bożego Narodzenia lider Nowej Nadziei spędził zupełnie nietradycyjnie. Bardziej w stylu zlaicyzowanych liberalnych nowobogackich niż zwykłych, przywiązanych do tradycji Polaków. Pojechał do Dubaju, czym pochwalił się w swoich mediach społecznościowych. Wątpliwą furorę zrobiło zdjęcie przedstawiające go na tle dubajskich drapaczy chmur z podpisem: „Polska, gdyby nie wszystkie gatunki socjalistów, PiS, PO, SLD, PSL, Gazeta Wyborcza i TVN".

Fotka ma już ponad milion wyświetleń i ponad tysiąc komentarzy. Prawie wszystkie krytyczne. Ich treść sprowadza się do tego, że Mentzen jest kompletnym ignorantem, który nie wie, że przeniesienie do nas dubajskiej rzeczywistości byłoby całkowicie nie do przyjęcia przez ogromną większość Polaków. A przy okazji niezgodne ze sporą częścią haseł, które głosi jego partia. Ogólne wrażenie było takie, że pod względem wątpliwej błyskotliwości oraz wyczucia nastrojów społecznych Mentzen zaczyna przypominać Ryszarda Petru.

NIEUDANA PIKIETA

Chwilę wcześniej, gdy do Warszawy przyjechał prezydent Ukrainy, Mentzen zorganizował pikietę pod hasłem: „Zełenski, oddaj nasze 100 miliardów". Występował na niej osobiście, ale trudno uznać tę pikietę za udaną. Komentarze w większości były nieprzychylne. Dominował w nich przekaz, że to rozpaczliwa próba przelicytowania w antyukraińskości Grzegorza Brauna. Tym słabsza, że oczywista dla wszystkich

eprasa.pl ae11eb359b

obserwatorów. Były też komentarze wskazujące na krótkowzroczność Mentzena i jego partii, czyli ignorowanie zagrożenia rosyjskiego. A nadal jest tak, że mimo wzrostu nastrojów antyukraińskich ponad 90 proc. Polaków ma negatywne nastawienie do Rosji.

W Polskę poszedł przekaz, że prezydent Karol Nawrocki, przyjmując Wołodymyra



Zełenskiego, uprawia wielką politykę, a Sławomir Mentzen może tylko urządzać sztubackie pikiety. Kolejny raz lider Konfederacji sam upowszechnił wizerunek swojego ugrupowania nie jako poważnej alternatywy politycznej, lecz jedynie happeningu dla młodych dorosłych. Takich, którzy już skończyli 18 lat, ale nie założyli jeszcze własnych rodzin i często pozostają na utrzymaniu rodziców. Takich, którzy z powodu braku doświadczenia życiowego popierają postulaty fantastyczne, nierealne i oderwane od realiów bytowych przeciętnego Polaka.

MIGLANC WSZYSTKO PRZYKRYWA

Aby być sprawiedliwym, w ten obraz nie wpisuje się Krzysztof Bosak i jego otoczenie. Tam – jak widać – trwa jakaś praca programowa i nie ma skłonności do festyniarskiego stylu uprawiania polityki. Ale ta grupa, czyli Ruch Narodowy, to *de facto* osobna partia wewnątrz Konfederacji, w której jednak decydujące słowo ma Sławomir Mentzen. Tak więc raz widzimy Bosaka, człowieka poważnego, który prezentuje rozsądne spojrzenie na świat. Albo również bardzo sensowną Annę Bryłkę. A potem i tak przykryje to jakieś niepoważne wystąpienie Mentzena lub pajacowanie osób pokroju Konrada Berkowicza.

Znakiem słabnięcia Mentzena jest nieprzypadkowa uwaga Wojciecha Cejrowskiego, który nazwał go „miglancem" w wywiadzie dla youtubera Żurnalisty. „On się nadaje na doradcę albo na eksperta partyjnego w sprawach finansowych. Natomiast na prezydenta się nie nadaje" – recenzował Cejrowski.

KOSZENIE ZNANYCH TWARZY

Do tego dochodzi coś, co wygląda dla Konfederacji niepokojąco, czyli perturbacje z Ewą Zajączkowską-Hernik. Decyzją Mentzena została ona pozbawiona funkcji szefowej okręgu podwarszawskiego. Formalnie z tego powodu, że jest eurodeputowaną i rzekomo trudno łączyć te funkcje. Ale Zajączkowska-Hernik jest jedną z najbardziej rozpoznawalnych twarzy Konfederacji, wręcz gwiazdą medialną. Łatwo się było domyślić, że odebranie jej stanowiska szefowej okręgu może oznaczać kłopoty. A w najlepszym razie ryzyko, że w świat pójdzie komunikat o tym, iż w Konfederacji trwa kolejny konflikt wewnętrzny.

Wiadomo, że eurodeputowana była zaskoczona tą decyzją. Mentzen niczego z nią nie uzgadniał. Widać to po wpisie Zajączkowskiej-Hernik, że teraz „zaczyna się [dla niej] czas nowych i odważnych inicjatyw".

Wbrew oficjalnym zapewnieniem Mentzena i jego przybocznych, że odsunięcie Zajączkowskiej-Hernik to rutynowa decyzja, powszechnie odbiera się ją jako znak, że z Konfederacji mogą uciec znane twarze. Zwłaszcza że teraz mają dokąd – do Grzegorza Brauna. Ten bowiem podczas wywiadu u Moniki Jaruzelskiej zadzwonił do Zajączkowskiej-Hernik i szczodrze ją komplementował. Ona zaś sprawiała wrażenie bardzo z tego zadowolonej. Przypomnijmy – wcześniej Zajączkowska-Hernik gościła Brauna w swoim kanale na YouTube. I mimo że oboje są z konkurencyjnych partii, również tam panowała nadzwyczaj przyjazna atmosfera. Nie ma się co dziwić. Z jednej strony relacje eurodeputowanej z Mentzenem są coraz gorsze, a z drugiej – Braun potrzebuje kogoś tak rozpoznawalnego jak ona.

PIWO NIE Z KAŻDYM

Incydent z degradacją eurodeputowanej można zatem dopisać do listy błędów popełnionych w 2025 r. przez bohatera tego tekstu. A ta jest długa. Jeszcze wiosną mógł myśleć o sobie jak o king makerze, gdy rozdzielał łaski obu kandydatom, którzy przeszli do drugiej tury wyborów prezydenckich. Mentzen był wtedy jak piękna panna na wydaniu, pożądana jako koalicjant zarówno przez PiS, jak i Platformę. W marcu 2025 r. sondaże Konfederacji dochodziły do 20 proc. Rodziły się nadzieje, że partia przeskoczy PiS i stanie się drugą siłą w polskiej polityce, a pierwszą na prawicy.

Sprawdziło się jednak powiedzenie o pysze kroczącej przed upadkiem. Fatalnym błędem było skupienie się na zwalczaniu Prawa i Sprawiedliwości. Najpierw było nieuprzejme przyjęcie Karola Nawrockiego w Toruniu, potem miłe spotkanie z Rafałem Trzaskowskim. Prawicowy świat przecierał oczy, widząc, jak antysystemowy Mentzen podaje piwo czołowym postaciom liberalnego establishmentu. Potem była furiacka odpowiedź na propozycję współpracy ze strony Jarosława Kaczyńskiego. Owszem, zawierającą jeden dość prowokacyjny punkt, ale reakcja Mentzena okazała się absolutnie niewspółmierna. Do tego doszło głoszenie tezy, że Leszek Miller był lepszym premierem niż Mateusz Morawiecki.

Sumę wszystkich błędów stanowiły komunikaty, że Mentzen jest gotowy do stworzenia koalicji z każdym. Czyli także z Donaldem Tuskiem. A ponieważ lider Konfederacji nie atakował go tak bardzo jak Kaczyńskiego czy Morawieckiego, powstawało uzasadnione wrażenie, że jest to najbardziej pożądany partner.

eprasa.pl ae11eb359b

Jaka mądrość stała za tym, aby sugerować koalicję z Tuskiem – najbardziej niepopularnym premierem po 1989 r.? Jak elektorat, który uważa się za antysystemowy, a zwłaszcza sceptyczny wobec centralizacji Unii Europejskiej, miałby zaakceptować współpracę z kimś, kogo uważa za ucieleśnienie wszystkiego, co uważa za złe w polityce?

Podejrzenia o chęć dogadania się z Tuskiem były tym bardziej zasadne, że prawie cała krytyka ze strony Konfederacji była skierowana pod adresem PiS. Według krążących w internecie wyliczeń stanowiła ona ok. 80 proc. treści zamieszczanych w mediach społecznościowych partii Mentzena. Działo się to w sytuacji, gdy obecny rząd bił kolejne niechlubne „rekordy" pod względem niepopularności.

Znów objawiała się niedojrzałość Konfederacji. Polacy w swej masie wyrażali obawy o stan służby zdrowia, poziom cen energii czy przyszłość branż takich jak rolnictwo, a konfederaci zajmowali się swoimi rozliczeniami z PiS. Twardych prawicowców zaczęło to irytować, bo odczytywali te ataki jako część liberalnej nagonki na partię Jarosława Kaczyńskiego. A ludzi mniej zaangażowanych emocjonalnie w bieżącą politykę odstręczało z tego powodu, że nie słyszeli od Konfederacji pomysłów na zapobieżenie narastającym problemom społeczno-gospodarczym.

Aby być precyzyjnym – kierownictwo partii dostrzegło ten problem i na początku grudnia ogłosiło kampanię: „Konfederacja rusza w Polskę. Spotykamy się pod szpitalami, by głośno powiedzieć to, czego rząd boi się przyznać: system ochrony zdrowia jest w zapaści, a monopol NFZ niszczy dostęp do leczenia". Problem jest jednak taki, że w odbiorze ogółu Polaków formacja Mentzena nie jest wiarygodnym oferentem rozwiązywania tak złożonych problemów, jak zapaść służby zdrowia. Wygłaszane na przyszpitalnych trawnikach tyrady lokalnych posłów i liderów Konfederacji przeszły całkowicie bez echa.

SONDAŻOWY ZJAZD

Dzisiejszy obraz Konfederacji kierowanej przez Sławomira Mentzena jest niezbyt ciekawy. Widać to przede wszystkim po sondażach, które mocno spadły w porównaniu z wiosenną hossą – czyli ówczesnym 20-procentowym pikiem. We wrześniu CBOS dawał partii Mentzena 11 proc., a Konfederacji Korony Polskiej Brauna – raptem 4 proc. W październiku IBRIS wyliczył 13 proc. dla Konfy i nadal tylko 4 proc. dla KKP. Ale w grudniu było już inaczej: w niektórych sondażach Konfederacja spadała niemal do 10 proc., a Braun odwrotnie – dochodził do tego poziomu, na dodatek powszechne jest podejrzenie, że może być wyraźnie niedoszacowany. W przypadku Konfederacji nikt nie mówi o niedoszacowaniu. Jej wyborcy – w odróżnieniu od elektoratów PiS i KKP – nie ukrywają swoich preferencji.

> Ogólne wrażenie jest takie, że pod względem wątpliwej błyskotliwości oraz wyczucia nastrojów społecznych Sławomir Mentzen zaczyna przypominać Ryszarda Petru

Nie trzeba głębokich analiz, aby stwierdzić, co się dzieje z nastrojem różnych grup prawicowego elektoratu. Już dawno zakończył się odpływ wyborców z PiS do Konfederacji. A teraz – ku zgrozie Mentzena – widoczny jest silny trend do przerzucania poparcia z Konfederacji na rzecz ugrupowania Brauna.

Do tego dochodzi kolejna okoliczność. Mentzen – nawiązując do słów z jednej komedii Barei – ma „obrażone" wszystkie sklepy, a dokładniej potencjalnych partnerów politycznych. Koalicja z Tuskiem to samobójstwo. Jest przy tym komiczne, że Mentzen wyklinał Kaczyńskiego jako tego, który wykańcza wszystkich swoich koalicjantów. Więc teraz ma to w spotęgowanej formie w wykonaniu Tuska, którego jakimś zagadkowym trafem o to nie oskarżał.

CO DALEJ?

W relacjach z Grzegorzem Braunem Mentzen też ma duży problem. Wprawdzie w mediach społecznościowych widać wielkie nadzieje niektórych wyborców obu partii, że oto połączą się „dwie Konfederacje". Ale są to wrogie i konkurujące ze sobą Konfederacje. Braun został wypchnięty ze starej partii przez Mentzena. Dzisiaj wyraża się pogardliwie o jego ugrupowaniu, nazywając je neo-Konfederacją. Podobnie został potraktowany przez Mentzena Janusz Korwin-Mikke, brylujący dzisiaj u boku Brauna. Dlaczego dzisiaj mieliby nawiązać współpracę z człowiekiem, który całkiem niedawno chciał ich politycznie zniszczyć? Zwłaszcza że widzą, co się dzieje wewnątrz Konfederacji, gdzie Mentzen i jego Nowa Nadzieja marginalizuje Bosaka i jego Ruch Narodowy. Nie jest tajemnicą, że wbrew oficjalnym deklaracjom stosunki między obydwoma skrzydłami partii są złe.

Skądinąd Mentzen – narzekający na niszczenie przez Kaczyńskiego konkurentów politycznych – pozostaje w tym mało szczery i to także jest powszechna wiedza wśród zainteresowanych. Bo nie tylko Braun i Korwin-Mikke padli ofiarą jego działań, lecz także Robert Winnicki.

Możliwy jest zatem taki paradoks, że w przewidywalnej przyszłości jedynym racjonalnym ruchem będzie przeproszenie się z Jarosławem Kaczyńskim, Mateuszem Morawieckim i w ogóle z PiS. Sławomir Mentzen za dużo naobiecywał swoim zwolennikom. Prezentował im wizję świetlanej przyszłości. Po wielu latach zasiadania w politycznej loży szyderców konfederaci poczuli, że mogą mieć wpływ na politykę. Realny i pierwszoplanowy, a nie tylko recenzowanie jej z tylnych rzędów. Już byli w ogródku, już witali się z gąską, a tu lider może nie spełnić obietnicy, o której tak pięknie i buńczucznie opowiadał.

* * *

W astronomii wygasłe gwiazdy nazywa się białymi karłami. Mentzen może się stać takim politycznym białym karłem. Jego blask ciemnieje. Nie wiadomo, czy będzie tym, kim chciał zostać – ministrem finansów, wicepremierem, a może nawet szefem rządu. W tej chwili widać, że bardziej prawdopodobne jest to, iż dołączy do galerii gwiazd jednego sezonu – Janusza Palikota, Pawła Kukiza, Ryszarda Petru i Szymona Hołowni.

eprasa.pl ae11eb359b

Niezgoda buduje



Wewnętrzne konflikty w Prawie i Sprawiedliwości nie grożą rozłamem – prowadzą do nowego otwarcia. Dają szansę na samodzielne rządy po wyborach 2027 r. Ale teraz są paliwem dla prorządowych mediów

Fot. Tomasz Jastrzębowski/REPORTER

Prorządowe media podniecają się tym, że Prawo i Sprawiedliwość notuje najsłabsze sondażowe wyniki: w badaniach Pollstera od 9 lat, a w badaniach CBOS – od 13 lat. Ale to typowa reakcja na katastroficzne wieści prorządowych – czyli dominujących – mediów: że PiS się rozpada, ginie pod ciężarem zajadłych wojen frakcyjnych, wszyscy skaczą wszystkim do gardła. Skutek ma być taki, że partia poniesie klęskę, a jej wyborcy trwale przeniosą swoje głosy na Konfederację i Konfederację Korony Polskiej (KKP). Ale wyborcy, nie tylko PiS, nie zobaczą żadnej katastrofy. Wszystko się uspokoi i kampania przed wyborami parlamentarnymi jesienią 2027 r. ruszy z nowym impetem.



STANISŁAW JANECKI

Pozorny armagedon, który jednak nie nastąpi, to lepsza strategia przed wyborami niż apoteoza spokoju, który łatwo utożsamić z gnuśnością. Żywa partia się spiera, a nawet kłóci. Spokój (udawany) panuje tam, gdzie zasadą organizacji jest zamordyzm, a członkowie boją się nawet szeptać o realnych problemach. Z tego punktu widzenia frakcyjne boje i przesilenia, które ujawniły się w PiS w listopadzie i grudniu 2025 r., skończą się, zanim rozpocznie się najgorętsza polityczna walka o to, kto będzie rządził Polską na przełomie lat 20. i 30. Inaczej niż w trzymanej przez Donalda Tuska „za twarz" (w dodatku masakrowanej o bruk) Koalicji Obywatelskiej, gdzie realne konflikty będą zamiatane pod dywan, na którym w dodatku zostanie postawiony jakiś kilkutonowy mebel. A to, że bardzo szczelnie zostaną przykryte konflikty, mające znacznie większą wagę w partii rządzącej niż w opozycji, oznacza tylko tyle, iż wybuch będzie tak mocny jak w przypadku tzw. superwulkanów. Bardzo

eprasa.pl ae11eb359b

długo gromadzą one zabójczą energię, zanim dojdzie do potężnej eksplozji. W PiS ta destrukcyjna energia systematycznie się ulatnia, natomiast w KO – kumuluje.

Ze strategicznego punktu widzenia nasilenie czy wręcz szczyt sporów i konfliktów w PiS przypadły na najlepszy możliwy moment. Do wyborów parlamentarnych zostały jeszcze niemal dwa lata, więc Prawo i Sprawiedliwość zdąży precyzyjnie zdiagnozować sytuację, okiełznać konflikty i dokonać czegoś w rodzaju zbiorowego katharsis. Wprawdzie od powstania partii w 2001 r. nigdy nie doszło do tak otwartego przedstawienia stanowisk różnych frakcji, nigdy tak jasno nie sformułowano personalnych zarzutów i nie wymierzono ciosów, ale ostatecznie może to być atut, a nie kłopot. Bo tylko po czymś takim można odbudować trwałe podstawy i wykorzystać wszystkie możliwości oraz wszystkich ludzi. Tym bardziej że wszystkie frakcje i pokłóconych polityków PiS łączy mocne przekonanie, iż trzeba odsunąć od władzy koalicję 13 grudnia, bo Polska nie przetrwa jej rządów. A rozbita i skłócona partia tego nie zrobi. Dlatego musi przejść przesilenie, czyli swego rodzaju trzęsienie ziemi. A silne geologiczne trzęsienia doprowadziły do tego, że powstała najbardziej odporna na kolejne wstrząsy infrastruktura.

MAŚLARZE KONTRA HARCERZE

Prorządowe media wyrażają ogromną radość, opisując spory w Prawie i Sprawiedliwości. A wpadają w ekstazę, kiedy rozbierają na czynniki pierwsze spór „maślarzy" z „harcerzami". To pierwsze określenie wzięło się stąd, iż Tobiasz Bocheński, jeden z potencjalnych kandydatów na premiera, uderzył w rząd Tuska z tego powodu, że w samolocie LOT z Frankfurtu do Warszawy podano mu masło „Deutsche Markenbutter", a nie polskie. „Harcerze" to natomiast ludzie Mateusza Morawieckiego, a sporo z nich wywodzi się właśnie z harcerstwa. Głównymi „maślarzami" prorządowe media okrzyknęły Jacka Sasina, Przemysława Czarnka, Patryka Jakiego i Tobiasza Bocheńskiego, liderami „harcerzy" zaś – Mateusza Morawieckiego, Michała Dworczyka, Pawła Jabłońskiego, Marcina Horałę, Waldemara Budę, Piotra Müllera. A w tle mają być jeszcze „ziobryści".

RADOŚNIE ZATROSKANI

17 grudnia 2025 r. dziennik „Rzeczpospolita" ogłosił, że „dziś to PiS, a nie rządząca koalicja zmaga się z największymi wewnętrznymi napięciami. W centrum tej rozgrywki są Mateusz Morawiecki, Jacek Kurski, Karol Nawrocki i wiele frakcji rywalizujących o wpływy". Można też przeczytać, że „całemu zamieszaniu towarzyszy coraz słabsza pozycja Jarosława Kaczyńskiego. Traci posłuch w partii, ale partii nie stracił".

> Wszystkie frakcje i skłóconych polityków PiS łączy jedno mocne przekonanie, że trzeba odsunąć od władzy koalicję 13 grudnia, bo Polska nie przetrwa jej rządów. A rozbita partia tego nie zrobi

Szczególną radość autorów „Rz" wywołuje przekonanie, że „to jest mordobicie, którego nie uda się ukryć", a „ataki na Morawieckiego mają też drugie dno – w rzeczywistości są krytyką Kaczyńskiego, który stał za jego nominacją i decyzjami". Ponoć „Jarosław Kaczyński poniósł klęskę, bo na prawo od Prawa i Sprawiedliwości są dziś dwie silne, rosnące partie. A Kaczyński przez lata prowadził politykę tak, żeby na prawo od PiS nic nie było, a teraz te partie zyskują realny wpływ".

W „Newsweeku" z 16 grudnia Jacek Gądek dostrzegł, że „za kulisami Prawa i Sprawiedliwości aż kipi". I odkrył „wigilijną wojnę w PiS". A to dlatego, że „partia i Mateusz Morawiecki zaprosili posłów na dwie różne wigilie. [...] Na wieczór 23 grudnia PiS zwołało »wigilię« dla swoich parlamentarzystów, na Nowogrodzkiej. A po niej, na godz. 21, Mateusz Morawiecki zaprosił posłów do swojego biura na przedświąteczne spotkanie". I zaczęły się pojawiać teorie spiskowe, że „Nowogrodzka" ogłosiła tylko jedną legitymizowaną wigilię, a Morawiecki zachował się jak „dywersant".

Jeszcze większą radość niż w przypadku „wojny wigilijnej" prorządowe media wyrażały w związku z wpisem Jacka Kurskiego na platformie X (22 grudnia 2025 r. wieczorem). W „Newsweeku" Gądek zinterpretował to tak, że Kurski „oskarżył byłego premiera o paktowanie z premierem Donaldem Tuskiem, rozbijanie PiS-u, a jego motywacji upatrywał w tym, że chce się jakoby przypodobać władzy, by ta mu [Morawieckiemu] nie stawiała zarzutów w sprawie afery RARS. Kurski pisał, że Morawiecki jest w wielkim strachu, więc należy mu zapewnić ochronę – brzmi to jak żart, bo w rzeczywistości »Kurze« chodzi o otoczenie Morawieckiego kordonem sanitarnym w PiS, a najlepiej wypchnięcie go z partii". O zgrozo, „tekst Kurskiego wcale nie powstał *ad hoc*, pod wpływem chwili. To jest tekst, który wcześniej krążył i był konsultowany z niektórymi politykami PiS. Ale był to tekst na użytek wewnętrzny – służył do zwalczania Morawieckiego. Gdy w PiS już zaczęło kipieć od walki Morawieckiego i »maślarzy«, to »Kura« poprosił Kaczyńskiego o zgodę na opublikowanie ataku na Morawieckiego. Prezes PiS dał zielone światło".

Zwiedziony rzekomo Jarosław Kaczyński nazwał wpis Kurskiego „niefortunnym" i tyle. Gądek odkrywa jeszcze drugie dno: „Jarosław Kaczyński w tym czasie rozmawiał telefonicznie z Morawieckim. Rozmowa ułożyła się tak dobrze, koncyliacyjnie ze strony byłego premiera, że Kaczyński chciał cofnąć zielone światło dane wcześniej »Kurze« na salwę armatnią na X wymierzoną w Morawieckiego. Ale wpis już był opublikowany. [...] Ludzie Morawieckiego zaczęli żądać, by [Kurski] go skasował. Skoro wpis nie zniknął, to

eprasa.pl ae11eb359b

musi oznaczać, że »maślarze« i »Kura« przekonali prezesa PiS, który nie jest biegły w mediach społecznościowych, że skoro już wpis jest opublikowany, to mleko się rozlało".

WOLNI KONTRA STERRORYZOWANI

Jacek Gądek odkrył w „Newsweeku", że „w ogóle to Morawiecki chce wyjść z PiS, choć może nie teraz". A jego redakcyjna koleżanka Dominika Długosz dodała, że „harcerze" wystąpili z inicjatywą „zbierania podpisów pod usunięciem Jacka Kurskiego z PiS". I przywołała wpis Waldemara Budy z 18 grudnia na platformie X na ten temat, oświecając publiczność, że „swoim pomysłem [Buda] chce przycisnąć prezesa do ściany i powiedzieć mu: »teraz, prezesie, musisz coś z tym zrobić«. No, chyba że kompletnie zwariował". Wnioski Długosz okazują się iście wojenne: „Są dwie opcje. Jedna, że oni naprawdę grają na aferę i chcą, żeby ich wszystkich z PiS wywalić. Druga, że poczuli krew, widzą, że prezes jest teraz bardzo słaby i chcą wyszarpać, ile się da, bo boją się, że prezes odzyska siły i będzie po nich". Doszło do tego, że „były szef rządu przekonał prezesa, że on i jego frakcja są potrzebni partii, bo nie da się iść tylko na prawo, a żeby wygrać wybory i myśleć o stworzeniu rządu, potrzebne będzie też bardziej centrowe skrzydło. Po tej rozmowie Kaczyński kazał Kurskiemu usunąć wpis na [platformie] X". I pojawiła się teoria spiskowa, że może „sam Morawiecki Kurskiego podpuścił". Żeby „maślarze" mieli twarz „Kury".

Jakby tego było mało, „cała ta historia od początku miała być przez prezesa zaplanowana". Bo „prezes przez lata prowadził wewnątrz PiS »politykę zarządzania chaosem« i ona doskonale mu się sprawdzała. Napuszczał na siebie frakcje i ich liderów, potem jednych nagradzał, innych karał, godził zwaśnione strony i doprowadzał do sytuacji, w której tylko on jeden jest w stanie tą skłóconą wewnętrznie formacją zarządzać. Teraz jest jednak inaczej. Frakcja Morawieckiego [...] postanowiła tym razem rozegrać prezesa, nie odstawiając nogi. Ale »maślarze« na pewno się przegrupują i ruszą z kolejną szarżą".

21 grudnia w „Gazecie Wyborczej" Agata Kondzińska doszła do wniosku, iż „lepiej, że to dzieje się teraz, niż w grudniu 2026, na niecały rok przed wyborami". Wprawdzie „była narada ścisłych władz o sytuacji w PiS. Były wezwania, by wyciszać konflikt. Były też rady, by informacje nie wyciekały z partii do dziennikarzy", ale „wszystko na nic".

Prorządowi dziennikarze są zawiedzeni, że „na razie Jarosław Kaczyński nie wykonuje gwałtownych ruchów, by wyciszyć konflikt w partii". W dodatku „debata o kierunku [programowym PiS] też stała się już publiczną. W Polskim Radiu 24 Piotr Müller, były rzecznik rządu Morawieckiego, a dziś europoseł PiS, wyłożył, że PiS to partia prawicowa i taką powinna pozostać. [...] Uznał też, że ściganie się z Braunem na hasła jest czymś niewłaściwym". Ale „jeśli partia Kaczyńskiego zacznie się poszerzać o centrum, zatriumfują ludzie Morawieckiego, jeśli stanie się odwrotnie, pozycję wzmocnią »maślarze« i »ziobryści«".

Największej opozycyjnej partii postanowiła „pomóc" także Polska Agencja Prasowa (18 grudnia). Zacytowała posła Marka Suskiego, który stwierdził: „Nasi wrogowie się tego [publicznego roztrząsania partyjnych spraw] przestraszyli, dopatrują się w tym jakiegoś konfliktu, a to jest obraz siły". A poseł Michał Moskal dodał: „Jesteśmy partią szeroką, w której jest wiele nurtów, wiele różnych grup, wiele poglądów na różne sprawy i jest naturalne, że się w takich partiach dyskutuje. [...] Nie jesteśmy partią sterroryzowaną jak Platforma Obywatelska".

PAP spekuluje, że „działania Morawieckiego mogą być obliczone na zawarcie jeszcze przed wyborami porozumienia wyborczego z PSL w przypadku wykluczenia ich z PiS. Jeśli frakcji Morawieckiego udałoby się jednak pozostać w partii, mogłaby być tym jej skrzydłem, które umożliwi po wyborach zawarcie koalicji rządowej z ludowcami, alternatywnej dla bardzo trudnej koalicji z Konfederacją i Braunem. A wówczas Morawiecki byłby naturalnym kandydatem na premiera takiego rządu".

JASNY PRZEKAZ

Rozstrzygnięcie, jaka w Prawie i Sprawiedliwości jest hierarchia i co oznacza konkretne przywództwo, wpłynie mobilizująco na elektorat, który nie miał pewności, dokąd to wszystko zmierza i czy w ogóle partia jest sterowna. To powodowało, że część zawiedzionych i zdezorientowanych wyborców zaczęła się orientować na Konfederację bądź KKP. Nie mniej niż sama partia przesilenia potrzebują sympatycy oraz wyborcy PiS, bo oni też są podzieleni na różne odłamy i często zdezorientowani oraz zdemobilizowani. A przesilenie wyczyści relacje nie tylko w partii, lecz także wśród wyborców PiS.

Paradoksalnie przesilenie w Prawie i Sprawiedliwości może się okazać najlepszą formą odbudowania zaufania do partii i ucieczką do przodu. Jego brak od miesięcy wpływał na to, że PiS nie wykorzystywało kolejnych kompromitacji rządu Tuska i nie wzmacniało się w sondażach, a nawet traciło. Działacze i wyborcy partii potrzebują jasnego określenia, kto będzie liderem i przyszłym premierem, jeśli Prawo i Sprawiedliwość wygra wybory. A ten lider będzie silniejszy, jeżeli wygra też rywalizację między frakcjami. Wiele wskazuje na to, że kłótnie i konflikty w PiS będą miały odwrotne skutki niż stara ludowa mądrość, że zgoda buduje, a niezgoda rujnuje. Tym razem to niezgoda będzie budować, a zgoda oznaczałaby marazm, stagnację i klajstrowanie rzeczywistości. Wyborcy dostają też sygnał, że nie są oszukiwani uspokajającymi komunikatami, podczas gdy pod dywanem trwa ostra i prawdziwa walka. Ujawnienie konfliktów czyni uczestnikami gry wszystkich i daje szansę na nowe otwarcie. Obiektywnie partię to wzmocni, a nie osłabi.

Ujawnienie i rozwiązanie konfliktów przy otwartej kurtynie może rewitalizować PiS, a także sprawić, że znajdzie się ono w podobnej sytuacji jak w 2019 r., gdy uzyskało rekordowy w całej III RP wynik 43,59 proc. poparcia dla jednej formacji i objęło samodzielne rządy, mimo że rządziło już od czterech lat.

Rządzący i ich media nie mają się więc z czego cieszyć.

eprasa.pl ae11eb359b



Rozczarowani Unią

Już co czwarty Polak chce wyjścia z Unii Europejskiej. Jednocześnie wielu byłoby gotowych zmienić zdanie na ten temat, gdyby wspólnota powróciła do swoich korzeni. Jednak Unia nie ma takiego zamiaru i robi wszystko, aby zniechęcić do siebie jeszcze więcej ludzi



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Tak gwałtownego spadku poparcia dla polskiego członkostwa w UE dotąd nie było. Z sondażu Eurobazooka przeprowadzonego pod koniec listopada 2025 r. na zlecenie francuskiego magazynu „Le Grand Continent" wynika, że aż 25 proc. Polaków chce wyjścia z Unii. Tymczasem jeszcze w 2022 r. za pozostaniem we wspólnocie opowiadało się 92 proc. ankietowanych. W ten sposób w ciągu zaledwie trzech lat z pozycji największych entuzjastów Unii przenieśliśmy się na miejsce największych eurosceptyków. Więcej przeciwników UE wśród badanych krajów policzono jedynie we Francji i we Włoszech.

Podobne są także wyniki sondaży przeprowadzonych w drugiej połowie minionego roku. Ipsos – podobnie jak Eurobazooka – naliczył 25 proc. przeciwników polskiego członkostwa w Unii, a brytyjski YouGov – 26 proc. Nie ma więc mowy o błędzie metodologicznym. Polaków rozczarowanych Unią zaczęło przybywać, i to w bardzo szybkim tempie.

TRZEŹWIENIE POLAKÓW

W liberalnych mediach pojawiły się już pierwsze lamenty i biadolenia nad rzekomą głupotą Polaków, którzy – rzecz jasna – dali się zwieść populistom i putinowskiej propagandzie. Mówi się, że nasz kraj stał się „słabym ogniwem Europy", a różni pożal się Boże eksperci zaczęli szukać związków między wygraną Karola Nawrockiego a wzrostem antyunijnych nastrojów w Polsce. Oczywiście wszystko to nie jest warte funta kłaków, bo tego rodzaju oceny mogą formułować wyłącznie ludzie cyniczni albo całkowicie otumanieni.

Gdyby bowiem uczciwie przyjrzeć się opublikowanym badaniom, to można z nich wyczytać coś bardzo ważnego. Z sondażu YouGov wynika, że przytłaczająca większość polskich przeciwników Unii mogłaby zmienić zdanie, jeżeli wspólnota zmodyfikuje swoją dotychczasową politykę. Po odliczeniu tych osób z grona eurosceptyków pozostaje jedynie 6 proc. nieprzejednanych wrogów członkostwa w Unii. Co więcej, również wśród osób deklarujących poparcie dla członkostwa w Unii ponad połowa uważa, że wspólnota nie działa we właściwy sposób. Oznacza to, że większość Polaków – łącznie 61 proc. – ma zastrzeżenia wobec funkcjonowania europejskiej wspólnoty. Przy czym część z nich ciągle jeszcze wierzy

Fot. Shutterstock

eprasa.pl ae11eb359b

w Unię, a inni tę wiarę już porzucili. Warto zatem wyjść poza wyświechtane frazesy o niedojrzałości Polaków i poszukać źródła ich rozczarowania w samej Unii. Bo to właśnie ona jest problemem.

Żeby to zrozumieć, trzeba się cofnąć do 2004 r., gdy Polska wstępowała do UE. Po półwieczu komunistycznej poniewierki członkostwo we wspólnocie było wówczas dość powszechnie postrzegane jako sprawiedliwość dziejowa. Jednak przede wszystkim widziano w nim szansę na skok cywilizacyjny, który zagwarantuje Polakom wolność, da im bogactwo i perspektywy na przyszłość.

Przez pierwsze kilkanaście lat rzeczywiście tak było. Polacy zarabiali coraz lepiej, podróżowali po świecie i nabierali pewności siebie. Zmiany na korzyść były zauważalne nawet w detalach, takich jak ubiór, znajomość języków czy kultura pracy. W trakcie jednego pokolenia nasze wynędzniałe społeczeństwo stało się relatywnie zamożne, dobrze ułożone i – spoglądając z boku – całkiem zintegrowane z resztą Europy.

UNIJNY HARACZ

Z ludzkimi aspiracjami zwykle jest jednak tak, że jak już osiągnie się wyższy poziom, to chce się iść dalej. Tymczasem okazało się, że nasz rozwój w ramach Unii jest ściśle limitowany. Wielki udział mają w tym Niemcy oraz obecny rząd Donalda Tuska, który zahamował większość inwestycji, bo mogły stanowić niebezpieczną konkurencję dla naszego sąsiada z zachodu. Trudno nie mieć tu skojarzeń z dawną RWPG, która z polecenia Moskwy ustalała kiedyś, co i na jaką skalę wolno produkować w krajach członkowskich.

Coraz więcej ludzi zaczęło też zauważać, że członkostwo w Unii to nie tylko zyski, lecz także koszty. Europa Środkowo-Wschodnia stała się niemal dziewiczym polem eksploracji dla silnego, pozbawionego realnej konkurencji, zachodniego kapitału. Kilka lat temu słynny francuski ekonomista Thomas Piketty opublikował dane, z których wynikało, że wartość zysków i innych dochodów z własności wyprowadzanych przez zachodni kapitał z Polski, Czech, Węgier i Słowacji jest wyższy niż środki, które te państwa otrzymują z Unii Europejskiej.

Piketty podsumował swoje ustalenia dosadnie, twierdząc, że unijny kapitał, przejmując kontrolę nad ponad połową aktywów firm, po prostu skolonizował Europę Wschodnią i wykorzystując niskie płace, czerpie z niej pokaźne zyski, znacznie przewyższające pomoc, jaką państwa naszego regionu otrzymują z Brukseli. Nie da się więc dłużej twierdzić, że te kraje są beneficjentami Unii.

W Polsce odbywa się to za pomocą różnych sztuczek: od opłat frankowych po najrozmaitsze kursy, szkolenia i usługi wykonywane przez spółkę matkę dla spółki córki w Polsce. W 2017 r. Mateusz Morawiecki (wówczas jeszcze wicepremier) oceniał, że co roku wypływało w ten sposób za naszą granicę 90 mld zł.

> Warto wyjść poza wyświechtane frazesy o niedojrzałości Polaków i poszukać źródła ich rozczarowania w samej Unii. Bo to właśnie ona jest problemem

Osiem lat rządów PiS w zestawieniu z późniejszą służalczą postawą Tuska otworzyło wielu Polakom oczy na ten – ukrywany dotąd – element naszego członkostwa w Unii. Ludzie zrozumieli, że jesteśmy dla innych dojną krową i każda próba wyrwania się z tej zależności jest przez Unię brutalnie pacyfikowana. Inaczej mówiąc: mamy znać swoje miejsce w szeregu i nie wychylać się, bo w przeciwnym razie dostaniemy po głowie.

PRZYSZŁOŚĆ PEŁNA OBAW

W rezultacie po ponad 20 latach członkostwa Unia, traktowana początkowo jako motor napędowy Polski, stała się nagle hamulcem naszego rozwoju. Jeżeli jeszcze kilka lat temu zdecydowana większość Polaków myślała, że czekają nas dekady niekończącej się szczęśliwości i bogactwa, to dziś przestajemy w to wierzyć. Jest odwrotnie – Unia coraz częściej zaczyna się kojarzyć z biedą i niepewnością.

Przy czym nie chodzi tu tylko o nasze podcięte skrzydła czy zablokowane aspiracje. Za sprawą obłąkanej polityki klimatycznej stajemy w obliczu katastrofy gospodarczej na niespotykaną dotąd skalę. Grozi nam głód i chłód – w dosłownym sensie. Zielony Ład może doprowadzić do zagłady rolnictwa i kryzysu energetycznego. Jeżeli te szalone pomysły zostaną wprowadzone w życie, istnieje duże ryzyko, że cofniemy się w rozwoju o kilka dekad.

W Europie niewiele też już zostało z dawnej troski ojców założycieli wspólnoty o harmonijny rozwój, pokój społeczny i dobro obywateli. Dzisiejsza oligarchia potrafi jedynie ciąć koszty i maksymalizować zyski. To dlatego w ostatnich latach ściągnięto miliony imigrantów, którzy – co było do przewidzenia – stali się gigantycznym obciążeniem dla przyjmujących ich państw. Wymyślono więc pakt migracyjny, który przerzuci koszty tej nieudanej „inwestycji" na zwykłych ludzi. Polska, która dotąd skutecznie opierała się temu „ubogaceniu", będzie prawdopodobnie musiała przyjąć – po ewentualnym zwycięstwie KO w kolejnych wyborach parlamentarnych – dziesiątki tysięcy zupełnie niezintegrowanych z naszym światem ludzi. Na zawsze zmieni to krajobraz społeczny naszego kraju i stanie się przyczyną groźnych konfliktów. Wszystko to powoduje, że problem z Unią zaczyna mieć dla nas charakter egzystencjalny. Nie na taką wspólnotę umawialiśmy się w 2004 r.

Oczywiście unijna oligarchia zdaje sobie sprawę z tego, że sprowadza nieszczęście na własne narody. Jednak jest zbyt pazerna na pieniądze i zbyt skorumpowana, aby powiedzieć: „Stop". Nie robi tego nawet w obliczu ryzyka wojny z Rosją. Zamiast tego tłumi społeczne niezadowolenie za pomocą agresywnej ideologii, uprawiania propagandy, tworzenia „zapór ogniowych" wokół nieprawomyślnych

eprasa.pl ae11eb359b

środowisk, a jak trzeba, to i policyjnej pałki.

Demokratyczny mandat unijnych funkcjonariuszy jest fikcją, bo gdyby w dzisiejszej Europie obowiązywały równe zasady gry, to jej scena polityczna wyglądałaby zupełnie inaczej. Choć trzeba uczciwie przyznać, że ta scena niekoniecznie byłaby lepsza dla Polski. Jest to jednak skutek unijnej polityki, która prowadzi do zaostrzenia polaryzacji i promocji najbardziej skrajnych sił. Krótko mówiąc, Unia sama na siebie kręci bat.

Z TWARZĄ TUSKA

Mając świadomość tego wszystkiego, znacznie łatwiej odpowiedzieć na pytanie, dlaczego rośnie liczba Polaków (i nie tylko Polaków) przeciwnych Unii. Spośród wszystkich obietnic i nadziei związanych z członkostwem w UE 20 lat temu niewiele dziś pozostało. Co więcej, zaczynają pojawiać się obawy o przyszłość.

Miało być bogato, tymczasem za sprawą polityki unijnej grozi nam kryzys gospodarczy i ubóstwo. Miało być bezpiecznie, ale za naszą granicą trwa wojna, na którą Unia nie ma widocznego wpływu, za to próbuje się nam wepchnąć do kraju dziesiątki tysięcy imigrantów. Miała być wolność, jednak zamiast niej wprowadza się cenzurę i przymus ideologiczny. Miała być równość wszystkich państw, a przygotowano nam miejsce w tylnym szeregu. Miało być racjonalnie, ale wystarczy spojrzeć na nakrętki do butelek, aby zobaczyć, czym żyją unijni urzędnicy. Miało być uczciwie, tymczasem Unią wstrząsają kolejne skandale korupcyjne. Miała być demokracja, ale zastąpiła ją brutalna walka polityczna.

Przeciętny obywatel UE jest nikim, a jego zdanie w ogóle się nie liczy. Ciągle możemy podróżować, ale i tak – za sprawą kryzysu migracyjnego – powracają kontrole na granicach. Czy w tej sytuacji należy się dziwić, że zwolenników takiej Unii ubywa i że ludzie chcieliby innej wspólnoty?

Oczywiście można zadać pytanie, dlaczego Polacy zaczęli sobie uświadamiać rzeczywistość dopiero w ostatnich dwóch latach. Pierwsza, najprostsza odpowiedź brzmi: bo wtedy zaczął rządzić Donald Tusk. Ale to tylko część prawdy. Problem z Unią ma ścisły związek z polityką Niemiec i tak naprawdę zaczął się już w 2015 r., gdy Berlin próbował nam wepchnąć – w ramach relokacji – nielegalnych imigrantów. Doprowadziło to wówczas do przegranej PO w wyborach i zwycięstwa PiS. Od tamtej pory Niemcy prowadzili nieustanną wojnę podjazdową z Polską. Nie działali jednak z otwartą przyłbicą, lecz wysługiwali się instytucjami unijnymi. W ten sposób Unia stała się stroną wewnętrznego konfliktu politycznego w Polsce. To właśnie za sprawą tego zaangażowania Unii duża część elektoratu obozu patriotycznego zaczęła się przesuwać na pozycje eurosceptyczne.

> Kilka lat temu większość Polaków myślała, że czekają nas lata niekończącej się szczęśliwości, ale dziś przestajemy w to wierzyć. Unia coraz częściej zaczyna kojarzyć się z biedą i niepewnością

Ostatnie tąpnięcie notowań Unii w Polsce jest jednak znacznie szersze. Ma ono związek z pogarszającą się sytuacją gospodarczą i kompletną nieudolnością obecnej władzy, która jest ostentacyjnie prounijna. Tusk obiecał przecież, że po jego zwycięstwie popłyną do Polski miliardy z KPO, blokowane wcześniej przez Unię. No i popłynęły, ale po chwili rozpłynęły się w różnych kieszeniach. Większość ludzi uznała to – i słusznie – za oszustwo.

Wątpliwości jest więcej. Skoro Tusk jest „królem Europy", to dlaczego nie potrafi niczego załatwić w Unii? Czemu nie sprzeciwia się najbardziej szkodliwym pomysłom? W tym sensie jego nieudolność – zwłaszcza w porównaniu z polityką poprzedniej ekipy – również zaczyna grać przeciwko Unii.

Oczywiście na tej zmianie nastrojów zyskuje nie tylko PiS, które ciągle jest oskarżane przez część środowisk – zwłaszcza konfederackich – o błędy w polityce wobec Unii. Wśród beneficjentów wyraźnie wyróżnia się tutaj partia Grzegorza Brauna, ale jego popularność jest skutkiem, a nie przyczyną nastrojów eurosceptycznych. On po prostu wygrywa na fatalnej polityce unijnej, tak samo jak wygrywa na niej AfD w Niemczech i inne skrajne formacje w Europie.

KOALICJA CHĘTNYCH

Czy jest jeszcze szansa na to, że Unia się zmieni i powróci do swoich dawnych wartości? Wielu Polaków, w tym większość eurosceptyków, bardzo by tego sobie życzyła. Niestety trudno być tutaj optymistą. Bo nawet gdyby unijna oligarchia upadła, to jej miejsce prawdopodobnie zajęłyby siły skrajne, kompletnie niezainteresowane jakąkolwiek europejską wspólnotą.

Przekonanie, że w takiej sytuacji sami damy sobie radę, leżąc w strefie zgniotu pomiędzy agresywną Rosją a Niemcami, jest naiwne. Również rojenia o polexicie nie mają sensu, bo jesteśmy zbyt zintegrowani ekonomicznie z Unią, aby przetrwać samodzielnie. Ten zaś, kto wierzy w mityczne umowy handlowe z Ameryką, powinien jeszcze raz poczytać o polityce celnej Trumpa.

Jednocześnie Unia w obecnym kształcie jest – jak wiele na to wskazuje – skazana na klęskę i doświadczy jej boleśnie każdy kraj członkowski, w tym Polska. W tym sensie nasza sytuacja nie jest dobra. Bo zarówno federalizacja Europy i dalsze tkwienie w obecnym układzie, jak i jego rozpad stanowią dla nas zagrożenie.

Najlepsze w tej sytuacji wydaje się więc mozolne budowanie z udziałem Polski przymierza państw europejskich, które w przyszłości stałyby się zaczątkiem nowej wspólnoty – czegoś w rodzaju koalicji chętnych. Jednak aby to w ogóle było możliwe, najpierw musimy przetrwać Tuska.

eprasa.pl ae11eb359b

Wypędzanie demonów postkomunizmu

Okrągły stół jest fałszywym symbolem wolności, przez naród był traktowany z obojętnością. Odsyłając go do muzeum, prezydent Nawrocki przegonił demony postkomunizmu oraz wyegzorcyzmował jego mit. I bardzo dobrze



MACIEJ WALASZCZYK



Fot. Marek Borawski/KPRP

W kwietniu 2004 r., wraz z dobiegającą wtedy końca drugą kadencją, prezydent Aleksander Kwaśniewski postanowił wystawić okrągły stół dla zwiedzających. Oprócz 15. rocznicy zakończenia rozmów między nieposiadającą legitymizacji społecznej PZPR a częścią reanimowanej opozycji była to chyba ostatnia próba politycznej kanonizacji tzw. historycznego kompromisu. Aktywnemu udziałowi w tamtym porozumieniu ówczesny prezydent zawdzięczał wszak swą błyskotliwą karierę polityczną, więc także wtedy używał wielkich słów, by nadać temu wydarzeniu historyczną rangę.

Jednak nawet przy takich wysiłkach propagandowych pookrągłostołowym elitom nie udało się umieścić mebla w galerii narodowych świętości. Polacy – zamiast „rycerzy okrągłego stołu" – widzieli w uczestnikach tego porozumienia raczej przebiegłych aktorów politycznego teatru. Efektem układu z 1989 r. były przecież zarówno reglamentowane i półdemokratyczne wybory, jak i całe przemiany tamtego czasu.

Gdy Kwaśniewski wystawiał ów mebel dla zwiedzających, ukazywały się ważne prace historyczne opisujące te wydarzenia, np. „Reglamentowana rewolucja" prof. Antoniego Dudka, potwierdzające tylko to, czego wszyscy byli świadkami, i udowadniające, że odbywało się to pod ścisłą kontrolą władzy i za aprobatą Kremla. Np. jeszcze w listopadzie ówczesny prezydent Wojciech Jaruzelski przekonywał ostatniego przywódcę NRD Egona Krenza, że w PRL partia oddała „jedynie przedsiębiorstwo", w którym jednak zapewniła sobie kontrolny pakiet akcji, to znaczy „udział w rządzie, w organach bezpieczeństwa i w wojsku oraz urząd prezydenta". A wspomniany już Aleksander Kwaśniewski przekonywał członków Biura Politycznego, że „okrągły stół jest ideą władzy". „Nie ma porównania między okrągłym stołem a stołem, który stał w sali BHP w Stoczni Gdańskiej, bo tam byliśmy zmuszeni do rozmów, a tu to my rozdajemy karty" – tłumaczył młody polityk.

Ani partia, ani dogadująca się z nią opozycja nie dostrzegały, że dynamika zmian z tygodnia na tydzień stawała się korzystna dla tej drugiej, otwierając zupełnie nowe perspektywy polityczne. Ale opozycja uległa pokusie politycznego układu, który konserwował i zabezpieczał wpływy komunistycznego aparatu oraz służb specjalnych. Dlatego Polacy faktycznie nigdy nie uznali tego wydarzenia za wyjątkowe, tak jak wyborów czerwcowych i wielu innych

eprasa.pl ae11eb359b

konsekwencji forsowanych wbrew ich woli, z planem Balcerowicza czy paleniem teczek SB na czele.

Pierwsze demokratyczne wybory odbyły się w Polsce półtora roku po zakończeniu obrad, w listopadzie i grudniu 1990 r. Ale dotyczyły one prezydenta. Z pełni demokratyczną elekcją do Sejmu i Senatu czekano grubo ponad dwa lata, aż do jesieni 1991 r. Zresztą jej wynik – podobnie jak wyborów prezydenckich – był konsekwentnie kwestionowany jako efekt braku dojrzałości Polaków do demokracji.

NA ŚMIETNIK HISTORII

Okrągły Stół trafił do Muzeum Historii Polski. Decyzja zapadła jeszcze za czasów Andrzeja Dudy, a wnioskował o to były już dyrektor i faktyczny twórca MHP Robert Kostro.

„Niezależnie od tego, jak go oceniamy, to z całą pewnością pałac prezydencki nie jest miejscem, w którym powinien on stać. Oddajemy go historii" – powiedział prezydent podczas konferencji. Jak pokreślił, teraz wokół niego nadal będą mogły się odbywać debaty akademickie, naukowe.

Przyznajmy, że jest to znakomita decyzja. Od teraz o ówczesnych zasługach i winach, obciążeniach, traumach, a także metodach politycznej manipulacji i technikach sprawowania władzy niech dyskutują politolodzy i historycy. Ale już bez zbędnego zadęcia i budowania wokół tego tematu fałszywej, pokoleniowej mitologii.





Fot. Marek Borawski/KPRP

Jak słusznie zauważył prezydent, tego wydarzenia nie można idealizować, oddając mu hołd w pałacu prezydenckim. Okrągły stół symbolizował bowiem domknięcie systemu politycznego już na samym początku istnienia III RP. Na tym polegała jego logika. Każda próba rozhermetyzowania systemu „monowładzy" (określenie Jarosława Kaczyńskiego) kończyła się polityczną awanturą i oskarżaniem o zamach na demokrację oraz jej wartości. Tak było w 1990 r., gdy w demokratycznych skądinąd wyborach prezydenckich wystartował nie tylko lider reaktywowanej Solidarności przeciwko premierowi Tadeuszowi Mazowieckiemu, lecz także Stanisław Tymiński. Było tak również później, gdy działania opozycyjnych wobec tego systemu partii politycznych (Porozumienie Centrum, RdR) i ich polityków były dezorganizowane poprzez tajne działania zespołu płk. Lesiaka i ówczesnego UOP. Tak było z rządem Jana Olszewskiego i lustracją. Tak też wyglądał duży i średni biznes oraz cały system medialny III RP, m.in. przyznawanie koncesji na rynku radiowo-telewizyjnym z ITI na czele, dość szczelnie kontrolującym to, co społeczeństwo demokratycznej i niepodległej III RP miało myśleć na temat polityki. Ten świat uległ jednak dekompozycji.

Pierwszy znaczący cios otrzymał chyba w 2001 r., gdy w wyborach ostatecznie przepadła Unia Wolności, a potem w 2005 r., gdy do politycznego lamusa odesłano SLD. Ten proces trwa od wielu lat i wciąż widzimy jego kolejne odsłony. Jego częścią jest przecież druga z kolei klęska Rafała Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich i to, że obecny prezydent zdołał go pokonać w demokratycznych wyborach. To dlatego kwestionowana była ich ważność. Na scenę polityczną wkroczyło już inne pokolenie, a partie, których geneza sięga 1989 r. – poza rachitycznym PSL – nie istnieją. Chyba że zaliczymy do nich Koalicję Obywatelską, przepoczwarzoną z dawnej PO, zbudowanej wszak na gruzach UW i gromadzącą w swych szeregach okrągłostołowy personel oraz popierający go elektorat.

eprasa.pl ae11eb359b

SZLOCH I ZGRZYT ZĘBÓW

Polacy w zdecydowanej większości pozytywnie ocenili decyzję prezydenta. Dobrze lub bardzo dobrze odniosło się do niej aż 51 proc. ankietowanych, a źle lub bardzo źle – jedynie 30,8 proc. Ale można też było usłyszeć jęki i szloch, a nawet bezsilne już zgrzytanie zębami wszystkich, którzy przez 35 lat głosili jedyną słuszną interpretację „historycznego kompromisu", będącą raczej czymś w rodzaju nieustannego szlifowania kantów owego politycznego mebla.

Rozpoczęte 6 lutego 1989 r. obrady stały się oczywiście wydarzeniem, po zakończeniu którego nic już nie było takie samo. Bo okazały się wprost wyjęte z „Lamparta" Tomasiego di Lampedusy, w którym padła znana myśl, że „jeśli chcemy, by wszystko pozostało tak, jak jest, wszystko się musi zmienić". Dlatego fałszywie brzmią lamenty i utyskiwania np. byłego premiera, a w 1989 r. działacza PZPR Leszka Millera, który w znanym sobie stylu szydził, że decyzji prezydenta nie towarzyszyły „fanfary i konfetti", gdy „duchy generałów Jaruzelskiego snuły się po korytarzach, a opozycjoniści z Solidarności płakali w niebie, że ich wysiłek poszedł na marne".

Oczywiście prezydent wyegzorcyzmował ów mit, krusząc fałsz jego politycznej interpretacji, a demony postkomunizmu – w tym Jaruzelskiego, Kiszczaka, Geremka – symbolicznie wygnał tam, gdzie ich miejsce.

Agnieszka Kublik pisała w „GW" o odesłaniu do lamusa „najbardziej znanego na świecie symbolu ogromnego sukcesu Polaków". „W muzeum okrągły stół zamieni się w mebel" – komentował Władysław Frasyniuk. Chyba najśmieszniejszą kwestię w tym przedstawieniu wygłosił obecny marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty, grzmiąc, że decyzję tę traktuje osobiście jako „zerwanie porozumienia, zerwanie języka współpracy i szukania zasad kompromisu".

Choć w tzw. wyborach czerwcowych PZPR miała poparcie na poziomie 20–25 proc., udział jej aparatu w systemie politycznym i gospodarczym III RP – szczególnie w kolejnych latach – był o wiele większy. Więc choć po 4 czerwca spektakularnie stracili kontrolę nad sytuacją, to udział w rządzie Mazowieckiego faktycznie odbudował ich siłę na wiele lat.

Aleksandra Jakubowska, relacjonująca wówczas przebieg obrad dla TVP, wspominała, że większość polityków strony partyjno-rządowej zachowywała się tak, jakby uczestniczyła w jakimś przedstawieniu, które zaraz się skończy, po czym zapadnie kurtyna i znów wrócą do tego, co było wczoraj i tydzień temu. „Zapewne sporą rolę odegrała głęboko zakorzeniona arogancja i brak elementarnego rozeznania w prawdziwych nastrojach społecznych" – pisała w swoich wspomnieniach.

> Okrągły stół jest symbolem politycznego kontraktu, a nawet tajemniczej zmowy, której kulisy przez długi czas były ukrywane przed społeczeństwem. Stał się alegorią braku dekomunizacji i moralnej dwuznaczności

Pomagała im w tym zresztą wydatnie włączona w układ władzy opozycja. Np. w projekcie budżetu na 1990 r., a więc w pierwszym okresie jego działalności, w którym PZPR miała pakiet kontrolny, przewidziano środki na finansowanie cenzury. Ówczesny podsekretarz stanu w Urzędzie Rady Ministrów Jerzy Ciemniewski (w trakcie okrągłego stołu członek zespołu do spraw prawa i wymiaru sprawiedliwości) wyjaśniał, że są one konieczne, gdyż trzeba bronić państwo przed „przestępstwami prasowymi". A sam „pierwszy niekomunistyczny" premier dodawał, że prasie trzeba uniemożliwić prowokowanie Związku Radzieckiego.

W grudniu 1989 r. ani Czechom, ani Węgrom – choć proces zmian rozpoczynał się tam z kilkumiesięcznym poślizgiem – nic nie przeszkadzało w rozpoczęciu negocjacji na temat wyprowadzenia wojsk sowieckich ze swojego terytorium. Niestety premier Mazowiecki bał się tego i opierał, twierdząc, że ich obecność w dalszym ciągu jest gwarantem nienaruszalności granicy na Odrze.

KROKODYLE ŁZY

Wszyscy lejący łzy – już nie tyle za symboliką okrągłostołową, ile utraconą lub zakwestionowaną pozycją polityczną oraz miejscem w historii – mogliby więc trochę wyhamować. Jeśli tak wiele mówią o sztuce politycznego kompromisu, wartościach demokracji i pluralizmie, to mieli szansę udowodnić ich znaczenie np. w latach 2005, 2015, 2019, 2024 i przyjąć wtedy swe polityczne porażki, będące jednocześnie zwycięstwami swoich oponentów. A faktycznie innej wizji polityki, gospodarki oraz odmiennych opinii i historycznych ocen.

Chyba jedną z najważniejszych lekcji ostatnich 35 lat jest ta o istnieniu najbardziej nietolerancyjnej i zamkniętej strony politycznego sporu w Polsce, którą jest owa pookrągłostołowa elita, przekonana o swych zasługach i racjach, nigdy niepodzielanych przez większość społeczeństwa. Okrągły stół jest bowiem symbolem politycznego kontraktu, a nawet tajemniczej zmowy, której kulisy przez długi czas były ukrywane przed ludźmi. Stał się alegorią braku dekomunizacji i moralnej dwuznaczności, uwłaszczenia się na majątku narodowym i otwarcia drogi do radykalnych przemian gospodarczych oznaczających likwidację całych branż, braku polityki przemysłowej i ekonomicznej kolonizacji.

W warstwie symbolicznej prezydent Karol Nawrocki uznał, że wolną, suwerenną, niepodległą, ambitną Polskę stać na dużo więcej niż idealizację tamtych czasów. Okrągły stół jest bowiem jedynie częścią opowieści o schyłku PRL.

eprasa.pl ae11eb359b



Gdy dzieci zabijają dzieci

Od ciosów nożem ginie 11-latka. Zabójczyni jest tylko o rok starsza. Podobno chciała zobaczyć, jak to jest zabić człowieka. Wobec takich zdarzeń społeczeństwo wydaje się bezradne



DOROTA ŁOSIEWICZ

Jelenia Góra, 15 grudnia 2025 r., mały skwer przy ul. Wyspiańskiego, kilkaset metrów od Szkoły Podstawowej nr 10, stał się miejscem niewyobrażalnej tragedii. Ratownicy znaleźli tam ciało 11-letniej dziewczynki. Widoczne były na nim obrażenia zadane ostrym narzędziem, które zabezpieczyli śledczy. Służby od razu potraktowały to jako zabójstwo.

Imię dziewczynki – Danusia – zaczęło krążyć wśród mieszkańców miasta. Dla rodziny, szkoły i przyjaciół to „wzorowa uczennica, pogodna i ambitna". Taka, którą opisywano jako lubianą, z sukcesami w nauce i aktywnościach szkolnych. Równie szybko pojawiło się imię innej, o rok starszej dziewczynki. Już następnego dnia prokuratura poinformowała, że zbrodni mogła dokonać uczennica tej samej szkoły – 12-letnia Hania, którą zatrzymano w związku z podejrzeniem o dokonanie tego czynu.

15 grudnia nic nie zapowiadało dramatu. W szkole uczy się ponad 700 dzieci, dzień toczył się swoim rytmem: lekcje, przerwy, śmiech na korytarzach. Hania z VII klasy kończyła zajęcia wychowania fizycznego. Danusia, piątoklasistka, wyszła po lekcji religii. Znały się, choć nie były przyjaciółkami. Spotykały się na kółku teatralnym, obie należały do harcerstwa. Dzwonek kończący lekcje rozbrzmiał o 14.25. Dziewczynki wyszły ze szkoły niemal w tym samym czasie.

DRAMAT

Mieszkały niedaleko siebie, po przeciwnych stronach potoku. Danusia szła w stronę skrótu – wąskiego przejścia między domami, prowadzącego do kładki nad niewielką rzeczką. Minęła stojącą przy przejściu Hanię. „Ta zaczęła ją zaczepiać" – relacjonują na łamach „Faktu" świadkowie, powołując się na informacje, które krążą wśród uczniów i dorosłych. Danusia nie reagowała. Hania poszła za nią. Jak mówią rozmówcy tabloidu, chwilę później w ręku Hani pojawił się nóż – harcerska finka.

Wokół stoją domy. Okna, balkony, ogrody. A jednak nikt nie zareagował. Jeden z chłopców wracających ze szkoły zobaczył, jak dziewczynki się szamoczą. Przerażony pobiegł do domu i powiedział ojcu, co widział. O 14.50 na miejscu pojawiły się karetki i policja. Danusia leżała w zaroślach, ciężko ranna. Ratunek nie przyszedł na czas. O tym, że 12-latka przyniosła do szkoły w plecaku dwa noże kuchenne, dowiedziano się po tragedii. Podobno wszyscy jednak wiedzieli, że Hania nosiła do szkoły harcerską finkę.

JAK SIĘ ZABIJA CZŁOWIEKA?

Po zabójstwie Hania miała wrócić do domu, a potem ponownie pojawić się w miejscu tragedii. Ślady krwi doprowadziły śledczych do jej posesji. Według relacji świadków była w szoku, próbowała odebrać sobie życie. Tłumaczyła, że została zaatakowana i się broniła. Kontakt z nią był utrudniony. Została przewieziona do szpitala, gdzie sprawdzano, czy nie była pod wpływem środków psychotropowych. Przesłuchanie odbyło się w obecności psychologa. Według „Faktu" jedna z matek uczniów przytoczyła słowa Hani, które – jak twierdzi – padły podczas rozmów ze śledczymi. Miała powiedzieć, że chciała sprawdzić, jak się zabija człowieka.

Według relacji medialnych od pewnego czasu Hania była inna. Stała się

Fot. NewsLubuski/East News

eprasa.pl ae11eb359b

wycofana, zamknięta w sobie, izolowała się. Miała się też fascynować militariami, nosiła bojówki. Na kontach dziewczynki w mediach społecznościowych pojawiały się niepokojące obrazy: zdeformowane postacie, fragmenty ciał, przemocowe motywy. Na jednym z nagrań dostępnych w social mediach Hania siedzi z kocem na głowie, krzyczy, że „nie zgadza się na szkołę", uderza głową o ścianę.

Sprawą zajmuje się sąd rodzinny – dziewczynka nie ukończyła 13 lat. Hania została umieszczona w szpitalu na obserwacji. Sąd Rodzinny w Jeleniej Górze wydał w jej sprawie tzw. zarządzenie tymczasowe. Nie ujawnił jego treści. Co to oznacza? Czy Hania będzie normalnie uczyła się w szkole? Czy wróci do domu? Wszyscy zadają sobie te pytania.

SZOK

Dramat w Jeleniej Górze to sytuacja skrajna i rzadka – zabójstwo dziecka przez dziecko jest zdarzeniem, które w polskich statystykach kryminalnych pozostaje ekstremalnym wyjątkiem.

Ta tragedia każe jednak postawić pytanie o szerszy kontekst przemocy wśród dzieci i młodzieży w Polsce. Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę prowadzi cykliczne badania w tej sprawie. Ostatnia edycja miała miejsce w 2023 r. Z badania wynika, że przemoc rówieśnicza w Polsce to problem powszechny, większość młodych ludzi zetknęła się z nią choć raz. Obserwuje się wyraźny wzrost przemocy zarówno fizycznej, jak i psychicznej w porównaniu do poprzednich lat.

Aż 79 proc. dzieci i nastolatków w wieku 11–17 lat przynajmniej raz w życiu doświadczyło przemocy. Krzywdzenia doświadczają najczęściej ze strony swoich rówieśników (66 proc.) i bliskiej osoby dorosłej (32 proc.). W ciągu ostatnich 10 lat fizyczna przemoc rówieśnicza wzrosła z 41 do 48 proc., a przemoc psychiczna – z 28 do 43 proc. Długotrwałe znęcanie się zgłaszało więcej nastolatków niż w poprzednich edycjach badań (11 proc. w 2013 r. i 18 proc. w 2023 r.).

Te liczby pokazują, że agresja wśród dzieci nie jest rzadkim zjawiskiem, ale częścią codziennych doświadczeń wielu małych ludzi. Większość takich sytuacji nie kończy się tragedią, ale milczące cierpienie, wykluczenie społeczne czy powtarzająca się przemoc mogą prowadzić do poważnych skutków psychicznych i społecznych.

Psycholodzy i pedagodzy podkreślają, że przemoc rówieśnicza – podobnie jak domowa – może eskalować, jeśli nie jest odpowiednio rozpoznawana. Dzieci, które doświadczają albo stosują agresję, często potrzebują profesjonalnej pomocy i wsparcia, zarówno indywidualnego, jak i systemowego. Eksperci coraz częściej podkreślają, że nie chodzi tylko o reagowanie na pojedyncze incydenty, lecz o systemowe podejście: edukację emocjonalną, rozwijanie kompetencji społecznych, umiejętność rozpoznawania sygnałów ostrzegawczych i tworzenie przestrzeni, w której każde dziecko czuje się wysłuchane i wsparte.

EROZJA WARTOŚCI

Z badań wynika, że istnieje silny związek między postawami rodzicielskimi i środowiskiem rodzinnym a tendencjami do zachowań agresywnych, co może wpływać na relacje w klasie i zachowania rówieśnicze.

„Atak na wiarę, na Kościół, na religię, na rodzinę za pośrednictwem mediów liberalno-lewicowych sprawia, że młodzi ludzie są dziś bardzo często zagubieni. A brutalizacja życia to m.in. wynik ataku i negowania autorytetów. A efekt jest taki, że młodzi ludzie później gubią się w tym świecie bez wartości, w którym jest wiele zła" – wyjaśniał mi kiedyś powody rosnącej agresji wśród dzieci i młodzieży były wiceminister sprawiedliwości Marcin Warchoł.

Marek Grabowski, prezes Fundacji Mamy i Taty, tłumaczy zaś: – Przyczyn problemu brutalizacji wśród młodzieży upatrywałbym w osłabieniu i rozpadzie rodziny oraz więzi rodzinnych. Za tym idzie osłabienie kontroli społecznej i wychowania, czyli przekazywania wzorców norm i wartości. Młodzież, nie mając autorytetów, pozostawiona jest sama sobie, czyli ulicy i mediom. Jak spojrzymy na te media, np. TikToka, to zobaczymy, że epatuje on silnymi emocjami, przemocą, agresją. Młodzi ludzie, czasem bez perspektyw, pozbawieni moralnego kręgosłupa też chcą zostać gwiazdą TikToka. Dlatego np. nagrywają sceny pełne przemocy.

ZABÓJCZA SIEĆ

Według policji spada wiek młodocianych przestępców oraz rośnie liczba przestępstw dokonywanych z dużą dozą agresji. Z policyjnych danych wynika również, że bardziej brutalne i skłonne do bójek stały się dziewczęta. Eksperci są zgodni, że winę za brutalność dzieci ponosi także internet, który jest kopalnią wszelkich wypaczeń. Można tam znaleźć najbardziej wyszukane przykłady przemocy wobec rówieśników, zwierząt oraz treści pornograficzne. A dane dotyczące korzystania z internetu i mediów społecznościowych przez dzieci, opublikowane w raporcie „Internet dzieci", są zatrważające.

Skala korzystania przez dzieci z najpopularniejszych aplikacji społecznościowych i komunikatorów jest bardzo wysoka. Z serwisów tych aktywnie korzysta 1,4 mln dzieci w wieku 7–12 lat, czyli ponad połowa tej grupy. 58 proc. dzieci w wieku 7–12 lat aktywnie korzysta z przynajmniej jednego serwisu społecznościowego lub komunikatora dozwolonego od 13. roku życia.

W zestawieniu 10 domen najczęściej odwiedzanych przez osoby w wieku 7–14 lat znajduje się serwis pornograficzny. Wśród serwisów społecznościowych regularnie wykorzystywanych przez dzieci w wieku 7–12 lat najpopularniejszy jest TikTok, którego używa 34 proc. dzieci z tej grupy wiekowej. Najmłodsi użytkownicy uruchamiają go wielokrotnie w ciągu dnia i spędzają w nim najwięcej czasu. TikTok pozostaje liderem nie tylko pod względem zasięgu, lecz także intensywności przeglądania. Dzieci w wieku 7–12 lat mniej intensywnie wykorzystują Facebook i Instagram. Spośród komunikatorów najwięcej użytkowników mają Messenger (36 proc. tej grupy wiekowej) i Whatsapp (31 proc. tej grupy). A z badania „Dzieci w necie", zrealizowanego przez Interaktywny Instytut Badań Rynkowych (IIBR) i Gemius dla firmy At Media wynika, że ponad 80 proc. dzieci do 14. roku życia to heavy userzy internetu. Korzystają z sieci minimum kilka razy w tygodniu po kilka godzin.

„Jeśli nie nauczymy młodych żyć bez ekranów, to ekrany nauczą ich żyć bez nas" – alarmował podczas kongresu PiS w Katowicach prof. Andrzej Zybertowicz.

Jesteśmy na najlepszej drodze, by tak się stało.

eprasa.pl ae11eb359b

Pokój bliżej, ale wojna trwa

Zdaniem Donalda Trumpa porozumienie pokojowe jest „prawie” gotowe. Zełenski dodał w wywiadzie dla stacji telewizyjnej Fox, że uzgodniono 90 proc. spraw i jedynie dwa punkty, z których jeden dotyczy kwestii terytorialnych, nie zostały jeszcze rozstrzygnięte. Jeśli zaś chodzi o gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy, to ich ostateczny kształt został już wynegocjowany. Ale końca wojny nie widać



MAREK BUDZISZ

W mediach pojawiły się nawet informacje, że w najbliższym czasie można się spodziewać kontaktu telefonicznego prezydenta Ukrainy z Putinem, co by było sensacją, bo obaj nie rozmawiali ze sobą od 2020 r.

Po negocjacjach w Mar-a-Lago Donald Trump zapowiedział powołanie dwóch zespołów roboczych złożonych z przedstawicieli Stanów Zjednoczonych i Rosji. Jeden miałby rozmawiać o kwestiach bezpieczeństwa, a drugi – zająć się perspektywami współpracy gospodarczej. Prezydent nie wykluczył także swojej wizyty w Kijowie, „jeśli miałoby to przyspieszyć pokój”.

Dziennikarze CNN zwrócili jednak uwagę na to, że mimo trzygodzinnych

rozmów żadna ze stron – ani Trump, ani Zełenski – nie stwierdzili na konferencji prasowej, że pokój jest bliski, co oczywiście nie wyklucza takiego scenariusza, ale nie oznacza też taniego optymizmu. Zdaniem tej stacji wojna albo wkrótce się zakończy, albo będzie trwała jeszcze długie miesiące, bo nie rozmawia się już – co potwierdziły strony – o zawieszeniu broni.

Mamy zatem do czynienia ze zmianą, bo jeszcze kilka dni temu Zełenski informował międzynarodową opinię publiczną, że wstrzymanie działań wojennych jest niezbędne, jeśli na Ukrainie miałoby się odbyć referendum w sprawie rozstrzygnięć terytorialnych. Ukraiński prezydent nie zmienił nastawienia w tej sprawie, argumentując, że „nie możemy po prostu opuścić naszych terytoriów. To nie tylko kwestia prawa. Mieszkają tam ludzie. Mieszka tam 300 tys. osób. Nie możemy po prostu stracić ludzi".

Jeśli zatem w Mar-a-Lago nie rozmawiano o zawieszeniu broni, oddala się również perspektywa referendum w sprawie przyszłości Donbasu, a zatem możliwe, że obecnie dyskutuje się o innym rozwiązaniu. Miałoby ono oznaczać, że Ukraina nie będzie zmuszona do oddania tych prowincji – przynajmniej formalnie. Pośrednio potwierdził to Zełenski w rozmowie z dziennikarzami na pokładzie samolotu, którym wracał z Florydy. Miał przyznać, że „chciałby, aby wojna się zakończyła i wówczas możliwe będzie odwołanie stanu wojennego", co jest warunkiem koniecznym do przeprowadzenia wyborów na Ukrainie, na które z kolei nalega Putin. Zełenski nie wspomniał jednak o referendum, dodając przy tym, że warunkiem zakończenia konfliktu są gwarancje bezpieczeństwa, których udzielenie – w świetle jego wcześniejszych wypowiedzi – ma być bliskie.

W tle są oczywiście Europejczycy i odpowiedź na pytanie, czy ich wcześniejsze deklaracje na temat gotowości zaangażowania w stabilizowanie powojennej sytuacji na Ukrainie wytrzymają „próbę czasu". Nadchodzi moment weryfikacji kwiecistych wypowiedzi, temu ma też służyć zwołane przez Macrona w Paryżu na początku roku spotkanie państw „koalicji chętnych". Jeśli wycofanie się Ukraińców z Donbasu nie wchodzi w grę, a zarówno Trump, jak i Zełenski mówią o daleko posuniętych uzgodnieniach, to o jakim rozwiązaniu jest mowa? Negocjacje mają dotyczyć rozwiązania przewidującego utworzenie z Donbasu „wolnej strefy ekonomicznej", przypominającej wolne miasta tworzone po pierwszej wojnie światowej, która miałaby być zdemilitaryzowana i zarządzana przez społeczność międzynarodową. Niedawno Amerykanie zaproponowali podobną formułę odnośnie do Strefy Gazy, co zwiększa prawdopodobieństwo, że również w przypadku Donbasu w grę wchodzą analogiczne rozwiązania. W takiej sytuacji Ukraina mogłaby twierdzić, że nie dokonała cesji terytorialnej na rzecz Rosji, a na Kremlu podkreślano by zapewne specjalny status tych obszarów i ochronę interesów rosyjskojęzycznej ludności.

Kształt amerykańskich gwarancji bezpieczeństwa dla Kijowa też ponoć został ustalony, a Zełenski – co sam zdradził – ma zabiegać o to, aby obowiązywały one dłużej – najlepiej przez kolejne 50 lat, a nie jedynie 15, co ponoć zaproponował Trump.

CO ZROBI ROSJA?

Czy Kreml ostatecznie zaakceptuje warunki zakończenia wojny? Nie ma takiej pewności, tym bardziej że w rosyjskiej elicie władzy od pewnego czasu trwa spór na tym tle. Młodzi technokraci, tacy jak Kirił Dmitriew, nieformalny negocjator Kremla i szef agencji odpowiadającej za zagraniczne inwestycje w Rosji, mieliby chcieć zakończenia konfliktu. Nie dlatego, że Ukraina może wygrać, ale z tego powodu, że rośnie ryzyko związane z kontynuowaniem wojny. Zachodnie agencje wywiadowcze donoszą, że w biznesowym otoczeniu Kremla słychać coraz więcej głosów za doprowadzeniem do pokoju, bo ryzyko narasta i konflikt może się okazać raczej pyrrusowym zwycięstwem niż początkiem odbudowywania przez Rosję jej mocarstwowej pozycji.

Z kolei starzy gracze w rodzaju Ławrowa, którzy walczą też o utrzymanie własnej pozycji, mają preferować twardą, nieustępliwą postawę. Rosyjski minister jeszcze przed rozmowami na Florydzie w wywiadzie dla TASS argumentował, że jedyną szansą na pokój jest zrealizowanie przez Rosję jej wszystkich celów wojennych, a po negocjacjach oskarżył Ukrainę o zaatakowanie rezydencji Putina w Wałdaju. W odpowiedzi – jak zaznaczył szef rosyjskiego MSZ – Kreml ma zamiar „zrewidować swą dotychczasową strategię negocjacyjną" i planuje dokonanie odwetowego uderzenia na ukraińskie cele. Usztywnienie stanowiska przez Moskwę z pewnością nie ułatwi negocjacji.

SYTUACJA NA FRONCIE

Rozmowy nie będą się toczyły szybko również dlatego, że sytuacja na froncie jest stabilna z „lekkim wskazaniem na Rosję". Niemieccy eksperci wojskowi w rozmowie z dziennikiem „Die Welt" wskazują, że Rosjanie miesięcznie zdobywają ok. 500 km. W tym tempie będą potrzebowali jeszcze półtora roku, aby opanować cały Donbas, ale mogą też przesuwać linię frontu na innych kierunkach – charkowskim czy sumskim. Podsumowując sytuację, Gustav Gressel zwrócił uwagę na to, że „straty rosyjskie są wysokie, ale straty Ukrainy nie są na tyle niższe, by mogło to działać na korzyść Kijowa. Straty osobowe wynoszą ok. 2,5 może 3 do 1 na korzyść Ukrainy, ale potrzebne by było co najmniej 4 do 1", aby można było mówić, że w tej wojnie na wyniszczenie szala zwycięstwa przechyla się na korzyść Kijowa. Ukraina ma też problem z nasilającymi się dezercjami, bo w każdym miesiącu oddziały liniowe porzuca ok. 10 tys. żołnierzy. Jeśli uda się rozwiązać ten problem, to – zdaniem ekspertów – tempo rosyjskich postępów nie będzie wielkie, ale jeśli nie, to Moskale już jesienią mogą zająć cały Donbas. Na to stawia Putin, który przed rozmowami Zełenskiego i Trumpa pojawił się w mundurze polowym i deklarował, że Rosja zrealizuje swe cele na froncie. Podobnie uważają też przedstawiciele amerykańskiej administracji, podpowiadający Zełenskiemu, że Donbas i tak jest stracony, więc lepiej oddać posiadane tereny, wygrywając coś w zamian w ramach negocjacji pokojowych.

Z kolei Michael Kofman, znany amerykański ekspert wojskowy, który urodził się w Kijowie, a w 1991 r. wyemigrował z rodziną do USA, jest zdania, że choć rozejmu „bardziej potrzebuje Ukraina", to „sytuacja na froncie nie jest na tyle krytyczna, aby musiała godzić się na każde warunki".

Fot. Handout/24th Mechanized Brigade of Ukrainian Armed Forces/AFP/East News

eprasa.pl ae

W jego opinii obydwa państwa toczą obecnie wojnę na wyniszczenie, której wynik wcale nie zależy od sytuacji na linii rozgraniczenia. Celem strony ukraińskiej jest zniszczenie ekonomicznego potencjału Rosjan, do czego dążą, intensyfikując ataki na sektor wydobywczy i przetwórczy ropy naftowej, a jak powiedział w mediach Charlie – nieujawniony z nazwiska dowódca 14. Pułku Bezzałogowych Systemów Powietrznych, który odpowiada za 90 proc. zaatakowanych celów w głębi Rosji – jego formacji, która stale się powiększa, nie brakuje ani dronów, ani determinacji, ani ludzi.

Na marginesie warto zauważyć, że Donald Trump, oskarżany przez europejską lewicę o sympatyzowanie z Putinem, nakazał przekazywanie stronie ukraińskiej bogatszych danych wywiadowczych, dzięki czemu namierzanie i atakowanie przez Ukraińców celów w głębi Rosji jest w ogóle możliwe. Za czasów Bidena Ukraińcy nie dostawali od Amerykanów takich informacji.

Zdaniem Kofmana strategia niszczenia rosyjskiego sektora wydobywczego przyniesie pożądane efekty najwcześniej za sześć miesięcy, co może wskazywać, że wojna szybko się nie skończy. Tym bardziej że, jeśli analizować skłonność Zełenskiego do zaakceptowania kompromisu, wpływ na jego granice ma zapewne zbliżająca się perspektywa wyborcza na Ukrainie. Koniec wojny oznacza głosowanie, a poprzedzająca je kampania z pewnością będzie czasem rozliczeń i szukania winnych. Akceptując oddanie Donbasu bez walki, Zełenski przekreśla jakiekolwiek szanse na ewentualny sukces, co oznacza, że tylko nieugięta obrona ukraińskich terenów daje mu jakąkolwiek możliwość reelekcji.

PRZEDWYBORCZE PRZEDBIEGI

Dzień po rozmowach na Florydzie stacja radiowa NV, której dziennikarze powołują się na cztery niezależne źródła w kręgach dyplomatycznych i rządowych, poinformowała, iż Walery Załużny – obecny ambasador Ukrainy w Wielkiej Brytanii, a wcześniej dowódca sił zbrojnych – poprosił Zełenskiego o zwolnienie z tej funkcji. Prezydent proponował ponoć popularnemu generałowi wiele stanowisk, od premiera po szefa jego administracji – bo ten fotel od dymisji Andrija Jermaka pozostaje nieobsadzony – ale Załużny „miał nie wyrażać zainteresowania". Co prawda doniesieniom medialnym zaprzeczyła Oksana Torop – dziennikarka, która do stycznia pracowała w BBC, a teraz jest doradcą Załużnego ds. wizerunku – ale na Ukrainie mało kto wierzy w jej dementi. Może to oznaczać tylko jedno – Załużny, nie informując o tym otwarcie, przygotowuje się do startu w wyborach prezydenckich i nie chce w jakikolwiek sposób (nawet jako ambasador) być kojarzony z ekipą Zełenskiego. Tym bardziej że skandale korupcyjne związane z zapleczem politycznym urzędującej głowy państwa wcale nie cichną.

Akceptując oddanie Donbasu bez walki, Zełenski przekreśla swoje szanse na ewentualny sukces wyborczy po zakończeniu wojny, a to oznacza, że tylko nieugięta obrona ukraińskich terenów daje mu jakąkolwiek możliwość reelekcji

NABU, niezależne biuro antykorupcyjne, i prokuratura postawiły właśnie zarzuty czterem deputowanym Sługi Narodu, którzy mieli przyjmować łapówki za ustawione głosowania w Radzie Najwyższej. Jednym z nich jest Jurij Kisiel, poseł wywodzący się – podobnie jak Zełenski – z Krzywego Rogu i zdaniem ukraińskich komentatorów utrzymujący bliskie relacje z prezydentem. W sprawie wymieniany jest też aktor występujący w produkcjach Kwartału 95, firmy, której współwłaścicielem był Zełenski. Oznacza to, że na Ukrainie „rozwija się" kolejna afera korupcyjna, w której brali udział ludzie powiązani z głową państwa.

GDZIE JEST JERMAK?

Na dodatek Jarosław Żelezniak, deputowany z opozycyjnej frakcji Gołos, powiedział mediom, że wraz ze współpracownikami od pewnego czasu szukał jednostki, w której służy Andrij Jermak, bo ten zapowiedział po swojej dymisji, że na ochotnika uda się na front. „Obdzwoniliśmy wszystkie możliwe jednostki" – powiedział – i nikt nie wie, gdzie służy były szef prezydenckiej administracji".

W opinii Żelezniaka Jermak nadal blisko – choć teraz nieoficjalnie – współpracuje z Zełenskim, a to by wyjaśniało, dlaczego jego stanowisko pozostaje nieobsadzone. Jeśli te informacje się potwierdzą, to prezydent będzie musiał nie tylko odpowiadać na niewygodne pytania dotyczące uwikłania swych najbliższych współpracowników w aferę korupcyjną Mindicza, lecz także uzasadnić, dlaczego jego zerwanie z Jermakiem, który na Ukrainie jest uważany za capo di tutti capi wszystkich „schematów korupcyjnych", ma więcej wspólnego z teatrem politycznym niż z rzeczywistością.

Działania Załużnego można też zrozumieć, czytając ostatnie badania ukraińskiej opinii publicznej. Z sondażu grupy Socis wynika, że ukraiński prezydent nie ma szans w wyborczym starciu z popularnymi wojskowymi. Jeśli Załużny zdecyduje się na kandydowanie, wygra zarówno w pierwszej, jak i w drugiej turze (47,5 proc. do 26,5 oraz 64,2 proc. do 35,8), ale obecną głowę państwa jest też w stanie pokonać Kyryło Budanow, młody i ambitny szef ukraińskiego wywiadu wojskowego.

* * *

Rozmowy z Rosją jeszcze się nawet nie zaczęły, a gołym okiem widać, jak długa i kręta droga wiedzie do ewentualnego pokoju. Kolejne terminy zakończenia wojny podawane przez Trumpa mijają, a walki się nie kończą. Najpierw miał to być Dzień Dziękczynienia, potem Boże Narodzenie, teraz nawet nie wiadomo, czy negocjacje z Moskwą w ogóle się zaczną. Pokój majaczy na horyzoncie, ale niewykluczone, że mamy raczej do czynienia z fatamorganą niż realnym scenariuszem zakończenia wojny.

eprasa.pl ae11eb359b



Czy Trump ocali prześladowanych chrześcijan?

To fakt niemający precedensu w najnowszych dziejach, aby któreś z zachodnich mocarstw było gotowe do użycia swej potęgi militarnej, by ratować prześladowanych wyznawców Chrystusa. Właśnie to zrobiła teraz Ameryka w Nigerii

Fot. White House



JAN ROKITA

Fakty są znane, przypomnijmy je więc tylko w dużym skrócie. W nocy z 25 na 26 grudnia 2025 r. amerykańska marynarka wojenna wystrzeliła w kierunku północno-zachodniej Nigerii ok. tuzina pocisków Tomahawk, przenoszących półtonowe głowice z materiałem wybuchowym, amerykańskie drony ostrzelały zaś północne pogranicze Nigerii. Celem ataków były z jednej strony obozy szkoleniowe islamistycznej partyzantki zwalczającej rząd w Abudży

eprasa.pl ae11eb359b

i dopuszczającej się licznych mordów na chrześcijanach, z drugiej (gdy idzie o ostrzał dronów) – grupy dżihadystów przemieszczających się do Nigerii z sąsiedniego Nigru, gdzie władzę sprawuje antyzachodnia junta, sprzymierzona z reżimem na Kremlu.

Cele te zostały uzgodnione przez Amerykanów z dowództwem nigeryjskiej armii, a rząd w Abudży twierdzi nawet, iż to właśnie on wskazał je Amerykanom, jak również przekazał dane wywiadowcze na temat ich szczegółowej lokalizacji. Jak się później okaże, ta kwestia będzie politycznie istotna i wzbudzi falę zdumiewających komentarzy w globalnych mediach.

Zarówno Abudża, jak i Waszyngton zapewniają, iż uderzenia były celne, a kilka islamistycznych grup poniosło duże straty, w tym wielu zabitych dżihadystów. Sekretarz obrony USA Pete Hegseth publicznie podziękował władzom Nigerii, wyrażając „wdzięczność za współpracę", a przy okazji zapowiedział, iż to dopiero początek amerykańskich ataków na pozycje islamistów na terytorium Nigerii. Również nigeryjski rząd wyraził uznanie za przeprowadzenie „precyzyjnych ataków", a tamtejszy MSZ posunął się nawet tak daleko, iż zasugerował podjęcie „strukturalnej współpracy" z Amerykanami w celu „zwalczania terroryzmu i brutalnego ekstremizmu".

W OBRONIE ZACHODNIEJ CYWILIZACJI

W jednej kwestii pojawił się jednak wyraźny rozdźwięk pomiędzy oświadczeniami płynącymi z Waszyngtonu i Abudży. O ile bowiem prezydent Donald Trump bez dwuznaczności deklaruje, iż jego celem jest zakończenie „brutalnego zabijania przede wszystkim niewinnych chrześcijan", o tyle nigeryjskie władze – nie po raz pierwszy zresztą – podkreślają, że cała akcja nie ma żadnego związku z kwestiami religijnymi, a prześladowań chrześcijan w Nigerii nie ma – są natomiast islamistyczni bandyci i terroryści, zagrażający całej ludności cywilnej.

Ów rozdźwięk w opisie genezy bombardowań jest nieprzypadkowy. W listopadzie 2025 r. Donald Trump publicznie ostrzegł „postępowego" prezydenta Nigerii Bolę Tinubu (który skądinąd studiował niegdyś w Chicago, a potem był księgowym w Deloitte & Touche), że uderzy na jego kraj, jeśli nigeryjskie władze nie przestaną „umożliwiać" islamistycznym bojówkom ataków na chrześcijan i nie podejmą wreszcie wystarczających wysiłków na rzecz obrony wolności religijnej. Już wcześniej z podobnym oskarżeniem wobec rządu Nigerii wystąpił republikański senator z Teksasu Ted Cruz, którego starania – jak się zdaje – zainspirowały i zmobilizowały Trumpa do działania. Prezydent wydał także wtedy rozkaz Departamentowi Wojny, aby ten przygotował się do ewentualnej zbrojnej interwencji, której celem miałoby być zniszczenie islamistycznych grup odpowiedzialnych za masakry chrześcijan w tym kraju.

W charakterystyczny dla siebie sposób Trump oznajmiał wówczas, iż atak na islamistów będzie nie tylko „szybki i okrutny", lecz także „słodki" (*fast, vicious and sweet*), gdyż będzie w nim chodzić o obronę „naszych ukochanych chrześcijan". A teraz – po przeprowadzonym bombardowaniu – Trump przypomina, że ostrzegał terrorystów, „iż jeśli nie przestaną mordować chrześcijan, będą musieli za to słono zapłacić". „I dzisiejszej nocy zapłacili" – dodaje. Po czym (na portalu Truth) objaśnia, iż celowo ustalił datę uderzenia na dzień Bożego Narodzenia, aby „terrorystycznym szumowinom z Państwa Islamskiego zrobić prezent świąteczny", a wszystkim – „w tym martwym terrorystom, których będzie znacznie więcej, jeśli rzeź chrześcijan będzie kontynuowana" – życzyć wesołych świąt.

To fakt, iż ten brutalno-sarkastyczny ton świętowania Bożego Narodzenia musi – zwłaszcza u katolika – budzić sprzeciw, ale pozostaje on w zgodzie z otwarcie głoszoną przez Trumpa nienawiścią wobec wrogów Ameryki i Zachodu, jego tradycji i kultury. Co jednak ważniejsze, ów ton nie pozostawia wątpliwości w kluczowej politycznie sprawie: dla konserwatywnego rządu USA bombardowanie Nigerii jest częścią wojny w obronie zachodniej cywilizacji, integralną częścią której jest chrześcijaństwo. Ameryka nie ma zatem żadnych innych żądań wobec Nigerii, jak tylko to, aby zaprzestano tam prześladowań chrześcijan. To fakt niemający precedensu w najnowszych dziejach, aby któreś z zachodnich mocarstw było gotowe do użycia swej potęgi militarnej, by ratować prześladowanych wyznawców Chrystusa. Właśnie to zrobiła teraz Ameryka.

OBURZENIE W LIBERALNO-LEWICOWYCH MEDIACH

Jednak rząd Nigerii, zdominowany przez postępowych (czy może – lewicowych) muzułmanów, choć współpracuje z Amerykanami w ataku na islamistyczną partyzantkę, to jednak nie może przystać na amerykańską wykładnię tej akcji. Szef nigeryjskiej dyplomacji wyjaśnia zatem, iż termin 25 grudnia był całkowicie przypadkowy, a islamistyczna partyzantka zabija ludzi bez względu na wyznanie.

Warto się cofnąć do XX-wiecznej historii, aby uzmysłowić sobie, że jedna z najokrutniejszych wojen, jakie toczyły się w II połowie tamtego wieku, to konflikt o Biafrę, którą nigeryjskie władze świadomie zagłodziły, zabijając 3 mln ludzi, by w końcu zmusić kraj do kapitulacji w 1970 r. i wcielić go do terytorium Nigerii. Rzecz w tym, że Biafra była i jest niemal w całości chrześcijańska, więc tamta wojna nosiła charakter wojny religijnej, w której chrześcijanie zostali pokonani przez islam. I nie jest przypadkiem, że czołowe nigeryjskie organizacje na rzecz praw człowieka, jak Towarzystwo na rzecz Swobód Obywatelskich i Rządów Prawa (InterSociety), są oskarżane przez rząd o powiązania z biafrańskim (czyli chrześcijańskim) separatyzmem. Muzułmańska ekipa prezydenta Tinubu jest zaś posądzana – jak widać, także przez Amerykanów – iż skrycie nie przeszkadza w pogromach chrześcijan, jakich dopuszczają się islamiści. Oto cała zawiłość nigeryjskiego węzła polityczno-religijnego.

Trump chce za jednym zamachem osłabić islamistyczną partyzantkę, a nigeryjski rząd zmusić do realnej ochrony chrześcijan, którzy w 240-mln kraju stanowią jakieś 45 proc. populacji (ponad 100 mln).

Jednak dla dominujących w zachodnim świecie liberalno-lewicowych mediów taki cel akcji militarnej, jak

eprasa.pl ae11eb359b

obrona religii, jest czymś niepojętym i obrazoburczym. Muszę przyznać, że sam jestem pod wrażeniem tego, co w ciągu ostatnich dni wysłuchałem i przeczytałem na ten temat w czołowych europejskich i amerykańskich mediach. Zarówno relacje z Nigerii, jak i zwłaszcza komentarze, niemal jednolicie koncentrują się na trzech tezach: po pierwsze, w Nigerii nie ma masowych prześladowań chrześcijan, po drugie, amerykańska marynarka nie uderzyła w te miejsca, w których zdarzały się porwania czy zabójstwa, po trzecie, bombardując Nigerię, Trump wpędził Amerykę – jak to ujął w wielkim nagłówku „The Washington Post" – „w długotrwały chaos".

Prawdę mówiąc, trudno o bardziej jaskrawy przypadek antytrumpistowskiej zmowy wielkich mediów, a także o bardziej oderwany od prawdy opis rzeczywistości. Rzecz jasna teza, iż Trump wbrew izolacjonistycznie nastawionej części obozu MAGA znów wplątał USA w jakąś egzotyczną i odległą wojnę, ma służyć emocjonalnemu podpaleniu politycznego zaplecza prezydenta. A jeśli w ostatnich dniach ktoś oglądałby BBC albo CNN, łatwo mógłby dojść do wniosku, iż to jakiś niepoczytalny amerykański przywódca zaatakował (i to dość nieudolnie) spokojne, islamskie miasteczka na północnym wschodzie Nigerii. W relacjach nieustannie pojawiali się bowiem wystraszeni ludzie, na których spadły niegroźne resztki pocisków, opowiadający, iż nie rozumieją, czego chce od nich Ameryka. W doniesieniach ignorowano komunikaty nigeryjskiego rządu, iż atak został skierowany na wskazane przezeń obozy Państwa Islamskiego, a to, co obserwowali mieszkańcy owych miasteczek, stanowi tylko uboczne i mało szkodliwe odpryski owego ataku. „Financial Times" wybił na czołówkę tytuł: „Ataki Trumpa wprawiają Nigeryjczyków w osłupienie".

PRZERAŻAJĄCE STATYSTYKI

Ale najważniejsza polemika wielkich mediów z Trumpem dotyczy motywu ataku, czyli prześladowań chrześcijan. Źródłem przemocy w Nigerii ma być ponoć nie religia, ale... ocieplenie klimatu, na skutek którego islamscy pasterze chcą odebrać ziemię chrześcijańskim rolnikom. Opublikowany jeszcze w czasie świąt obszerny raport BBC stawia tezę, iż liczby zamordowanych w Nigerii chrześcijan są fałszywe, a stacja „nie potrafi ich zweryfikować", pochodzą bowiem od niewiarygodnych nigeryjskich obrońców praw człowieka. I tu zawsze jako superniewiarygodna pojawia się owa najpoważniejsza chrześcijańska organizacja praw człowieka – wspomniane już InterSociety, wedle którego w ciągu ostatniej półtorej dekady islamiści zamordowali w Nigerii aż 100 tys. chrześcijan, zniszczyli 2 tys. przeważnie katolickich szkół i 18 tys. chrześcijańskich świątyń. A skoro te dane o skali prześladowań są niewiarygodne, fałszywe są także przesłanki akcji Trumpa, bombardowania to zaś nic innego jak polityczne awanturnictwo.

> Dla dominujących w zachodnim świecie liberalno-lewicowych mediów taki cel akcji militarnej, jak obrona religii, jest czymś niepojętym i obrazoburczym

Przyznam, że ciągle jestem zdumiony (może trochę naiwnie) tym, do jakiego stopnia zacietrzewione media mogą fałszować rzeczywistość. Każdy, kto choć trochę interesuje się kwestią religii we współczesnym świecie, musiał słyszeć o skali prześladowań religijnych w Nigerii. Nie jest to ani wiedza jednoźródłowa (jak ponoć „ustaliło" BBC), ani niemożliwa do weryfikacji.

Ostatni doroczny raport światowej organizacji Open Doors (z centralą w Niderlandach) podaje, iż w 2024 r. w Nigerii zamordowano 4118 chrześcijan, czyli 90 proc. wyznawców tej religii zabitych na całym świecie ze względu na wiarę. Z kolei doroczny raport ekumenicznej organizacji amerykańskiej International Christian Concern podaje, że w ciągu ostatnich dwóch dekad islamiści zamordowali w Nigerii 50 tys. chrześcijan, co czyni ten kraj najbardziej niebezpiecznym dla wyznawców Chrystusa miejscem na ziemi. W poprzednie Boże Narodzenie Nigerią wstrząsnęła masakra 47 chrześcijan dokonana w diecezji Gboko: bandyci spalili wówczas wiele kościołów, szkół i szpitali prowadzonych przez chrześcijańskich duchownych. Dane nigeryjskiego rządu mówią o milionach chrześcijan wypędzonych z własnych domów. Takie jest rzeczywiste tło decyzji prezydenta USA, tyle tylko, że w wielkich mediach jest ono nieobecne.

Trzeba dopiero pogrzebać głębiej i dotrzeć do mediów katolickich, aby się przekonać, iż amerykańskie uderzenie w islamistów wcale nie wprawiło Nigeryjczyków – a już na pewno nie nigeryjskich chrześcijan – „w osłupienie". Z „The Catholic World Report" można się dowiedzieć, iż katoliccy hierarchowie w Nigerii nie mają wątpliwości, iż tamtejszy Kościół nie obroni się przed dżihadystami bez militarnego wsparcia Ameryki. Ks. Moses Iorapuu otwarcie mówi dziennikarzom, że „dżihadyści w Nigerii zinfiltrowali tamtejszą klasę polityczną", dlatego nadzieje na ocalenie chrześcijan przez państwo są raczej płonne. „A prezydent Trump – dodaje – jak coś mówi, to mówi poważnie". Inny duchowny, ks. Humphrey Boyo z katolickiej diecezji Makurdi, mówi, iż atak na islamistyczną partyzantkę był „wielką ulgą dla chrześcijan, ponieważ dał nam poczucie nadziei na lepszy kraj". Jeszcze inny ksiądz katolicki, George Dogo z diecezji Wukari, znany z odwagi relacjonowania przemocy i przesiedleń dotykających społeczności chrześcijańskie, opowiada, że w jego diecezji „zapanowała radość" na wieść o amerykańskiej interwencji, którą określa mianem „wielkiej akcji". W końcu trudno się dziwić tym duchownym, dla których interwencja potężnej i odważnej Ameryki wygląda na cud, o którym jeszcze niedawno nie śmieli nawet marzyć.

eprasa.pl ae11eb359b



Podpisanie umowy z Mercosur zostało przełożone, a zamrożone rosyjskie aktywa nie trafią na Ukrainę. Podczas szczytu UE aroganckie podejście Friedricha Merza zderzyło się ze ścianą. Na domowym froncie pozycja kanclerza Niemiec także słabnie. Większość Niemców nie wierzy, że koalicja rządząca przetrwa do końca kadencji

Kulejący kanclerz



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Koniec 2025 r. nie był zbyt udany dla kanclerza Niemiec Friedricha Merza. Na ostatniej prostej poniósł on bowiem aż trzy poważne polityczne porażki – dwie w Brukseli i jedną w Berlinie. Na szczycie Unii Europejskiej Merz walczył o to, by rosyjskie aktywa znajdujące się w Belgii mogły zostać wykorzystane do pomocy Ukrainie. Był nawet gotów dorzucić fundusze Kremla zamrożone w Niemczech. Na próżno. Zwyciężyli sceptycy. Kanclerz usiłował także przekonać pozostałe państwa Unii do umowy handlowej z państwami Mercosur, korzystnej z punktu widzenia Niemiec. Zapobiegła temu – jak złośliwie stwierdził brukowiec „Bild" – „koalicja

eprasa.pl ae11eb359b

hamulcowych", czyli Włochy i Francja. Na domiar złego jego kandydat na przewodniczącego Fundacji Konrada Adenauera, partyjnej fundacji CDU, Günter Krings również poniósł porażkę. Stanowisko zdobyła Annegret Kramp-Karrenbauer, była przewodnicząca chadecji, blisko związana z Angelą Merkel, odwieczną rywalką Merza. Trzy mecze, trzy razy zero punktów.

Merz wprawdzie próbował przedstawić wynik szczytu UE z 18 i 19 grudnia jako sukces, podkreślając, że Ukraina „otrzyma potrzebne 90 mld euro i to Rosja ostatecznie zwróci tę pożyczkę w ramach reparacji, a umowa z krajami Mercosur zostanie podpisana przez szefową Komisji Europejskiej Ursulę von der Leyen, tyle że »za dwa tygodnie«", ale brzmiało to mało wiarygodnie. Według dziennika „Handelsblatt" obecnie ani jedno, ani drugie nie jest zresztą wcale pewne.

BRUKSELSKA LEKCJA

Jak twierdzi gazeta, Merz udał się na szczyt z gotowym planem, który przedstawił jako „bezalternatywny". „Berlin ostrzegł pozostałych Europejczyków: jeśli umowa z południowoamerykańskim blokiem handlowym Mercosur nie zostanie podpisana tu i teraz, będzie martwa. A jeśli szczyt nie zgodzi się na wykorzystanie rosyjskich aktywów jako pożyczki reparacyjnej dla Kijowa, będzie to oznaczało koniec Europy" – czytamy. Szantaż Merza trafił w próżnię, a urząd kanclerski nie przygotował – jak twierdzi „Handelsblatt" – planu B. Najwyraźniej uznano, że porażka jest mało prawdopodobna.

Ta porażka tym bardziej boli, sądząc po komentarzach w niemieckiej prasie. „Niezręczny, nieskuteczny, niesprytny" – grzmiał tygodnik „Der Spiegel". Zdaniem „Handelsblatt" po tym szczycie autorytet Merza w Europie jest „nadszarpnięty". Inni doszukiwali się spisku. Według „Bild" unijni partnerzy Berlina „jednego dnia domagają się silniejszego niemieckiego przywództwa, a następnego dnia buntują się przeciwko rzekomej niemieckiej dominacji". Także „Frankfurter Allgemeine Zeitung" uważa, że „Merz dał się ograć". Na dodatek krajom, takim jak Węgry i Belgia. A dziennik „Die Welt" uznał, że Merz jako kanclerz z ambicjami przywódczymi „nie sprostał własnym oczekiwaniom". Nie znalazł języka, by porozumieć się z partnerami. Również zagraniczne media dość krytycznie oceniły dokonania Merza podczas szczytu. Według amerykańskiego „Foreign Policy" niemiecki kanclerz jest dziś słabszy politycznie od prezydenta Francji Emmanuela Macrona czy premiera Wielkiej Brytanii Keira Starmera. „Financial Times" nazwał szczyt „brukselską lekcją dla Merza". Według „The Irish Times" kanclerz próbował szantażować Belgię, która domagała się gwarancji, wychodząc z założenia, że się po prostu ugnie. Spowodowało to, że z premierem Belgii Bartem De Weverem zaczęły się solidaryzować inne małe i średnie państwa. Mówiono, że Merz nie konsultował się wcześniej z innymi krajami ani z Belgią, licząc na to, że i tak będą one posłuszne. „Merkel nie popełniłaby takiego błędu" – czytamy.

> Niemcy Merkel udawały, że nie chcą przywódczej roli w UE, krygowały się – co najmniej w warstwie retorycznej. Merz zastąpił to nagą asertywnością. Europa to według niego Niemcy

ZBYT ASERTYWNY

Może była to kwestia taktyki negocjacyjnej, a może okoliczności. Dzisiejsze Niemcy są o wiele słabsze niż za czasów Angeli Merkel, co wynika z czynników obiektywnych – przede wszystkim porażki niemieckiej polityki wschodniej (zwieńczonej wojną na Ukrainie), co mocno nadszarpnęło zaufanie do Berlina i jego przywódczej roli. Nie zapominając o kulejącej obecnie niemieckiej gospodarce. Ogłoszone przez poprzednika Merza Olafa Scholza „Zeitenwende" przebiega tak powoli, że miejscami jest niedostrzegalne. Wydaje się, że urząd kanclerski wciąż ma trudności z uznaniem tego faktu. Podobnie jak sam kanclerz, który zwyczajnie zakłada zgodę partnerów.

Już na szczycie UE w październiku twierdził, że umowa z Mercosur w zasadzie jest już przyjęta, z czego musiał się następnie wycofać. 8 września przed ambasadorami Merz ogłosił nową niemiecką politykę zagraniczną, pragmatyczną i zorientowaną na realizację interesów. Mówił o „kluczowej roli" Niemiec w Europie ze względu na rozmiar gospodarki i geostrategiczne położenie. Niemcy to według niego globalny gracz kształtujący porządek międzynarodowy – od Mercosur po Azję Centralną i Afrykę. Przed feralnym szczytem oświadczył w Bundestagu, że Europa, a szczególnie Republika Federalna, „nie mogą stać się przedmiotem" gry mocarstw. „Niemcy wracają na scenę międzynarodową" – dodał. Według niego stale udowadniają, że są liderem. A ci, którzy choćby krytykują Mercosur, są „małostkowi" i nie rozumieją znaczenia tej umowy.

Prezentując taką postawę, pojechał na szczyt i odbił się od ściany. Nie tylko z powodów obiektywnych, lecz także subiektywnych – według „Der Spiegel" był „zbyt pewny siebie". Podobnie jak asystująca mu Ursula von der Leyen. „Merkel by nie rozmawiała z partnerami w takim tonie. Albo Mercosur i rosyjskie fundusze, albo nic. Merz ciągle coś zapowiada, przedstawia to jako bezalternatywne, a potem tego nie dowozi" – pisze tygodnik „Focus".

TA WSTRĘTNA UNIA

Obcesowy osobisty styl Merza może razić, a brak alternatywnego planu w urzędzie kanclerskim na wypadek braku zgody na szczycie – szczerze dziwić. Tyle że Berlin tak bardzo przyzwyczaił się do swojej dominującej roli, że traktuje ją jako coś naturalnego. Niemcy Merkel udawały, że nie chcą przywódczej roli, krygowały się

Fot. Shutterstock

eprasa.pl ae11eb359b

– co najmniej w warstwie retorycznej. Merz zastąpił to nagą asertywnością. Europa to według niego Niemcy, bez najmniejszych wątpliwości. Tyle że tym razem okazało się to co najmniej kontrskuteczne.

Słabość Niemiec i samego Merza nie uszła uwadze partnerom. Prezydent Emmanuel Macron od razu przedstawił inicjatywę podjęcia rozmów z Władimirem Putinem w sprawie pokoju na Ukrainie. Gdzie jeden się potknie, cieszy się drugi. Urząd kanclerski nie chciał komentować propozycji Macrona, ale dla prasy za Odrą stanowi ona dowód na „niebezpieczne ambicje" Francji, grożące rozpadem francusko-niemieckiego tandemu. „Czar między Berlinem a Paryżem szybko prysł" – podkreślił Jacob Ross, ekspert ds. Francji i polityki obronnej w Niemieckim Towarzystwie Polityki Zagranicznej (DGAP). No i jest jeszcze Giorgia Meloni, która „skorzystała z okazji, by bronić interesów Włoch".

Po tym szczycie Niemcom zbrzydła zresztą także sama UE. Według wydawcy „Die Welt" Ulfa Poschardta „obecna Unia Europejska zagraża dobrobytowi i dzieli kontynent". Przeszkadzają szczególnie ci przebrzydli Francuzi. „Fakt, że po TTIP, planowanej umowie o wolnym handlu między UE a Stanami Zjednoczonymi, upadła również umowa o wolnym handlu z Ameryką Południową, pokazuje, jak oderwane od rzeczywistości i aroganckie są decyzje podejmowane w UE. Po raz kolejny to niechętni reformom Francuzi, próżni i nieudolni, torpedują umowę tak kluczową dla kraju eksportowego, jakim są Niemcy. Niestety w sprawę zaangażowana jest również Georgia Meloni, która chce jedynie wynegocjować zaliczkę na kolejny budżet subsydiów" – czytamy. Pazerne Włochy i próżni Francuzi, do tego terror ze strony rolników, jak również mogliśmy przeczytać na łamach „Die Welt". Rolników, których nikt nie potrzebuje, ale których gniewu boją się europejskie rządy. „Europejczycy są głupi" – podkreśliła gazeta. Nie chcą iść za Niemcami, tylko realizują własne widzimisię. Bezpieczeństwo żywnościowe – może i tak. Ale ważniejsza jest niemiecka chemia czy motoryzacja.

WYMIANA KANCLERZA?

Być może Merzowi szłoby na brukselskich salonach nieco lepiej, gdyby miał mocną pozycję na arenie krajowej lub choćby we własnej partii. Tymczasem porażka jego kandydata w wyścigu o stanowisko szefa Fundacji Konrada Adenauera pokazuje, że tak nie jest. To, że Kringsa pokonała dawna zaufana współpracownica Merkel, namaszczona niegdyś na jej następczynię, musi szczególnie boleć kanclerza. W CDU frakcja lojalistów wobec Merkel wciąż jest silna, a to, że Merz wystawił własnego kandydata przeciwko Kramp-Karrenbauer, rozzłościło część partyjnej bazy, która odebrała ten gest jako próbę rozbijania własnej partii przez jej lidera.

Doprowadziło to do rosnących wątpliwości w CDU wobec Merza, który zdaniem wielu działaczy nie realizuje reform, kłóci się z partnerem koalicyjnym – SPD – i prowadzi „niepotrzebnie kontrowersyjne debaty". Jak ta o migrantach zakłócających miejskie krajobrazy. W przyszłym roku odbędą się wybory do landtagów, m.in. w Saksonii i Meklemburgii, gdzie AfD prowadzi w sondażach i może zdobyć nawet 40 proc. głosów. Obawy przed takim scenariuszem są ogromne. Niektórzy eksperci uważają, że wobec przełamania „zapory ogniowej" w tych landach może się posypać koalicja rządowa w Berlinie, i tak zbudowana na wątłych fundamentach. Dwie trzecie Niemców uważa, że koalicja nie dotrwa do końca kadencji. W berlińskich kuluarach rzekomo plotkuje się o wymianie kanclerza.

Merz jest zresztą bardzo niepopularny, nawet bardziej od swojego poprzednika – Olafa Scholza. Jak wynika z badania Tendbarometer dla RTL/ntv, po ośmiu miesiącach na czele rządu (został zaprzysiężony 6 maja 2025 r.) tylko 22 proc. Niemców ocenia go pozytywnie, a 76 proc. jest niezadowolonych. Wynik Scholza był tak zły dopiero po ponad dwóch latach. 24 proc. ankietowanych jako powód swojej negatywnej oceny kanclerza wskazało na „górnolotne zapowiedzi bez konsekwencji", a 22 proc. – na „złamane obietnice wyborcze". Merz równie słabo wypadł w badaniu przeprowadzonym przez instytut Public First dla amerykańskiego portalu Politico. W tym pierwszym międzynarodowym badaniu pytano łącznie 10 510 osób ze Stanów Zjednoczonych, Francji, Niemiec, Wielkiej Brytanii i Kanady o to, jak oceniają swoich przywódców w starciu z Donaldem Trumpem. Tylko 4 proc. ankietowanych z Niemiec uznało, że Merz dobrze sobie radzi z prezydentem USA.

WIELKIE SŁOWA, MAŁE CZYNY

Friedrich Merz – tyle już wiemy – nie jest Angelą Merkel. Chciałby nią być, ale okoliczności mu na to nie pozwalają. Gdy Scholz był jeszcze kanclerzem, Merz zarzucał mu, że jest kulawą kaczką (lame duck), a ktoś o tak słabym poparciu społecznym powinien okazywać więcej pokory. Może sam powinien zastosować się do tej zasady, bo kuleje nie mniej niż jego poprzednik. Bundestag wybrał go na kanclerza dopiero w drugim podejściu – rzecz niespotykana w powojennej historii Niemiec. Słaby kanclerz siłą rzeczy ma trudności w narzuceniu partnerom swojej woli, nawet jeśli – jak w przypadku zamrożonych rosyjskich aktywów – ma rację. Trudno mu także bronić się przed zarzutem, że jesienią miały nastąpić wielkie reformy, które miały przywrócić niemieckiej gospodarce dawny blask. Jesień dawno minęła, a oprócz pakietu emerytalnego – przepchniętego kolanem, po wyjęciu z niego wszystkiego, na czym zależało CDU – nie stało się w tej materii nic godnego odnotowania. Wielkie słowa w kampanii wyborczej, a następnie małe czyny. Większość Niemców zapewne by wolała, by było dokładnie odwrotnie.

Merz stosuje podobną taktykę także w polityce międzynarodowej: pompatyczne zapowiedzi, moralny szantaż, a potem porażka, ubrana w szaty sukcesu. Oczywiście nie oznacza to, że ci nieudolni Francuzi, niewdzięczni Włosi – nie zapominając o Polakach – oraz ci „niepotrzebni" europejscy rolnicy mają Mercosur z głowy. Bynajmniej. Berlin będzie dążył do realizacji tej umowy i Merz zapewne nie wyczerpał całego arsenału narzędzi dyplomatycznych. W urzędzie kanclerskim zapewne wyciągną wnioski ze szczytowych porażek i w przyszłości będą mieli więcej niż jeden plan pod tytułem: „Wszystko albo nic".

eprasa.pl ae11eb359b



Fot. Andrzej Wiktor

PRL to nie była komedia

Była to epoka, która zrujnowała życie milionów Polaków, która sprawiła, że zamiast żyć w dostatku i wolności jak ludzie Zachodu, całymi latami wegetowaliśmy w biedzie i zniewoleniu

Z Jackiem Piekarą, pisarzem fantasy, dziennikarzem, redaktorem naczelnym czasopisma „Fantasy", redaktorem czasopism o grach komputerowych, autorem książki „Świat zaginiony – wyprawa do wnętrza PRL", rozmawia Jerzy Szmit

Wierni czytelnicy czekają na zakończenie pańskiego cyklu o inkwizytorze „Czarna śmierć", a pan pisze monografię Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej...

Jacek Piekara: Wielokrotnie opowiadałem mojemu nastoletniemu synowi, czym różni się dzisiejsze życie od tego w PRL. Opisywałem mu codzienność: puste półki, kolejki, brak mieszkań, fatalne drogi albo upokarzające proszenie o paszport, czekanie na niego miesiącami, a po powrocie z zagranicy zanoszenie go na komendę milicji. On słuchał tego jak bajki i któregoś dnia powiedział: napisz o tym książkę. Tak narodziła się myśl, aby zamienić się w doświadczonego przewodnika, który zabiera turystów na zaginiony ląd i musi im objaśnić każdy detal. Początkowo sądziłem, że napiszę 100–150 stron, tymczasem efektem jest niemal 1 tys. stron i kilkaset zdjęć w dwóch tomach albumu. Gigantyczna praca, ale dająca ogromną satysfakcję.

„Świat zaginiony" nie spodoba się wielu wpływowym środowiskom, np. „Gazecie Wyborczej".

„Gazeta Wyborcza" przekonuje, że PRL nie był taki straszny, a dawnych esbeków można rozgrzeszyć i przywrócić im przywileje. Gazetę znakomicie zdiagnozował Rafał Ziemkiewicz. Jego zdaniem to fenomen społeczny – sekta fanatyków zgromadzonych wokół Adama Michnika, dla której polskość to szkodliwe dziedzictwo. Ich misją jest uwolnienie nas od tego obciążenia. Mój stosunek do postkomunistów i prób rehabilitacji komunizmu jest jednoznacznie krytyczny.

eprasa.pl ae11eb359b

Dlatego w przedmowie napisał pan: „Była to epoka, która zrujnowała życie milionów Polaków, która sprawiła, że zamiast żyć w dostatku i wolności jak ludzie Zachodu, całymi latami wegetowaliśmy w biedzie i zniewoleniu”?

Tak, to jedno z kluczowych zdań książki. A sentyment możemy mieć nie do PRL, lecz do czasu, w którym przeżywaliśmy pierwsze wielkie przyjaźnie i miłości, imprezowaliśmy, mieliśmy przed sobą życie. I to był nasz pech – że te piękne młodzieńcze lata wypadło nam przeżyć w PRL, a nie w wolnym świecie, w którym mielibyśmy o niebo większe szanse cywilizacyjne. Moje dzieciństwo przypadło na lata tzw. złotej epoki gierkowskiej, która skończyła się brutalnie spacyfikowanymi protestami w Radomiu i Ursusie. Natomiast jako nastolatek i student żyłem w epoce Jaruzelskiego, a więc czasach, kiedy nie tylko dominowała przerażająca bieda, lecz także powszechnie stosowano represje i zabijano ludzi niewygodnych dla władzy.

Jednocześnie nie ukrywa pan sympatii do spektakularnego komunistycznego artefaktu: Pałacu Kultury i Nauki.

Tak, to osobisty sentyment z dzieciństwa, bowiem jako dziecko bardzo lubiłem podróżować po Warszawie. Odwiedzałem nieznane ulice, spacerowałem, a czasami się gubiłem. Wtedy wystarczyło poszukać iglicy Pałacu Kultury i wracała orientacja. Poza tym do PKiN chodziłem na basen, zajęcia plastyczne i do kina. Ale jestem też zdecydowanie przeciwny jego zniszczeniu z powodów praktycznych. Mam pewność, że gdyby go zburzono, to przez długie lata straszyłyby ruiny i puste miejsce, trwałyby kłótnie i walka biznesów, a wreszcie postawiono by jakiegoś potworka w stylu Muzeum Sztuki Nowoczesnej.

Gdzie znajduje pan dzisiaj główne pozostałości PRL?

Najbardziej rażące jest przywracanie przywilejów esbekom przez rząd Tuska. Z naszych podatków wypłacamy tym zbrodniarzom specjalne premie w wysokości miliardów złotych. Drugi wymiar to chęć wprowadzenia cenzury pod wygodnym pretekstem zwalczania „mowy nienawiści”. W Wielkiej Brytanii podobne rozwiązanie skutkowało tym, że przez długie lata działał gang Pakistańczyków, którzy gwałcili, torturowali i mordowali dzieci. A milczano o tym z obawy przed oskarżeniem o rasizm. Inny drastyczny przykład również pochodzi z Anglii, gdzie aresztowano kobietę modlącą się po cichu w okolicach kliniki aborcyjnej. Widzimy więc, że orwellowska myślozbrodnia nie jest już tylko fikcją literacką.

W Polsce chyba to nie przejdzie?

PRL była antyludzka i antyobywatelska, ale na pewno mieliśmy więcej swobody niż w innych krajach socjalistycznych. W Niemczech Wschodnich, Bułgarii czy Rumunii inwigilacja i represje były dużo bardziej dotkliwe, a u nas jednak powszechnie i dość jawnie opowiadano polityczne dowcipy czy krytykowano komunistyczne władze. Nie daliśmy sobie nałożyć kagańca, więc pewnie trudno będzie nałożyć nam go teraz. Warto zauważyć, że dzisiaj zdecydowanie nadużywane jest słowo „hejt”, którym często określa się zwykłą krytykę lub kpinę czy szyderstwo.

Ale Włodzimierz Czarzasty stał się drugą osobą w państwie.

W ostatnich wyborach postkomuniści zdobyli tylko 8 proc. głosów. Jednak za sprawą Tuska dostali za to arcyważne stanowisko. Co więcej – objął je człowiek, który wstąpił do PZPR w 1983 r., kiedy reżim Jaruzelskiego zabijał Grzegorza Przemyka, ks. Jerzego Popiełuszkę czy górników z Wujka. Po stanie wojennym każdy uczciwy człowiek, który był jeszcze w PZPR, to z niej uciekał. Trzeba było być wyjątkową kanalią, by właśnie wtedy wstąpić do partii.

Ale „Zaginiony świat” ma różne oblicza...

Jasno mówię o czarnych stronach PRL. Przypominam codzienną egzystencję tworzoną przez system. Pustki w sklepach, wybrakowane towary. Ludzie stali w upiornie długich kolejkach po wszystko, latami czekali na mieszkanie, na samochód. Na kartki było nie tylko mięso, słodycze czy alkohol, lecz także buty i artykuły higieniczne. Bombardowano nas kłamliwą propagandą. Oczywiście nie istniały wolne wybory ani wolność słowa. Jednoosobowymi decyzjami administracyjnymi niszczono ludziom majątki i dorobek pokoleń. Ludzi upadlało też codzienne życie. Przytoczę tu wpis z „Książki życzeń i zażaleń” w pewnym sklepie: „Około godz. 11.30 przyszłam do sklepu mięsnego, aby ustawić się w kolejce. Oczywiście nic już nie było o tej godzinie, ale ponieważ dostawa poranna jest zawsze dzielona na sprzedaż przedpołudniową i popołudniową, liczyłam, że jakiś towar zostanie o godz. 16.00 wyłożony. Było nas takich 20 osób. Czekaliśmy więc w ciemno do 16.00. Kiedy wystawiono towar, okazało się, że wszystkiego jest bardzo mało. A parówki z porannej dostawy w ogóle wyparowały”. Taka była PRL! Ustrój upodlający wszystkich. Nawet nie robiono tego złośliwie – to był systemowy walec, który po ludziach przejeżdżał i miażdżył.

A dostrzega pan jakieś pozytywy życia w PRL?

Tak. Dużo ciekawsze rzeczy działy się w filmie i teatrze. Aktorstwo stało na nieporównanie wyższym poziomie. Produkowano nie tylko ambitne seriale współczesne, lecz także świetne produkcje kostiumowe. Gdybyśmy przygotowali spis najlepszych filmów i seriali w historii Polski, to jestem pewien, że zdecydowaną większość czołowych miejsc zajęłyby dzieła z lat PRL.

Ze spraw życia codziennego – z nostalgią wspominam podwórka, od rana do wieczora pełne bawiących się dzieci. Tam wrzało życie społeczne w dziecięcym wymiarze, tam nie tylko się bawiono, lecz także uczono komunikacji, przebywania w grupie.

Duży rozdział poświęca pan gospodarce, a wtedy musi paść nazwisko: Leszek Balcerowicz.

To, co wydarzyło się w Polsce po 1989 r., stało się zbrodnią na polskiej gospodarce. Oczywiście, że

eprasa.pl ae11eb359b

gospodarka PRL była katastrofalnie chora, ale lecząc ten trąd, jako lekarstwo zastosowano dżumę. Balcerowicz dogłębnie i systemowo zrujnował wszystko, co dobrego zostało po PRL oraz przede wszystkim na wiele lat zniszczył nasze nadzieje na przyszłość. Oczywiście system PRL był niewydolny i często anachroniczny, ale funkcjonowały firmy, marki, tradycje, wysokokwalifikowane załogi. Całe miasta żyły wokół zakładów pracy. Balcerowicz wywołał tsunami, które zniszczyło zarówno to, co złe, jak i to, co dobre. Doprowadził do przerażającego bezrobocia, a zamiast strzec naszego rynku, otworzył go na oścież przed towarami z Zachodu. Zaprosił też do Polski spekulantów finansowych. A istniała przecież koncepcja alternatywna: rozumnego chronienia przemysłu i rolnictwa. Tymczasem Balcerowicz zastosował terapię szokową, co spowodowało upadek tysięcy zakładów pracy lub ich wykup za grosze. Na własne życzenie oddaliśmy nasz rynek konsumencki i produkcyjny w obce ręce.

W rozdziale „Polityka" ocenia pan m.in. Gierka. Czy różnił się od Jaruzelskiego? Skąd bierze się sentyment do jego czasów?

Gierek był dyktatorem, jednak chciał być lubiany – a to rodziło nadzieję, że nie będzie ludzi zabijał. Rzeczywiście, za Gierka represje w porównaniu z czasami Gomułki – nie mówiąc już o Bierucie i Jaruzelskim – były dużo mniejsze. On chciał być gospodarzem silnej Polski, który dba o rozwój i unowocześnianie kraju. W odróżnieniu od Gomułki postawił na indywidualną konsumpcję. Chciał, aby ludzie mieli lepsze samochody, ciuchy, aby wyjeżdżali na wakacje do domów wczasowych, podróżowali za granicę. Na początku lat 70. u wielu osób zrodziła się nadzieja na socjalizm w ludzką twarzą. Gierek planował, że za zaciągnięte kredyty zbuduje fabryki, a w nich będzie produkował towary, które zostaną kupione na Zachodzie, co pozwoli nie tylko na spłatę kredytów, lecz także zapewni zysk. Niestety można złośliwie powiedzieć, że z tego całego sprytnego planu świetnie wyszło jedynie zaciągnięcie kredytów.

Musimy też pamiętać, że Polska Gierka nie była krajem bez prześladowań. Działała SB. Opozycjonistów stawiano przed sądami i zatrzymywano, pojawiło się pojęcie „pobicia przez nieznanych sprawców", a w Radomiu i Ursusie w czerwcu 1976 r. katowano i prześladowano protestujących ludzi.

Niemniej epokę Gierka wspominano na tyle dobrze, że za czasów Jaruzelskiego pojawił się wierszyk: „Wracaj, Edziu, do koryta, lepszy złodziej niż bandyta". Apogeum tęsknoty za Gierkiem zostało wywołane już w latach 90. wywiadem rzeką „Przerwana dekada", w której Gierek opowiadał o swojej wizji historii, przy okazji czyniąc z siebie męża opatrznościowego i wielkiego patriotę. Wiele osób uwierzyło w tę wizję.

Z drugiej strony wyłaniają się Adam Michnik i Lech Wałęsa. Czy rzeczywiście była to druga strona?

Wałęsa i Michnik świetnie się dogadali z komunistami i razem stworzyli system władzy oraz wizji historii, który do dziś nazywamy „okrągłostołowym". Co prawda początek lat 90. to „wojna na górze" pomiędzy ich środowiskami, ale teraz znowu się pojednali w antypatriotycznym froncie. Zresztą Michnik już wiele lat temu przestał dostrzegać przeciwników w komunistach czy postkomunistach, a zaczął ich widzieć w polskich patriotach.

Napisał pan także o ogromnym udziale osób narodowości lub pochodzenia żydowskiego w tworzeniu PRL i w jej w aparacie represji.

Przytaczam statystyki za prezesem Żydowskiego Instytut Historycznego Pawłem Śpiewakiem. W kierownictwie Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego było 37 proc. Żydów, w cenzurze – 50 proc. W odniesieniu do liczby Żydów po wojnie, Holokauście, była to uderzająca dysproporcja. Nadreprezentacja osób pochodzenia żydowskiego w aparacie komunistycznego terroru była nawet kilkudziesięciokrotna! Dlatego trudno się dziwić wierze wielu Polaków, iż „to Żydzi zaprowadzili w Polsce komunizm". Jakże często zdarzały się sytuacje, że w UB Polaka przesłuchiwał i torturował żydowski oficer, potem skazywał żydowski sędzia, a jak wyszedł z więzienia – opluwał żydowski dziennikarz. Czy mogło to pozostać niezauważone? Jednak warto też pamiętać, że prawdziwi Żydzi, przywiązani do religii i tradycji żydowskiej, często uważali żydowskich komunistów za odszczepieńców.

W „Zaginionym świecie" pisze pan także o prawdziwych bohaterach, którym zawdzięczamy wolność: żołnierzach wyklętych, kard. Wyszyńskim, św. Janie Pawle II oraz działaczach Solidarności, którzy nie poszli na współpracę z komuną.

Tak, w książce są opisani np. Kornel Morawiecki i Anna Walentynowicz. Wspominam również o KOR, który był niezwykle odważną inicjatywą. Uczestnictwo w niej groziło bardzo poważnymi konsekwencjami. Również takimi, że na zebrania KOR w prywatnych domach wpadały bojówki starszych kolegów Włodzimierza Czarzastego, którzy pięściami i pałkami bili uczestników. Opowiadam też o Jacku Kuroniu i Adamie Michniku. W latach stanu wojennego w oczach większości Polaków byli bohaterami i trzeba o tym pamiętać.

Były najścia, a nawet tortury, ale w PRL krążyło też tysiące dowcipów...

Polacy starali się kpiną i szyderstwem „odczarować" prześladujący ich system. Musimy jednak zawsze pamiętać, że obraz PRL to nie tylko komedie Stanisława Barei. One dają niepełny i wykrzywiony obraz ówczesnej egzystencji. Bo PRL to również „Dreszcze", „Przesłuchanie", „Śmierć jak kromka chleba", „Czarny czwartek", „Człowiek z marmuru" „Człowiek z żelaza". To opowieści o niewoleniu i niszczeniu zarówno całego społeczeństwa, jak i konkretnych ludzi. Tylko mając świadomość, że obok groteskowych absurdów rozgrywały się również przerażające dramaty, będziemy mieli pełen obraz rzeczywistości PRL.

eprasa.pl ae11eb359b

Relacja z Ukrainy



Zakład hrabiego Skarbka



ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI

Dawne kresy Rzeczypospolitej to kraina niezwykła. Nie jest jeszcze Wschodem, ale na pewno już nie Zachodem. Niby odległa, ale jednak bliska każdemu Polakowi. Są tam miejsca warte naszej pamięci. Ale chodzi nie tylko o zamki. Niedaleko Lwowa stoi pałac, w którym połączyły się plany XIX-wiecznego filantropa, dzieciństwo twórcy serialu o Bolku i Lolku z konceptem szalonego Amerykanina dzisiaj. Niemożliwe, a jednak prawdziwe. Ale po kolei

„Był to szlachcic o całą głowę wyższy od swoich współczesnych, mądry po nad przesądy, szlachcic, który pojmował szlachetność na punkcie własnej pracy i godności człowieka i tem właśnie wzniósł się ponad poziom ogółu. Przewodnią ideą jego życia była zasada, że praca uzacnia i uszlachetnia człowieka" – tymi słowy „Kurjer Lwowski", we wtorkowym wydaniu z 8 maja 1888 r., wspominał hr. Stanisława Skarbka herbu Habdank 40 lat po jego śmierci.

Tego dnia przeniesiono jego szczątki z Cmentarza Łyczakowskiego i złożono w kaplicy w podlwowskim Drohowyżu, tuż przy dobroczynnym dziele życia ziemianina – Zakładzie Sierot i Ubogich.



Nr. 128. Lwów, Wtorek dnia 8. Maja 1888. Rok. VI.

KURJER LWOWSKI

Wychodzi codziennie oprócz w Niedziele i Święta o godz. 8 rano.

Z BYDŁEM DO WIEDNIA

Teresa Skarbek, mama nowo narodzonego Stasia, zmarła w połogu w listopadzie 1780 r., a cztery lata później chłopiec stracił również ojca – Jana. Wychowaniem krewnego i jego młodszego brata, zajęła się ciotka – Julianna Rzewuska. Ciężki los nawet szlachetnie i w bogatym domu urodzonej sieroty ukształtował charakter Stanisława Skarbka, czyniąc go wytrwałym i pomysłowym, a jednocześnie wrażliwym na potrzeby innych przedsiębiorcą.

Gdy hrabia miał 21 lat, odziedziczył majątek i wbrew ówczesnym zwyczajom, uśmiechom politowania ze strony szlachty oraz zawiści konkurencji zajął się handlem wołami, osobiście prowadząc je na targi w tak odległych miastach jak Wiedeń czy Ołomuniec. Rywale nie ograniczali się do obmawiania Skarbka – w stolicy Austrii przekonali miejscowych rzeźników, by nie kupowali od niego bydła. Ten, niezrażony, pokonywał trudności z sobie

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl ae11eb359b



Fot. Muzeum Narodowe w Krakowie, Bartosz Cygan

Cesarz Franciszek Józef z wizytą w zakładzie, 1880 r.

wrodzonym uporem – obrócił zmowę rzemieślników przeciwko nim, otwierając własne jatki i odbierając im część klientów.

Zarządzając rozległym majątkiem ziemskim, łączył gospodarkę rolną z szeroko zakrojoną działalnością wytwórczą i przemysłową. Nieustannie pokonując trudności ze strony zawistnej i nie zawsze uczciwej konkurencji, rozwijał posiadłości, budując młyny, tartaki, huty, a także browary i gorzelnie. Dzięki zdobytemu prawu propinacji sprzedawał własne wódki i piwa produkowane w dobrach rządowych, przyległych do odziedziczonego po dziadku Rożniatowa.

Wielobranżowa działalność we własnym majątku nie wyczerpywała wszystkich talentów i możliwości Stanisława Skarbka. Hrabia był też intendentem żup solnych i dóbr narodowych w obwodach przylegających do Lwowa oraz dostarczał paliwo i opał do samego miasta.

OD TEATRU DO SIEROT

Dzięki niezwykłej przedsiębiorczości hrabia stał się jednym z najbogatszych ludzi w Galicji. Niebagatelne zyski szybko pozwoliły mu spłacić rodzinne długi oraz odkupić zastawione i sprzedane majątki. Po upadku powstania listopadowego z pozytywistycznym zacięciem poświęcił się pracy na rzecz poprawy dobrobytu narodowego i oświaty. Przychodziło mu to tym łatwiej, że mimo ponad 50 lat pozostawał bezdzietny, a małżeństwo z Zofią Jabłonowską, zawarte w 1814 r., rozpadło się po kilku latach. Pikanterii sprawie dodawał szybki ślub rozwódki z jej wieloletnim adoratorem – powszechnie znanym Aleksandrem Fredrą.

W 1842 r., po pięciu latach budowy, w centrum Lwowa stanął monumentalny gmach polskiego teatru, w całości sfinansowany przez Stanisława Skarbka. Był on wtedy największym teatrem w Europie, z salą mogącą pomieścić 1460 widzów. W budynku znajdowały się również hotel, kawiarnie, sklepy i część biurowa, a także mieszkania, z których korzystał m.in. Juliusz Kossak oraz osobiście hr. Skarbek. Obiekt został przekazany miastu Lwów w bezpłatne użytkowanie na 50 lat. Budynek istnieje do dziś, obecnie mieści się w nim Teatr Dramatyczny im. Marii Zankoweckiej.

W 1843 r. Stanisław Skarbek wydał akt, na mocy którego miał powstać Zakład Sierot i Ubogich, gdzie dach nad głową, wikt i opierunek miało znaleźć 400 ubogich chrześcijan, a nauki pobierać 600 dzieci obojga płci. Początkowo zamierzano wznieść go we Lwowie, jednak negocjacje z rajcami przeciągały się ponad miarę, więc hrabia umiejscowił placówkę na terenie własnych dóbr – w oddalonym o 30 km od Lwowa Drohowyżu.

Stanisław Skarbek zmarł 27 października 1848 r. w swoim teatralnym apartamencie. Śmierć nie przekreśliła jego planów. Na mocy testamentu hrabiego utworzono fundację mającą zarządzać majątkiem zmarłego, przekazanym na rzecz utworzenia i utrzymania drohowyskiej placówki, której statut powstał już w 1843 r. W tym dokumencie niemal ściśle ustalono wszystkie aspekty przyszłej działalności zakładu – od organizacji dnia pracy poprzez wysokość wynagrodzeń kadry po określenie programu nauczania czy rodzaje stosowanych kar. Najważniejsza miała być jednak praca – jako metoda wychowawcza i cel nauki. Wychowankowie opuszczający zakład mieli być wykształconymi rzemieślnikami zdolnymi do utrzymywania się samodzielnie.

DROHOWYSKI ZAKŁAD

Po 10 latach budowy, dopiero w 1875 r., w neoklasycznym trzypiętrowym obiekcie pojawili się pierwsi podopieczni zakładu. Główny gmach zaprojektowany w kształcie litery E miał 200 m długości, a jego powierzchnia wynosiła ponad 10 tys. m². Na parterze mieściły się sale lekcyjne i pracownie, a na piętrach sypialnie. Kompleks zajmował obszar 34 ha, w jego skład wchodziły liczne budynki pomocnicze, a także park, las, łąki, ogrody i kaplica.


DOKUMENTA

Zakład sierót i ubogich

w Drohowyżu.

Finalny zapis Statutu Fundacji Skarbka z 1875 r.; poniżej Zakład Sierót i Ubogich w 1934 r.



Fot. NAC



Wychowankowie zakładu przed prawym skrzydłem głównego budynku w 1934 r. oraz ta sama fasada współcześnie

Trafiające do niego dzieci początkowo przechodziły kurs ogólny – naukę czytania i pisania oraz rachunków. Następnie kształciły się w wybranych dla nich kierunkach – chłopcy m.in. na ślusarzy, kowali, stolarzy czy szewców, dla dziewcząt przewidziano krawiectwo, kucharstwo czy prowadzenie domu.

W 1880 r. zakład wizytował podróżujący po Galicji cesarz Austro-Węgier Franciszek Józef, który cztery lata później zatwierdził swoim rozkazem jego powstanie.

Placówka działała i kształciła podopiecznych nieprzerwanie przez 64 lata. Była uważana za jedną z największych w Europie zarówno pod względem zajmowanego terenu, jak i liczby uczniów. Do 1939 r. jej mury opuściło ok. 4 tys. absolwentów. Jednym z nich był Władysław Nehrebecki – późniejszy polski reżyser filmowy i teatralny, znany przede wszystkim jako twórca animowanych postaci Bolka i Loka. Spędził w zakładzie 10 lat.

Kres działalności zakładu nastąpił po wybuchu II wojny światowej. We wrześniu 1939 r. placówka została zajęta przez Armię Czerwoną, a po 1945 r. wraz z całym byłym województwem lwowskim znalazła się w granicach ZSRS. Władze Kraju Rad z wyjątkową zaciekłością walczyły z wszelkimi przejawami polskości, szczególnie tej „wielkopańskiej". W nowej rzeczywistości wszelkie ślady po dobroczynnym dziele Stanisława Skarbka musiały być zatarte.

Rozbrzmiewający w korytarzach neoklasycznego pałacu dziecięcy śmiech i zabawy zastąpiły wycia pacjentów i wątpliwe metody leczenia


Pamiątkowa tablica z herbem Habdank przy głównym wejściu do pałacu. „Dla uczczenia 230. rocznicy urodzin wybitnego galicyjskiego mecenasa hrabiego Stanisława Skarbka, który ufundował ten gmach, wdzięczni potomkowie, 20 XI 2010 r."

psychicznie chorych. Zakład zmienił się w ponure zamczysko z atmosferą rodem z filmów grozy.

CO ZOBACZYŁEM

W ubiegłym miesiącu trafiłem do Zakładu – bo tak obecnie nazywa się wydzielona z Drohowyża wieś, w której zachowało się to, co zostało z fundacji hr. Skarbka. Front głównego budynku przetrwał w najlepszym stanie, choć trudno powiedzieć, że w dobrym. Doraźne naprawy nie były w stanie zatrzymać zniszczeń powstających na skutek upływającego czasu, a współczesne plastikowe okna kontrastują z zabytkową bryłą. Ich wstawienie było koniecznością – w tej części nadal funkcjonuje pozostałość po sowieckiej placówce dla chorych psychiczne – internat psychoneurologiczny, dzięki czemu wnętrze tej części gmachu jest utrzymane w nie najgorszym stanie.

Niestety oba boczne skrzydła i tył gmachu znacznie nadgryzł ząb czasu pospołu z warunkami atmosferycznymi. Odpadający płatami tynk odsłania zawilgotniałe i zagrzybiałe mury z czerwonej cegły. Nie wszystkie szyby w oknach są potłuczone, ale współczesne ingerencje w zabytkową bryłę nie tylko ją szpecą, lecz także naruszają integralność zabytku. Pałac pozostawiony sam sobie zniszczeje do reszty, tak jak wiele otaczających go kompletnie już zrujnowanych budynków gospodarczych należących niegdyś do Zakładu Sierot i Ubogich.

AMERYKANIN NA KOŃCU ŚWIATA

W prawym skrzydle gmachu spotkałem mężczyznę, który przedstawił się jako Jay Rivera, i co nietypowe na Ukrainie – zrobił to po angielsku. Powiedział, że jest szefem organizacji wolontariackiej „Phoenix", tworzącej w tym miejscu, wraz z pozarządową organizacją Akcja wolontariacka, azyl dla uchodźców. Okazało się, że jest Amerykaninem, który zaangażował się w pomoc Ukraińcom zaatakowanym przez Rosję.

Dlaczego? Bo oglądając w telewizji relację z Ukrainy, zauważył dziewczynkę śpiewającą piosenkę z filmu „Kraina lodu". Jego córka, będąca w podobnym wieku, też bardzo lubiła ten utwór. Jay pomyślał, że gdyby

Fot. Archiwum autora x5, NAC

eprasa.pl ae11eb359b

jego rodzina była w podobnej sytuacji, to modliłby się, by ktoś jej pomagał w tych trudnych czasach. Niewiele myśląc, spakował się i przyleciał do Polski i w Przemyślu rozpoczął karierę wolontariusza. Nie mając przydatnych umiejętności, nie znając żadnego języka poza angielskim, zaczął od mopowania podłóg w supermarkecie, będącym tymczasowo centrum pomocy dla uchodźców wojennych.

Jay pomagał w Polsce przez kilka miesięcy. Zdobywał kontakty i doświadczenie, a jego rodzina i znajomi z USA zastanawiali się, czy nie postradał zmysłów. Wrócił do Stanów dopiero wtedy, kiedy matka mu zagroziła, że odda jego psa do schroniska. Przy biurku w korporacji uświadomił sobie, że jego praca nie jest dla nikogo ważna i przynosi mu jedynie frustrację. W Polsce czuł, że robi coś ważnego i potrzebnego ludziom. Załatwił wszelkie formalności, po czym razem ze swoim psem wrócił do Przemyśla.

Pracował przy organizacji tymczasowych noclegowni i pozyskiwał fundusze ze Stanów, głównie ze zbiórek wśród znajomych. Z czasem zaczął wozić na Ukrainę pomoc humanitarną. W końcu znalazł się w Zakładzie, gdzie z ukraińską narzeczoną i swoim psem wskrzeszają ideę Skarbkowskiego zakładu.

ZAGRAJ TO JESZCZE RAZ, JAY

Jay planuje stworzyć azyl dla uchodźców wewnętrznych, którzy nie mają odwagi wyjechać za granicę lub ze względu na posiadany żywy inwentarz nie mogą opuścić swoich domów. Wydzierżawienie pól wokół pałacu pozwoli na uprawę żywności dla jego przyszłych mieszkańców oraz hodowlę zwierząt przybyłych wraz z właścicielami.

Z doświadczenia Jaya wynika, że inne azyle zostały zmuszone do zakończenia działalności z powodu braku środków i długoterminowego planowania. By nie podzielić ich losu, podopieczni pałacu mieliby zapewniać mu samowystarczalność, codziennie pracując na jego rzecz, a jednocześnie zdobywając nowe umiejętności i ucząc się języków od innych wolontariuszy. By obniżyć koszty energii elektrycznej, przedsiębiorczy Amerykanin nawiązał kontakt z amerykańską firmą produkującą panele fotowoltaiczne, która, zaopatrując zakład, mogłaby pokazać jakość swoich produktów.

Obecnie w zakładzie znalazło schronienie kilkanaście osób z rejonów przyfrontowych. Wspólnie porządkują i oczyszczają pomieszczenia z pozostałości po szpitalu. W jednym z pokoi leżą jeszcze porzucone akta dokumentujące przebieg chorób i leczenia pacjentów psychiatrycznych sprzed wielu lat. Najpilniejszym wyzwaniem jest instalacja ogrzewania, co wiąże się z pruciem zabytkowych ścian. Ale bez dotacji inaczej się nie da.

Jay chciałby, aby zakład ponownie służył potrzebującym. Na jednym z pięter planuje stworzenie mieszkań dla żołnierzy powracających z frontu i ich rodzin. Tam z pomocą terapeutów mieliby oni przechodzić rehabilitację psychiczną. Bo wielu żołnierzy na urlopach nie może porozumieć się z żonami. Wojenne traumy przeniesione z okopów nie pozwalają im na normalne życie. Może brzmi to dziwnie, ale od nowa muszą uczyć się kontaktu z bliskimi.



Jay Rivera, przy wejściu do azylu

Plany Jaya Rivery są bardzo ambitne. Marzy o specjalistycznym ośrodku w rozpadającym się pałacu. Ale sam tego nie sfinansuje, a bezwzględnie konieczny remont generalny obiektu może kosztować nawet 150 mln zł. Mówimy o złotych, bo istnieje rządowy fundusz na renowację polskich zabytków na wschodzie i Jay liczy na zdobycie środków z niego. Jeśli nawet coś dostanie, nie będzie to przecież 100 mln.

Nie można odmówić mu zaangażowania i talentów, jednak wizja wskrzeszenie idei hr. Skarbka bez olbrzymich pieniędzy, które posiadał donator zakładu, wydaje się niemożliwa. Ale czasy się zmieniają. Może szalony Amerykanin udowodni wszystkim, że nic to właśnie tyle, ile potrzeba, żeby zbudować coś wielkiego, by odnieść sukces tam, gdzie wszyscy mówią, że się nie da, a on, nie wiedząc o tym, pokaże, że jest inaczej. W końcu bez ludzi pragnących zmian świat stałby w miejscu.

Good luck Jay, jak mawiają twoi rodacy.


Jeden z zachowanych budynków zakładu, wiele innych jest w gorszym stanie


Gmach zakładu wymaga pilnego remontu

eprasa.pl/przeglad

Janina Suchodolska – zapomniana polska bohaterka



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Jej nazwisko pozostaje niemal nieznane, choć zasługuje na trwałe miejsce w podręcznikach historii. Janina Suchodolska, występująca pod fałszywą tożsamością polskiej hrabiny, jako działaczka Rady Głównej Opiekuńczej przeprowadziła jedną z najbardziej brawurowych akcji ratunkowych na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Dzięki odwadze, inteligencji i niezwykłej determinacji przyczyniła się do ocalenia tysięcy więźniów niemieckiego obozu koncentracyjnego na Majdanku

W czasie II wojny światowej i Holokaustu wiele osób w heroiczny sposób podjęło się ratowania ludzkiego życia. Ta historia należy jednak do wyjątkowych. „Przez cały okres kontaktów Janiny z niemieckimi funkcjonariuszami nikt nie podejrzewał, że nieustraszona i pewna siebie kobieta o arystokratycznych manierach nie jest hrabiną i nie nazywa się Suchodolska. Naprawdę nazywała się Józefa Spinner Mehlberg, była genialną matematyczką, oficerem Armii Krajowej i Żydówką" – czytamy w prologu książki „Fałszywa hrabina" autorstwa Elizabeth B. White i Joanny Śliwy.



NIEPOZORNA DOKTOR FILOZOFII

Opublikowana niedawno biografia przywraca pamięć o Janinie Suchodolskiej, postaci niemal całkowicie zapomnianej. Odnalezione po latach pamiętniki i dokumenty archiwalne stały się podstawą rzetelnego opracowania historycznego. Dzięki wydawnictwu Rebis publikacja ukazała się również w Polsce, pozwalając czytelnikom poznać losy kobiety, która pod przybranym nazwiskiem i fałszywym tytułem arystokratycznym ratowała ludzkie życia w okupowanej przez Niemców Polsce.

Janina Suchodolska urodziła się 1 maja 1905 r. w Żurawnie w Galicji Wschodniej jako Pepi Spinner, w rodzinie zasymilowanych polskich Żydów. Jej ojciec był właścicielem ziemskim i utrzymywał bliskie kontakty towarzyskie z polskimi rodzinami szlacheckimi. Dzieciństwo Janiny było spokojne i szczęśliwe – aż do wybuchu I wojny światowej. Wówczas jej ojciec został zabrany przez wojska rosyjskie i zmarł w 1918 r.

Po tych wydarzeniach Janina przeniosła się do Lwowa. Studiowała matematykę na Uniwersytecie Jana Kazimierza, uzyskując tytuł magistra nauk ścisłych. W 1928 r. na tej samej uczelni obroniła doktorat z filozofii pod kierunkiem prof. Kazimierza Twardowskiego – wybitnego naukowca i twórcy lwowsko-warszawskiej szkoły logicznej.

W 1933 r. wyszła za mąż za Henryka Mehlberga, doktora filozofii i filologa francuskiego. Małżeństwo prowadziło ustabilizowane życie akademickie – oboje uczyli w lwowskich szkołach i rozwijali swoje kariery naukowe. Nie przypuszczali, jak dramatycznie odmieni ich losy nadchodząca wojna.

Fot. U.S. Holocaust Memorial Museum

eprasa.pl ae11eb359b

Z GETTA WE LWOWIE DO LUBLINA

Po napaści Niemiec i Związku Sowieckiego na Polskę Janina i Henryk Mehlbergowie zdecydowali się pozostać we Lwowie, który znalazł się pod okupacją sowiecką. Początkowo ta decyzja dawała im złudne poczucie bezpieczeństwa. Sytuacja zmieniła się dramatycznie w 1941 r., gdy miasto zajął Wehrmacht. Dla żydowskich mieszkańców Lwowa oznaczało to początek terroru. Wkrótce Niemcy rozpoczęli tworzenie getta.

W obliczu narastającego zagrożenia małżeństwo postanowiło uciec. Schronienie znalazło w Lublinie, dokąd trafiło dzięki pomocy hr. Andrzeja Skrzyńskiego, dawnego przyjaciela ojca Janiny. To on stworzył Mehlbergom najlepszą możliwą szansę na przetrwanie w realiach okupacyjnej rzeczywistości – zmianę tożsamości. Małżeństwo otrzymało fałszywe dokumenty i odtąd aż do końca wojny występowało jako hrabiostwo Piotr i Janina Suchodolscy.

Nowa tożsamość nie miała jednak służyć wyłącznie ocaleniu własnego życia. Janina świadomie wykorzystała arystokratyczny tytuł jako narzędzie. Jak czytamy w „Fałszywej hrabinie": „Przyjęła fałszywą tożsamość jako polska arystokratka, hrabina Janina Suchodolska, żeby się uratować, żeby przetrwać jako Żydówka. Ale też użyła tej fałszywej tożsamości i tego statusu, który niesie za sobą arystokratyczny tytuł, żeby pomagać innym ludziom". Przybrana maska stała się dla niej przepustką do świata, w którym mogła realnie wpływać na losy innych. Szybko zaczęła z niej korzystać w niesamowity sposób.

Dzięki kontaktom hr. Andrzeja Skrzyńskiego Janina Suchodolska szybko rozpoczęła współpracę z Radą Główną Opiekuńczą. Była to jedna z nielicznych legalnie działających w Generalnym Gubernatorstwie organizacji pomocowych, zapewniająca wsparcie ludności dotkniętej wojną poprzez dystrybucję żywności, lekarstw oraz artykułów pierwszej potrzeby. Jednocześnie Suchodolska działała w strukturach Armii Krajowej, co znacząco zwiększało jej możliwości organizacyjne i pozwalało skuteczniej docierać z pomocą tam, gdzie była ona najbardziej potrzebna.

PERTRAKTACJE Z ESESMANAMI

Wkrótce jej wysiłki skoncentrowały się na niemieckim obozie koncentracyjnym na Majdanku, jednym z najstraszliwszych miejsc okupacyjnego terroru. Funkcjonujący od października 1941 r. do lipca 1944 r. obóz stał się miejscem kaźni ok. 80 tys. ludzi (w tym ok. 60 tys. Żydów deportowanych tam z całej Europy) spośród blisko 150 tys. więźniów, którzy przez niego przeszli. Osadzeni ginęli z głodu, chorób, w wyniku katorżniczej pracy, egzekucji oraz masowych mordów w komorach gazowych.

> Jak ustalili badacze na podstawie dokumentów archiwalnych oraz relacji świadków, w wyniku negocjacji z Niemcami fałszywa hrabina zdołała wydostać z niewoli co najmniej 9707 Polaków, w tym 4431 więźniów Majdanka

Zadaniem Janiny Suchodolskiej było zorganizowanie pomocy dla więźniów Majdanka. Fałszywa hrabina wykorzystywała przy tym wszystkie swoje atuty: niezwykłe umiejętności interpersonalne oraz doskonałą znajomość języków – biegle posługiwała się niemieckim, znała także francuski, rosyjski, ukraiński i angielski. Potrafiła prowadzić rozmowy z przedstawicielami okupanta w sposób pewny i opanowany, a jej nienaganne maniery oraz umiejętność naśladowania zachowania arystokracji obezwładniały Niemców. Choć byli rasistami, wciąż darzyli specyficznym rodzajem szacunku wszelkie tytuły i wyższą hierarchię społeczną. Przy „hrabinie" wstawali, zapraszali ją do zajęcia miejsca i nie ośmielali się na krzyki czy pogardliwe traktowanie.

W trakcie rozmów z komendantem obozu Suchodolskiej udało się uzyskać zgodę na dostarczanie na Majdanek paczek żywnościowych oraz lekarstw. Początkowo zakres tej pomocy był ściśle ograniczony decyzjami władz obozowych, jednak z czasem dzięki konsekwentnym negocjacjom zakres wsparcia systematycznie się rozszerzał.

Przedstawicielka RGO tak formułowała swoje postulaty, by Niemcy zgadzali się na coraz dalej idące prośby. Przekonywała ich, że lepiej odżywieni i leczeni więźniowie będą bardziej wydajni w pracy, a więc w rozumieniu nazistów – bardziej „użyteczni". Z czasem do obozu zaczęły trafiać regularne transporty z żywnością, lekami, szczepionkami przeciwko tyfusowi, a także zupa przeznaczona dla najbardziej wycieńczonych i chorych więźniów.

RYZYKOWNE, TAJNE DZIAŁANIA

Jednocześnie Suchodolska prowadziła działania nieoficjalne, obarczone jeszcze większym ryzykiem. Z narażeniem życia przemycała do obozu dodatkowe jedzenie, sprzęt medyczny, książki i drobne przedmioty niezbędne do przetrwania. Starała się omijać restrykcje narzucone przez Niemców, tak aby pomoc docierała także do tych, którym formalnie jej odmawiano.

Jak podkreślała historyk Państwowego Muzeum na Majdanku Marta Grudzińska, wszelka oficjalna pomoc była przeznaczona wyłącznie dla więźniów narodowości polskiej. Suchodolska świadomie obchodziła te ograniczenia. Z relacji dr Stefanii Perzanowskiej wynika, że paczki były adresowane do konkretnych więźniarek, które wiedziały, że mają się podzielić ich zawartością z innymi: Francuzkami, Holenderkami czy Żydówkami.

Fałszywa hrabina potajemnie przekazywała również grypsy i listy, umożliwiając więźniom kontakt z rodzinami

eprasa.pl ae11eb359b

i informowanie bliskich o swoim losie. W imieniu pomocy humanitarnej wielokrotnie interweniowała u esesmanów, otwarcie sprzeciwiając się najbardziej brutalnym praktykom.

Równocześnie Suchodolska nieprzerwanie przekazywała strukturom Polskiego Państwa Podziemnego informacje o sytuacji w obozie i działaniach Niemców, stając się jednym z kluczowych źródeł wiedzy o realiach Majdanka.

NAJWIĘKSZY SUKCES: ZWOLNIENIA Z OBOZU

Najbardziej spektakularnym osiągnięciem Janiny Suchodolskiej było uzyskanie zgody niemieckich władz na zwolnienie więźniów z obozu koncentracyjnego na Majdanku. Latem 1943 r. trafiło tam ok. 9 tys. osób wysiedlonych z Zamojszczyzny. Plan zakładał ich deportację do Rzeszy na roboty przymusowe. Suchodolska za wszelką cenę starała się temu zapobiec. W pierwszej kolejności próbowała wydobyć z obozu dzieci z Zamojszczyzny, Niemcy jednak twierdzili, że żadne z nich nie przebywa na Majdanku. Fałszywa hrabina nie przyjęła tej odpowiedzi. Konsekwentnie ponawiała interwencje, domagała się kolejnych rozmów i nie ustępowała, mimo wyraźnego oporu władz obozowych. Jej determinacja przyniosła w końcu efekt w postaci zgody na zwolnienie 3,6 tys. osób.

Gdy przystąpiono do realizacji decyzji, okazało się jednak, że z przygotowanej listy w obozie pozostało już tylko ok. 2,1 tys. więźniów. Były to przede wszystkim kobiety, dzieci oraz osoby starsze – ci, którzy nie zostali zakwalifikowani do wywózki do Rzeszy. Dzięki działaniom Suchodolskiej wszyscy odzyskali wolność.

Ocaleni wysiedleńcy z Zamojszczyzny trafili pod skrzydła Rady Głównej Opiekuńczej. Wielu znalazło schronienie u polskich rodzin w podlubelskich wsiach, ok. 500 osób skierowano do lubelskich szpitali. Niestety mimo natychmiastowej pomocy część z nich zmarła wkrótce po zwolnieniu z powodu skrajnego wyczerpania, wyniszczenia chorobami i wielomiesięcznego pobytu w obozie.

Akcja uwolnienia wysiedleńców z Zamojszczyzny nie była jednorazowym sukcesem. W różnych okresach swojej działalności Suchodolska wielokrotnie wywalczała u niemieckich władz zwolnienie kolejnych grup więźniów, którymi następnie opiekowała się RGO. Jak ustalili badacze na podstawie dokumentów archiwalnych oraz relacji świadków, w wyniku negocjacji z Niemcami fałszywa hrabina zdołała wydostać z niewoli co najmniej 9707 Polaków, w tym 4431 więźniów Majdanka. Organizowane przez nią dostawy żywności i leków uratowały przed głodem i chorobami kolejne tysiące ludzi, czyniąc z jej działalności jedną z największych indywidualnych akcji ratunkowych na terenie Generalnego Gubernatorstwa.

> Po zakończeniu wojny Janina Suchodolska nie ujawniła swojej tożsamości, nie opowiedziała o skali swoich dokonań. Osiadła w Chicago, gdzie wykładała matematykę w Illinois Institute of Technology, wracając do życia akademickiego

ZAPOMNIENIE

Po zakończeniu wojny Józefa Spinner Mehlberg nie ujawniła swojej prawdziwej tożsamości. Pozostała Janiną Suchodolską i nigdy publicznie nie opowiedziała o skali swoich wojennych dokonań. W 1950 r. wyjechała do Kanady, gdzie przebywał już jej mąż Henryk. Niedługo później małżeństwo przeniosło się do Stanów Zjednoczonych. W 1961 r. otrzymała obywatelstwo amerykańskie jako dr Josephine Janina Spinner Mehlberg. Choć przed 1941 r. nie posługiwała się imieniem Janina, zachowała je do końca życia jako część swojej tożsamości. Również jej mąż zwracał się do niej tym imieniem. Małżeństwo zamieszkało w Chicago. Janina wykładała matematykę w Illinois Institute of Technology, wracając do życia akademickiego, które wojna brutalnie przerwała. Zmarła w 1969 r., nie doczekawszy ani publicznego uznania, ani upamiętnienia swoich czynów.



Podstawą książki „Fałszywa hrabina" stał się pamiętnik, który Janina spisała w latach 60. XX w. Został on napisany po polsku, a na język angielski przetłumaczył go jej mąż Henryk Mehlberg. Przez lata bezskutecznie próbował opublikować historię żony. Zmarł w 1979 r., 10 lat po Janinie.

Dopiero w 1989 r. wykonany na kalce maszynopis pamiętnika trafił w ręce Elizabeth B. White. Wówczas jednak weryfikacja opisanych wydarzeń oraz potwierdzenie tożsamości autorki okazały się niezwykle trudne. Przełom nastąpił dopiero w 2018 r., gdy Elizabeth B. White wspólnie z Joanną Śliwą rozpoczęły szeroko zakrojone poszukiwania archiwalne. Odnajdywane dokumenty, relacje i zapisy pozwoliły odtworzyć prawdziwą historię „fałszywej hrabiny" i potwierdzić skalę jej działalności.

Mimo ogromu dokonań i życia poświęconego ratowaniu innych Janina Suchodolska pozostaje postacią nieobecną w zbiorowej pamięci i opracowaniach historycznych, a więc kompletnie nieznaną. Dzięki publikacjom takim jak „Fałszywa hrabina" jej historia ma szansę po dziesiątkach lat trafić do ludzi. Coraz więcej badaczy i czytelników odkrywa dziś niezwykłą odwagę, intelekt i determinację kobiety, która w jednym z najciemniejszych momentów XX w. potrafiła ocalić tysiące ludzkich istnień.

eprasa.pl ae11eb359b



Wizja i ambicje. Rozmach budowanego na ekranie świata. Jak w hollywoodzkich hitach. Polski reżyser postanowił dołączyć do ekskluzywnego grona kinowych demiurgów. I tak obok trzeciego „Avatara” mamy w kinach „Dzikiego”

Ogień, popiół i dzikość

Fot. 20TH CENTURY STUDIOS

eprasa.pl ae11eb359b



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Blisko trzy dekady temu 43-letni wówczas kanadyjski reżyser i scenarzysta James Cameron zanurzył się w oceaniczne głębiny, by spełnić wielkie filmowe marzenie. Podążając za wizją i pasją (wcześniej morskie tonie wciągnęły go m.in. w filmie „Otchłań", 1989) oraz czerpiąc z najnowszych technologii, pokonał 3,8 tys. m, by wydobyć dla widzów historię szalonej miłości, a także wielkich ambicji i wiary w niezatapialność cudu morskiej techniki – transatlantyckiego okrętu pasażerskiego Titanic.

KROCIE Z PANDORY

W filmie, który zna chyba każdy widz (przypomnianym ostatnio przez Polsat), Cameron powrócił do 1912 r., by z pietyzmem odtworzyć mikroświat luksusowego parowca. 12 lat później – znów czerpiąc z rozwijających się w zawrotnym tempie możliwości technologicznych – wykreował zupełnie nowy świat oraz bohaterów. Zabrał widzów na Pandorę zamieszkaną przez lud Na'vi. „Avatar" (z budżetem w wysokości 237 mln dol.) stał się nie tylko innowacyjnie przełomowym, lecz także najbardziej dochodowym filmem wszech czasów.

Teraz wszystko wskazuje na to, że również trzecia część tej niezwykłej opowieści, zatytułowana „Avatar: Ogień i popiół", która trafiła na światowe ekrany pod koniec 2025 r., zarobi krocie (liczące ok. 400 mln dol. koszty produkcji zwrócą się, gdy wpływy z kin osiągną 900 mln dol., tymczasem już po dziesięciu dniach film zarobił 760 mln dol.). Oznacza to, że powstanie też część czwarta (zapowiadana na 2029 r.) i piąta (zapowiadana na 2031 r.).

Czy ich reżyserii podejmie się 71-letni dziś Cameron? On sam nie jest do końca pewny, w jakim zakresie pozostanie przy produkcji, chociaż nikt nie odbierze mu pozycji głównego pomysłodawcy, a także autora złożonych już scenariuszy.

NOWE DROGI, A TAKŻE BEZDROŻA

Celność, z jaką ze swoim koncepcyjnym rozmachem trafia w potrzeby i oczekiwania widzów, plasują Jamesa Camerona na szczycie listy twórców, którym udaje się wytyczanie nowych filmowych dróg. Wielkie wizje oraz marzenia o demiurgicznych mocach potrafią jednak wywieść na kinowe bezdroża. W minionym roku doświadczyli tego Francis Ford Coppola (jego projekt życia – „Megalopolis" – z budżetem 120 mln dol. w kinach na całym świecie zarobił ledwie 14,4 mln dol.) czy Kevin Costner (kosztująca 50 mln dol. druga część jego westernowej sagi „Horyzont. Rozdział 2" z powodu sporów z wytwórnią wciąż nie trafiła ani do kin, ani na platformy streamingowe, ani do telewizji, czyli dotąd nie zarobiła nic).

W 2026 r. epicką megaprodukcją ma być „Odyseja" Christophera Nolana (światowa premiera – 17 lipca). Zwiastuny pokazywane na ekranach IMAX przed projekcjami trzeciej części „Avatara" są oceniane bardzo dobrze, więc szansa na sukces „Odysei" jest – ale czy gwarancja? Przykład z rodzimego podwórka pokazuje, że oszałamiający zwiastun może przeskalować ostateczne rezultaty.

ŚWIAT OGROMNY

Jeszcze przed świętami na wielkich ekranach pojawiła się zapowiedź pionierskiej polskiej produkcji – filmu „Dziki". Efekt pasji, wizji i przekonania, że na ekranie można stworzyć świat ogromny i oszałamiający widza, a więc też biznesowo opłacalny. Dziś 45-letni Maciej Kawulski jak najbardziej miał podstawy, aby tak myśleć.



W internetowych biogramach nie bez powodu jest przedstawiany najpierw jako przedsiębiorca filmowy, a dopiero potem reżyser. To on stoi za dopełnionymi imponującą komercyjną obudową megaprodukcjami: „Akademią Pana Kleksa" (2023) oraz filmem „Kleks i wynalazek Filipa Golarza". Sięgając po nowoczesną technologię oraz nie szczędząc środków na promocję, wykreował w nich baśniowy świat na miarę – jak się wydawało – nie tylko cyfrowych potrzeb dzisiejszego widza.

Wcześniej realizował zupełnie inne filmy gatunkowe. Współczesny debiutancki „Underdog" z 2019 r. rozgrywał się w świecie walk MMA. Do nieodległej przeszłości sięgały obrazy „Jak zostałem gangsterem. Historia prawdziwa" (2019) i „Jak pokochałam gangstera" (2022).

Teraz Kawulski postanowił stworzyć – na największym do-

eprasa.pl ae11eb359b

stępnym kinowo ekranie – świat łączący przeszłość (z XVII w.), legendę, wizjonerski rozmach i duchowy kontekst.

Do realizacji swojego projektu, czyli – jak podkreślano w zapowiedziach – „pierwszego w historii, polskiego filmu zrealizowanego w wielkim formacie", użył „legendarnej" kamery.

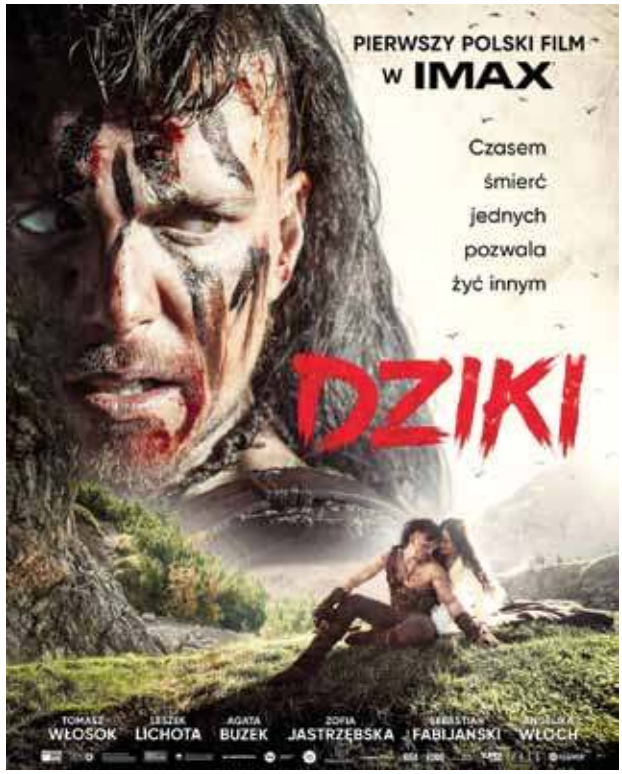
„ALEXA 65 pozwala uchwycić naturę w jej pełnej skali i potędze – z niesamowitą szczegółowością, głębią obrazu i kinowym oddechem, który trudno osiągnąć innymi środkami. Chcieliśmy, by dzikość, samotność i siła przyrody były nie tylko tłem, lecz także pełnoprawnym bohaterem filmu. To narzędzie dało nam możliwość opowiedzenia tej historii w sposób wizualnie poruszający i prawdziwy" – tłumaczy.

W materiałach poprzedzających premierę „Dzikiego" nie zabrakło informacji, że na swoich planach sięgali po ten supernowoczesny sprzęt m.in. twórcy „Diuny: Część druga" i „Zjawy". Zestawienie tych dwóch hollywoodzkich megaprodukcji jest nie bez znaczenia. W pierwszej na ekranie oszałamiająco wykreowano fantastyczny świat, z kolei u Alejandra Gonzáleza Iñárritu widzami wstrząsał naturalizm „odysei przetrwania" (zarówno kostiumowego bohatera, jak i grającego go DiCaprio), a także fascynowały zdjęcia dzikiej przyrody.

EFEKTOWNY ZGIEŁK

Zmultiplikowany efekt „WOW" miał się także pojawić w filmie „Dziki". Zwiastun produkcji – z szerokimi górskimi panoramami i niespotykanym w naszym kinie wieloformatowym światem bohaterów wyklętych (sięgającym do mało znanych tropów historii, redefiniujących legendy i podania) zapowiadał taki rezultat. A może nawet obiecywał.

Tymczasem trwający 133 min seans przede wszystkim bombarduje widza superefektami. Zarówno fantastycznie pokazanymi pejzażami, jak i szokującymi zbliżeniami, aktorskimi przeskalowaniami pierwszego tła i poruszającym drugim planem. W tym filmie jest



bardzo wiele. Chciałoby się przy czymś zatrzymać, ale montaż pędzi. Nie pozwala na towarzyszenie bohaterom. Rwie narrację. Przeciąga od jednej postaci do drugiej, od jednego przekazu do kolejnego.

ZALĄŻEK LEGENDY

Jaki był fabularny koncept „Dzikiego" – zaczepiony w autentycznym historycznym zdarzeniu (zbójnickim napadzie w 1655 r. na królewski orszak Jana II Kazimierza i ograbieniu papieskiego nuncjusza) – dowiadujemy się w ostatnich minutach filmu. Nadmiar materiału przelewa się przez ekran. I przestają dziwić słowa reżysera o trwającym dziewięć miesięcy montażu oraz o tym, że „z inną historią pojechał na plan, a z inną dotarł do finału". To „zasługa" zarówno fantastycznego materiału wizualnego (za rewelacyjne zdjęcia odpowiada Bartek Cierlica), jak i kreacji aktorskich, które potrafiły zaskoczyć nawet reżysera, prowokując go do modyfikowania opowieści.

W taki sposób rewelacyjnie zbudowana przez Tomasza Włosoka niema rola tytułowego „Dzikiego" – wychowanego przez góry małego dziecka, karpackiego Tarzana, pokiereszowanego fizycznie, ale odnalezionego w pełni sił w wieku kilkunastu lat, a potem z różnym skutkiem przysposabianego do życia wśród ludzi – musiała się podzielić fabularną przestrzenią. M.in. z diaboliczną kreacją Sebastiana Fabijańskiego, wcielającego się w przesiąkniętego do szpiku kości złem papieskiego i cesarskiego inkwizytora.

Niewiele (za mało) miejsca zostało na rozwinięcie wątku zbójnickiej legendy, w której „Dziki", inicjując późniejszy przekaz o Janosiku, gromadzi wokół siebie (naprawdę ciekawe i świetnie wygrane) grono młodych wyrzutków. Nie w pełni mógł się rozwinąć wątek „nieswobodnego" – pozbawionego praw i majątku byłego szlachcica, który dał „Dzikiemu" ludzkie schronienie. W tej roli – z tajemnicą niesioną do finału i niewybrzmiałą tak, jak by na to zasługiwała – wystąpił (znów bardzo przekonujący) Leszek Lichota. Jedną z nielicznych, która niemal w pełni mogła się pokazać w stworzonej specjalnie dla niej kostiumowej i scenograficznej oprawie, jest Agata Buzek w roli kapłanko-zielarki.

ZA DUŻO

Maciej Kawulski miał wizję i ambicję. Potrzebę bycia – na rodzimym rynku – pionierem kinowego technologicznego rozmachu połączonego ze zmultiplikowanym przekazem (czerpiącym z antropologicznych obserwacji oraz historycznych, egzystencjalnych i duchowych refleksji). W tej liczbie i obszerności założeń przeskalował swój projekt. Momentami na jego pokazanie nie wystarcza nawet wielkoformatowego ekranu IMAX. Szkoda.

* * *

Tymczasem tuż obok, na wyciągnięcie ręki, mamy przykład sprawdzającej się dziś kinowej magii „Avatara". Widowiska być może uproszczonego – w monologach, rysunku postaci czy wątkach – ale jednak spójnego w przekazie i formie. Wykreowanej przestrzeni, w której widz się nie gubi, w której chce się zanurzyć na czas seansu. I z której wychodzi z paletą obrazów oraz scen, do których chciałby wracać.

eprasa.pl ae11eb359b





HITY i KITY ZAREMBY

Englert niezniszczalny

Premiera filmu dokumentalnego „Jan Englert. Spróbuję jeszcze raz pofrunąć" to wydarzenie towarzyskie. Teraz pokazała go TVP 1. Wyszła laudacja, ale nie mogło być inaczej

Autorem filmu jest Maciej Dancewicz, historyk, twórca kilku dobrych scenariuszy filmów i teatrów telewizji. A sam bohater, do niedawna dyrektor Teatru Narodowego, obwieszcza do kamery, że takie laurki go nudzą.

Czy to laurka? Wypadły tak kłopotliwe wątki, np. kiepskie relacje z bratem Maciejem, niedawnym dyrektorem warszawskiego Teatru Współczesnego. Prześlizgnięto się po temacie rozwodu z pierwszą żoną aktorką Barbarą Sołtysik, z którą Englert ma trójkę dzieci. Zarazem pominięto też wątki wikłające go w spory o kształt polskiego teatru.

Kiedy udzielał mi ostatniego wywiadu przed odejściem, mówił tak: „Teatr Narodowy ma swoją publiczność. Prawda, jest eklektyczny, co hunwejbini mu zarzucają. Teatr Narodowy nie służy poszczególnym grupom, orientacjom. On służy narodowi. Tu musi być miejsce dla każdego". Za takie przekonania bywał atakowany przez teatralną lewicę, przez „Wyborczą".

W filmie nie usłyszymy niczyjego krytycznego głosu – czy to odnoszącego się do jego poglądów, czy do stylu działania jako dyrektora Narodowego (od 22 lat), wcześniej rektora Akademii Teatralnej. Galeria gwiazd opowiada wyłącznie sympatyczne anegdoty.

Tak zwykle bywa z reportażowymi sylwetkami, robionymi we współpracy z bohaterami opowieści. W końcu jedną z producentek filmu jest obecna żona pana Jana, Beata Ścibakówna. To prezent dla niego.

Ale czy to źle? Pod koniec filmu on sam wyraża niesmak z powodu stylu, w jakim Ministerstwo Kultury wypchnęło go z Narodowego. Akurat tego, że nie opowiedziano o tym dobitniej, trochę żałuję.

Ale tym bardziej nie bawiłbym się w ramach tego pożegnania w „demaskacje". Choćby wokół wydumanych oskarżeń, że w swoim znakomitym „Hamlecie" obsadził i żonę, i córkę Helenę. Miał prawo do takiej jednorazowej decyzji – to żaden nepotyzm, a właśnie pożegnanie. Na jego warunkach.

Pozostało sporo scenek ze spektakli teatralnych i z filmów. Ze wskazaniem przełomowego momentu, kiedy Englert stał się naprawdę popularny: roli Zygmunta w telewizyjnym serialu „Kolumbowie" z 1970 r. Ten przegląd pozwolił i mnie raz jeszcze się zadumać. To artysta towarzyszący mi od dzieciństwa. Jeden z dawnych wielkich: teatru literackiego i świetnego kina.

Englert – inaczej niż wielu jego kolegów – zawsze był powściągliwy w manifestowaniu przekonań politycznych, choć jest typowym warszawskim liberałem. Uwielbia za to tyrady: o tym, że aktor jest rzemieślnikiem, a tylko bywa artystą, o tym, jak absurdalnie internet wpływa na rynek artystyczny, że zaczyna królować mierność i bylejakość. Tu prawie ich nie ma.

Pada za to uwaga, że jego ukochanym, dającym poczucie nieśmiertelności zajęciem jest uczenie zawodu młodych ludzi. To żadna kokieteria. Znakomity zespół Narodowego składa się niemal wyłącznie z wychowanków 82-latka – aż po 21-latka Hugo Tarresa, którego obsadził w roli Hamleta.

Najprzedniejszą anegdotę opowiada sam pan Jan – o tym, jak grał w piłkę nożną z Adolfem Dymszą. Znajdźcie to na VOD, razem z kapitalną imitacją głosu Dymszy – aktorzy to umieją. Mamy do czynienia z człowiekiem orkiestrą, bo także świetnym reżyserem. Nie pamiętam go tylko śpiewającego.

Rozstanie z Narodowym to nie koniec. Pięknie zagrał w filmie „Skrzyżowanie". A w Polonii wyreżyserował na trzy głosy (on, Daniel Olbrychski, Maja Komorowska) sławny tekst Sándora Máraiego „Żar".

Pokolenie ludzi, które bawiło się w gruzach po zniszczonej Warszawie, jest twarde.

Piotr Zaremba



„Gąsiornica” – o romansie mamy

Radio Dla Ciebie rzadko robi słuchowiska – są to zwykle nieznane zabytki literackiej klasyki. „Gąsiornica” Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej to ciekawy relikt międzywojennej myśli „antypatriarchalnej”

Te klejnoty realizuje Aleksandra Głogowska, dyrektor programowa RDC. W tym przypadku zajęła się jednoaktówką z końca lat 30., nigdy niewystawianą. Poetka, zmarła w 1945 r. w Anglii, napisała jeden dramat grywany do dziś – pamflet „Baba dziwo”. Resztę zapomniano.

Dostajemy opowiastkę o na pozór szczęśliwej rodzinie. Dorastające dzieci odkrywają, że mama wymyka się z domu, więc pewnie ma romans. Zwłaszcza syn podejmuje zabiegi, aby go przerwać. Autorka niby tylko o tym opowiada, ale nie w smak jej ingerencja w cudze marzenie o szczęściu. Wkłada więc młodemu człowiekowi drażniące deklaracje typu: „Mężczyzna ma honor, kobieta ma cześć”. W jej optyce dzieje się coś strasznego.

Słuchowisko jest sprawnie zrealizowane. Mamy Adama Woronowicza – ojca, Annę Cieślak – matkę, Pawła Krucza – syna, Dorotę Bzdylę – córkę. Towarzyszą im Henryk Talar i Mateusz Banasiuk. Dzięki nim wątły dramaturgicznie bibelocik nabiera tempa, jest sugestywny, chwilami niemal groteskowy.

Rozbawiły mnie jednak dodane do słuchowiska rozmowy dziennikarza RDC Grzegorza Chlasty z Rafałem Podrazą, dziennikarzem przedstawianym jako krewny Magdaleny Samozwaniec, siostry autorki. Podraza dramatycznie opowiadał o losie naszych babek, a złego syna przedstawiał jako potencjalnego członka... ONR.

Tymczasem reakcja dzieci broniących trwałości rodziny nie musi mieć ideologicznych konotacji. Oto w filmie „Moje wspaniałe życie” Łukasza Grzegorzka całkiem współczesny syn walczy ze zdradą matki, a nie przypomina ONR-owca. W serialu TVP „Zaraz wracam” córka odwraca się od matki zdradzającej ojca, co jest traktowane jako coś naturalnego. A jak bywa w życiu?

Nie wszystko trzeba tłumaczyć złymi czasami czy ideologią. Choć pytanie, na ile mamy prawo meblować życie rodzicom, jest boleśnie prawdziwe.



STAROSTECKA ŚPIEWA KOLĘDY

Dopiero co doczekaliśmy się premiery filmu „Uwierz w Mikołaja 2”. Tymczasem Polsat pokazał w te święta pierwszą część „Uwierz w Mikołaja” sprzed dwóch lat. To jeden z wielu nadawanych przez stacje telewizyjne filmów bożonarodzeniowych

Stały się one niemal odrębnym gatunkiem, zwłaszcza w Polsce, gdzie Wigilia ma szczególny charakter. Na ogół są tzw. komediami romantycznymi, która to forma nie budzi respektu. Tyle w nich szantaży emocjonalnych, przesłodzeń, tyle łatwych podziałów na złe i dobre charaktery.

Czy „Uwierz w Mikołaja” to klasyka komedii romantycznej? Niewiele w tej historii elementów humorystycznych. Przeważa nienatrętny, ale jednak smuteczek. Reżyserowała to Anna Wieczur, znakomita jako reżyserka teatralna, umiejąca łączyć empatię z wiernością estetykom i przesłaniom literatury. Gdy staje za kamerą, częściej jest za to wierna uproszczeniom czegoś, co nazwiemy „kinem romantycznym”. Także gdy korzysta ze scenariuszowej rutyny Ilony Łepkowskiej.

Tu rzecz dzieje się przeważnie w Bielsku-Białej, miejscowości przedstawianej przez operatora Jarosława Żamojdę jako rozświetlona metropolia. Młoda kobieta (Agnieszka Więdłocha) – bez pieniędzy, za to z partnerem o złych skłonnościach – szuka dobrego życia dla sześcioletniej, przemiłej córeczki. Inna młoda kobieta (Aleksandra Grabowska) mknie do domu swojej babci w górach, a poznaje tam miłego faceta, któremu nie całkiem ufa. Z kolei babcia (wspaniała Teresa Lipowska) po złamaniu nogi trafia do komfortowego domu seniora. Wszystkie wątki są pomysłowo posplatane.

I kończą się happy endem. Dobrzy są wynagrodzeni szczęściem – nawet rozwiedzione małżeństwo (Dorota Kolak i Cezary Żak) wraca do siebie, bo tak powinno być w Wigilię. W takich chwilach zawsze się zastanawiam, czy złościć się na lukrowany optymizm, czy uznawać go za dobry znak, zachętę do właściwych wyborów.

Te filmy unikają akcentów czysto religijnych, ale tu w domu seniora śpiewa się nawet kolędy.

Tuż przedtem oglądałem film „Miłość jest wszystkim” Michała Kwiecińskiego z 2018 r. Tym razem w krajobrazach zimowego Gdańska też godzą się w Wigilię, dowiadują się, że są kochani, mają żyć długo i szczęśliwie.

Jest jedna rzecz, która wyróżnia „Uwierz w Mikołaja”. Kogóż to nie ma wśród pensjonariuszy zakładu „Happy End”! Bohdan Łazuka, Dorota Stalińska, Marta Lipińska, Ewa Szykulska, Maciej Damięcki (tuż przed śmiercią), Krystyna Tkacz. Chyba tylko Anna Wieczur mogła zgromadzić tyle dawnych wielkości i powierzyć im urokliwe zadania.

Ale prawdziwym przeżyciem było zobaczenie po latach 82-letniej Elżbiety Starosteckiej, Teresy z „Nocy i dni”, Stefci Rudeckiej z „Trędowatej”. ONA jest niemal taka jak dawniej, nadal piękna. I jak przy tym śpiewa kolędy!

BB.

czyli boska Brigitte



Jako aktorka najpierw stała się symbolem piękna i obyczajowej swobody, a potem prawdziwego nonkonformizmu. Wyśmiewała feministki, moralną hipokryzję i polityczną poprawność

Brigitte Bardot zmarła w wieku 91 lat. Choć dożyła sędziwego wieku, jej śmierć poruszyła Francję. Miała w sobie coś, czego nie posiada większość celebrytek i czego nie mógł jej odebrać nawet mijający czas. Coś, co intryguje historyków kina, socjologów i estetyków.

Ostatni raz pojawiła się na filmowym ekranie 54 lata temu w filmie „Gdyby Don Juan był kobietą". Reżyser, a zarazem jej były i pierwszy mąż Roger Vadim, zręcznie odwrócił w nim znaną historię o uwodzicielu, obsadzając w tej roli postać kobiety fatalnej, pragnącej rozliczyć się ze swoim grzesznym życiem. Zeszła ze sceny w 1973 r., niespodziewanie u szczytu sławy, wywołując irytację. Nie pomogły namowy i intratne propozycje, m.in. zagrania u boku Marlona Brando. Nie chciała też zostać kolejną dziewczyną Bonda. Być może kobieta o tak spektakularnej urodzie i seksapilu nie chciała się zestarzeć na oczach całego świata i publiczności.

Stała się ikoną kina, urody i stylu, choć od dzieciństwa cierpiała na ambliopię, czyli tzw. leniwe oko, powodujące zaburzenie widzenia i lekkiego zeza. Powiedziała kiedyś, że nie lubi kina, aktorstwo nie przynosi jej satysfakcji, a występy przed dużym audytorium i kamerą wywoływały stres, z którym nie potrafiła sobie do końca poradzić. Rzadko grała za granicą, bo nie lubiła wyjeżdżać z Francji. Mówiła wprost, że nienawidzi miast, drapaczy chmur, betonu, wind i neonów. Jej bunt przeciwko mieszczańskim konwencjom był raczej buntem przeciwko nowoczesnemu światu. To on wygnał ją z wielkich miast w śródziemnomorskie gaje oliwne Lazurowego Wybrzeża.

OD REWOLUCJI DO KONSERWATYZMU

Jednym z najsłynniejszych filmów, w jakich zagrała, był oczywiście „I Bóg stworzył kobietę" (1956) w reżyserii Rogera Vadima, którego poznała, gdy miała 14 lat. Uderzał spontanicznością i erotyczną odwagą, a cenzura wycięła z niego kilkanaście minut. Dzieło potępiono, przyczyniając się faktycznie do jego rozgłosu, a film ukształtował Bardot filmowo i wyniósł do statusu gwiazdy.

W 1960 r. pojawiła się w „Prawdzie" Henriego-Georges'a Clouzota, gdzie ujawniła się nie tylko jako filmowa seksbomba, lecz także jako ktoś, kogo zachowanie wyrażało rozbudzone u młodzieży apetyty na wolność, życie chwilą i bez zobowiązań. Zagrała też w jednym z najważniejszych filmów Nowej Fali, a więc „Pogardzie" (1963) Jeana-Luca Godarda, w „Życiu prywatnym" Louis Malle (1962) odtwarzała rolę właściwie samej siebie, co miało prowadzić do odczarowania kiczowatego wizerunku gwiazdy filmowej, a faktycznie jeszcze bardziej go mitologizowało.

Wyróżniała się – jak wszystkie aktorki – burzliwym życiem miłosnym, które z dumą uznawała za potwierdzenie swojej wolności. „Time" nazwał ją „francuską kotką", a ona sama prowokowała media do takich określeń. Osobiście nigdy nie chciała być matką, dokonała kilku nielegalnych aborcji. Syna, którego urodziła, oddała pod opiekę rodzinie, dopiero po wielu latach przyznając, jak bardzo go wtedy skrzywdziła.

W latach 50. i 60. XX w. Brigitte Bardot była więc symbolem wolności uderzającym w mieszczańską moralność, zapowiadając falę rewolucji obyczajowej lat 60. Stała się nawet muzą ówczesnej lewicy. Jednak gdy nadeszły wydarzenia maja 1968 r., stała już po drugiej stronie barykady. Lewacką rewoltę określiła mianem „pornograficznego zamieszania", w którym Francja straciła głowę i tradycję. Jak się okazało, z rozczarowaniem przyjęła też posoborowe zmiany w Kościele katolickim, żałując łacińskiej mszy i dostrzegając chęć dostosowania się do modnych nowinek. Po latach przyznawała, że to wtedy rozpoczęło się „rozprzestrzenianie seksu, moralnego i fizycznego ekshibicjonizmu, utraty wszelkiej godności, moralności i uczciwości". To wtedy – jak zauważyła – weszliśmy w „erę pieniędzy, narkotyków, seksu, dekadencji". Jej wspaniałe, bezczelne spojrzenie z perspektywy czasu świadczy raczej o autentycznym nonkonformizmie, zderzającym się raz z bigoterią, a raz z terrorem politycznej poprawności. W jednym z telewizyjnych wywiadów udzielonych w ostatnich latach odcięła się od feminizmu. „Czy można lubić facetów i być feministką? Nie!" – odpowiedziała Bardot.

NA PRAWO OD CENTRUM

Nie bez powodu hołd oddała jej chyba cała francuska prawica – politycy, internetowe portale i dziennikarze. M.in. Éric Zemmour w swym długim i pełnym nostalgicznych wspomnień wpisie o „idealnym uosobieniu Francuzki", jaką stała się dla wielu pokoleń rodaków. Poza nim ciepło wspominali ją oczywiście liderzy Zjednoczenia Narodowego – Marine Le Pen i Jordan Bardella.

Brigitte Bardott już w 1960 r. poparła gen. Charles'a de Gaulle'a. Jak później wyjaśniała, wynikało to z jej wierności „światu, który był" i przekładało się na oddanie człowiekowi, który w jej oczach stanowił jego ostatnią inkarnację. „Myślę, że kochałam de Gaulle'a tak jak mojego dziadka: obaj mieli podobny temperament. Wszyscy, którzy odnieśli podobny sukces, byli tylko jego bladymi i wyblakłymi kopiami, które przez lata stawały się coraz bardziej mdłe, doprowadzając do całkowitej degradacji Francji, w której w naszych opuszczonych wsiach meczety zastąpiły dzwonnice [...]" – wyznawała, krytykując też wyniesienie do rangi normy homoseksualizmu wraz z prawem do zawierania małżeństw i adopcji dzieci.

Fot. EAST NEWS

W latach 70. podobnie jak bliski jej Alain Delon wspierała Valery'ego Giscarda d'Estainga, któremu następnie dziękowała, że jako jedyny szef państwa poparł jej działania w obronie zwierząt. Potem udzielała poparcia rodzinie Le Pen, a w ostatnim czasie partii Powstań Francjo Nicolasa Duponta-Aignana. Od dawna nie miała wątpliwości, że w obecnej sytuacji jej kraj może uratować tylko jakiś ozdrowieńczy wstrząs lub prawicowa dyktatura.



ELEGANCJA I MIŁOŚĆ DO ZWIERZĄT

Przyszła na świat przed wojną, w 1934 r., i była rodowitą Paryżanką, z typowej zamożnej mieszczańskiej rodziny. Roger Vadim wspominał, że od początku urzekł go jej styl, jej bardzo swobodny sposób poruszania się, siadania, patrzenia na innych. „W gestach i ruchach posiadała gracje i elegancję świetnej tancerki klasycznej" – opisywał. Do szkoły baletowej uczęszczała za sprawą matki, niespełnionej artystki. Włosy zaczęła rozjaśniać dopiero później, kreując wiele stylistycznych nowości, takich jak m.in. słynne bardotki, a więc biustonosze z niskim mostkiem i odsłoniętymi ramionami. Wprowadziła do mody m.in. baleriny, kreton w kratkę i paski oraz hipisowską opaskę.

Gdy w 1973 r. w wieku 39 lat porzuciła karierę gwiazdy filmowej, przeniosła się do ulubionego domu w pobliżu Saint Tropez. Tam wybudowała nawet kaplicę, gdzie – jak przyznawała – powróciła do praktyk religijnych wraz z kultem Matki Boskiej i św. Franciszka. Jak powszechnie wiadomo, poświęciła swoje życie i majątek także działalności na rzecz zwierząt. Publiczności wyjaśniała, że skoro jako aktorka oddała swą młodość i piękno mężczyznom, to teraz postanowiła oddać czas i wszystko, co w niej najlepsze, zwierzętom. Sprzedała dużą część swojego majątku, by pozyskać pieniądze dla fundacji pomagającej m.in. bezdomnym psom i kotom.

Od 1962 r. była wegetarianką, występowała też przeciw metodom stosowanym w przemysłowej hodowli zwierząt, m.in. szpikowaniu ich antybiotykami i oczywiście ubojowi rytualnemu.

PRZECIW ISLAMIZACJI FRANCJI

W ciągu ostatnich 35 lat dała się poznać jako zaciekła i radykalna przeciwniczka islamizacji swojego kraju. Największy szok i nienawiść lewicy wzbudziła już na początku lat 90. XX w., gdy w wywiadzie udzielonym „National Hebdo", organowi Frontu Narodowego, krytycznie wyraziła się o „podbijających Francję" muzułmanach. Wtedy też wyszła za mąż za przemysłowca Bernarda d'Ormale'a, zarazem jednego z najbliższych współpracowników Jeana-Marii Le Pena. W pewnym momencie przyznała też, że tęskni za bardziej konserwatywnym społeczeństwem.

Za głośno wypowiadane opinie na temat imigracji państwo francuskie wielokrotnie odpowiadało zarzutami karnymi, stosując paragraf o „podżeganiu do nienawiści rasowej". Gdy w 1997 r. skończyła 63 lata, zapadł w jej sprawie pierwszy wyrok skazujący, a w ciągu następnych lat stała się żywym dowodem na poważne ograniczanie wolności wypowiedzi we Francji. Łącznie skazano ją sześć razy, faktycznie za krytykę masowej imigracji i islamizmu, będącego – jak mówiła – „przerażającym zagrożeniem dla francuskiej tożsamości i kultury". Krytykowała praktyki uboju halal, sprzeciwiała się budowie meczetów. „Wcześniej powiedziałabym, że nie chcę żyć we Francji zislamizowanej, dziś mówię, że nie chcę umrzeć we Francji zislamizowanej!" – oświadczyła.

W 2023 r. skierowała do prezydenta Emmanuela Macrona szyderczy list, w którym zarzuciła mu zadufanie, tchórzostwo, śmieszne wystąpienia, całkowity brak autorytetu, czyniące z niego „nikczemną marionetkę, żałosną ścierkę w sam raz do wycierania krwi i śmierci, którą ściąga na ten kraj". O upadek francuskiej kultury oskarżała lewicę, która „nienawidzi wszystkiego, co eleganckie i co wznosi się choć trochę ponad pospolitość". Sama na pewno była wcieleniem europejskiego piękna, stylu i wolnego ducha.

Maciej Walaszczyk

eprasa.pl ae11eb359b

Żyrafa Medyceuszy

O co chodzi z długoszyim zwierzęciem na renesansowych freskach i obrazach?



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Oglądając włoskie dzieła sztuki z przełomu XV i XVI w., napotkamy na prawdziwą zoologiczną zagadkę. Podziwiamy obraz Giorgia Vasariego z ambasadorami przyjmowanymi przez Wawrzyńca Medyceusza [na zdj.], a tu ponad głowami zebranych widzimy łeb na długiej szyi. To żyrafa. Scena hołdu oddawanego Cezarowi autorstwa Andrei del Sarto – za posągiem przycupnęła żyrafa. Pokłon Trzech Króli Domenica Ghirlandaia – w tle górską ścieżką pośród cyprysów kroczy żyrafa. Kompozycja z mitologicznymi Wulkanem i Eolem namalowana przez Piera di Cosimo – z boku nieśmiało przestępuje z nogi na nogę żyrafa. Za dużo tych żyraf! Sztuka europejska uchwyciła bardzo ciekawe, bezprecedensowe wydarzenie historyczne związane z dworem florenckich Medyceuszy. Oto bowiem w 1487 r. w mieście na północy Włoch pojawił się zwierz o niezwykłej budowie ciała, znany co najwyżej z bestiariuszy.



Fot. Domena publiczna

SPRAWA MAMELUCKA

Pojawienie się żyrafy we Florencji było konsekwencją precyzyjnie zaplanowanej gry politycznej i dyplomatycznej rozgrywanej między dworem Medyceuszy a sułtanatem mameluckim w Egipcie. Wydarzenie to należy rozpatrywać w szerszym kontekście sytuacji międzynarodowej po upadku Konstantynopola w 1453 r. oraz rywalizacji o wpływy handlowe i religijne w basenie Morza Śródziemnego.

Wawrzyniec Wspaniały (1449–1492) był władcą Republiki Florenckiej od 1469 r. i jednym z najpotężniejszych bankierów Europy. Z kolei panujący w Egipcie i Syrii sułtan Al-Aszraf Kajtbaj (1414/18–1496) należał do najważniejszych władców mameluckich – kontrolował Jerozolimę, porty Lewantu oraz szlaki handlu przyprawami. Obaj mieli ogromną władzę. Co więcej, zamierzenia polityczne czy handlowe jednego władcy często zazębiały się

eprasa.pl ae11eb359b

działaniami drugiego, co czyniło ich kraje dyplomatycznymi partnerami.

Kiedy w 1463 r. pod naporem imperium osmańskiego padł Konstantynopol, świat chrześcijański zaczął się obawiać dalszej ekspansji islamu, jednocześnie będąc od niego zależnym gospodarczo. Sułtanat mamelucki kontrolował śródziemnomorskie szlaki handlu przyprawami, takimi jak pieprz, cynamon czy goździki, pobierał opłaty od chrześcijańskich pielgrzymów udających się do Ziemi Świętej i mógł ograniczać lub ułatwiać handel włoskim republikom. Florencja, choć nie była potęgą morską jak Wenecja, utrzymywała banki finansujące handel lewantyński. Bank Medyceuszy udzielał kredytów kupcom działającym w Aleksandrii i Kairze, dlatego stabilne relacje z Egiptem były dla Wawrzyńca kluczowe.

W połowie lat 80. XV w. doszło do poważnych napięć: chrześcijańskie pielgrzymki do Jerozolimy były utrudniane, Wenecja próbowała zmonopolizować relacje z sułtanem, a papiestwo w czasie pontyfikatu Innocentego VIII rozważało kolejną krucjatę. Wawrzyniec postanowił działać poza oficjalną dyplomacją papieską. W latach 1486–1487 wysłał do Kairu własne poselstwo handlowo-dyplomatyczne, którego celem było zabezpieczenie interesów florenckich kupców, uzyskanie przywilejów dla chrześcijan w Ziemi Świętej oraz wzmocnienie osobistego prestiżu pana Florencji jako rozjemcy między Wschodem a Zachodem.

Sułtan Kajtbaj odpowiedział na starania Wawrzyńca szczodrym gestem dyplomatycznym. W 1487 r. postanowił wysłać do Florencji oficjalne poselstwo, kosztowne dary w postaci tkanin i egzotycznych przedmiotów, a przede wszystkim żyrafę. Ten dar był jasnym sygnałem, że Wawrzyniec jest traktowany przez sułtana jak równy partner, a nie zwykły kupiec. Żyrafa była bardzo słabo znana Europejczykom, którzy mogli się o niej dowiedzieć głównie za sprawą tekstów Pliniusza. Dziwne zwierzę, które trafiło do Medyceuszy, było czymś więcej niż przyrodniczą ciekawostką. Posiadanie go dowodziło wpływów rozciągających się daleko poza znany świat, świadczyło o potędze i realnej władzy.

Z PUSTYNI I PUSZCZY DO FLORENCJI

Można sobie jedynie wyobrazić, co musiała przejść żyrafa, zanim trafiła do Florencji. Jej podróż nie jest w żaden sposób udokumentowana. Musiała zostać schwytana w interiorze Afryki Wschodniej, czyli na obszarze jej naturalnego występowania – prawdopodobnie na terenach dzisiejszej Somalii lub Kenii, gdzie zwierzęta te były znane lokalnym łowcom i handlarzom. Stamtąd przetransportowano ją karawaną przez sawannę i pustynię do jednego z portów nad Morzem Czerwonym lub Zatoką Adeńską. Następnie trafiła do Kairu, stolicy sułtanatu Al-Aszrafa Kajtbaja, gdzie być może stała się częścią królewskiej menażerii. Tam przygotowano ją do dalszej podróży jako dar dla Wawrzyńca Wspaniałego.

Kluczowy etap podróży odbył się morzem. Żyrafę załadowano na statek w jednym z egipskich portów (prawdopodobnie w Aleksandrii lub Suezie), a następnie przewieziono przez Morze Śródziemne. Transport tak wysokiego i delikatnego zwierzęcia wymagał specjalnych modyfikacji pokładu – najprawdopodobniej wycięto otwór w górnym pokładzie, aby szyja i głowa żyrafy mogły wystawać na zewnątrz, dzięki czemu zwierzę mogło przyjąć naturalną, wyprostowaną pozycję i oddychać świeżym powietrzem, bez konieczności niebezpiecznego przebywania na pokładzie, co skończyłoby się wpadnięciem do morza. Podróż trwała kilka tygodni i z pewnością obfitowała w różne problemy. Pierwszym i największym było karmienie żyrafy, która żywi się głównie liśćmi akacji. Należało je więc jakoś zabezpieczyć. Jeśli dodać do tego sztormy lub po prostu kołysanie się statku, unieruchomienie zwierzęcia i potencjalne choroby, transport jawi się jako bardzo problematyczny.

Statek z żyrafą dotarł do Pizy – portu kontrolowanego przez Florencję, która leży w głębi lądu, bez bezpośredniego dostępu do morza. Tam zwierzę wyładowano i przygotowano do ostatniego etapu wędrówki – podróży lądowej do stolicy Toskanii, odległej o ok. 80 km. Przemarsz przez góry musiał być powolny i ostrożny: żyrafę prawdopodobnie prowadzono na linach, w asyście opiekunów z Egiptu oraz florenckich strażników. Po drodze budziła sensację wśród lokalnej ludności, która nigdy wcześniej nie widziała takiego stworzenia.

Kulminacją była uroczysta parada we Florencji 18 listopada 1487 r. Żyrafa wkroczyła do miasta Bramą San Gallo, prowadzona przez ulice ozdobione girlandami, wśród tłumów zachwyconych mieszkańców. Wawrzyniec osobiście przyjął dar, a wydarzenie opisali kronikarze, tacy jak humanista Agnolo Poliziano, porównując zwierzę do mitycznego jednorożca.

Ta epicka podróż – od afrykańskich sawann przez kairskie pałace, morze i dalej toskańskimi drogami – nie tylko dowiodła możliwości logistycznych XV-wiecznego świata, lecz przede wszystkim podkreśliła prestiż obu władców: sułtana, który mógł podarować tak rzadki skarb, i Wawrzyńca, który stał się pierwszym Europejczykiem od czasów starożytnego Rzymu posiadającym żywą żyrafę.

We Florencji żyrafa szybko stała się sensacją miasta i żywym symbolem potęgi jego władcy. Mieszkańcy gromadzili się tłumnie, by obejrzeć to niezwykłe stworzenie, które porównywano do mitycznego „kamelopardala" – hybrydy wielbłąda i lamparta. Żyrafę umieszczono w menażerii Medyceuszy, prawdopodobnie w pałacu przy Via Larga (dzisiejsze Palazzo Medici Riccardi) lub w pobliskich stajniach i ogrodach. Dbali o nią opiekunowie przywiezieni z Egiptu, a zwierzę karmiono liśćmi i innymi roślinami, choć dostosowanie do europejskiego klimatu i diety było zapewne trudne. Wawrzyniec osobiście nadzorował jej dobrostan, wykorzystując żyrafę do podkreślania swojego statusu. Wyprowadzano ją więc na spacery po ulicach i pokazywano ważnym gościom, co dodatkowo podkreślało wizerunek Medyceusza, nie bez powodu zwanego Wielkim.

Gest mameluckiego władcy był świadectwem uzyskania stabilnych relacji Florencji z Egiptem. Medyceusze wzmocnili swój międzynarodowy prestiż, a Wawrzyniec ugruntował wizerunek władcy humanisty, gdyż niemal mityczne zwierzę było także domeną wysokiej kultury. Żyrafa stała się narzę-

eprasa.pl ae11eb359b

dziem soft power XV w. – żywym symbolem dyplomacji, który mówił więcej niż traktaty. Żyrafa Medyceuszy jest świadectwem gry, w której Florencja – miasto bez armii i floty – potrafiła oddziaływać na świat dzięki pieniądzom, sztuce i inteligentnej polityce.

PRZEROSŁA WYOBRAŻENIA

Niestety pobyt żyrafy we Florencji był bardzo krótki. Zwierzę padło zaledwie kilka tygodni po przybyciu do miasta, najprawdopodobniej na przełomie grudnia 1487 i stycznia 1488 r. (niektóre źródła wskazują nawet 2 stycznia 1488 r.). Żyrafa skręciła kark, uderzając o belki stropowe za niskiej, prowizorycznej stajni. Wysokość zwierzęcia i długość jego szyi są zaskakujące i nieoczekiwane. Rozmiary żyrafy przekroczyły wyobrażenia jej opiekunów, nie uwzględnili oni także wynikającej z anatomii sztywności szyi i niespodziewanej delikatności zwierzęcia.

Śmierć żyrafy nie zakończyła jednak jej wpływu na renesansową kulturę. Afrykańskie zwierzę stało się inspiracją dla wymienionych we stępie tego artykułu artystów, którzy uwiecznili ją na freskach i obrazach, stając się trwałym elementem medycejskiej ikonografii. Była to pierwsza żywa żyrafa w Europie od czasów starożytnego Rzymu, następna pojawiła się dopiero prawie 300 lat później. Mimo krótkiego życia żyrafa Medyceuszy pozostała świadectwem renesansowej fascynacji egzotyką, efemerycznym, ale niezapomnianym triumfem Wawrzyńca Wspaniałego.

1001 TAJEMNIC ŻYRAFY

Nierozwikłane zoologiczne tajemnice żyraf zaczynają się już podczas próby podziału na gatunki. Zależnie od ujęcia, na podstawie różnic genetycznych, oddzielnych zasięgów występowania, barier rozrodczych, a także widocznych gołym okiem różnic charakterystycznego wzoru na futrze opisuje się nawet cztery różne gatunki żyraf: południową, masajską, siatkowaną i sawannową. Są one dzielone na osiem albo dziewięć podgatunków, ze wskazaniem na możliwy zupełnie inny układ systematyki żyraf. Najczęściej opisy zróżnicowania gatunkowego nieuchronnie zmierzają do uproszczenia i posługiwania się tradycyjnie nazwą „żyrafa" (*Giraffa camelopardalis*). Nie znaczy to, że zróżnicowanie gatunkowe jest wymyślone, wręcz przeciwnie – istnieje, w dużej mierze pozostaje jednak dziewiczym polam do badań zoologicznych.

Jeżeli przyjrzeć się drugiemu członowi nazwy łacińskiej – *camelopardalis* – rzuci się w oczy jej osobliwość. Pochodząca z arabskiego nazwa „zerrafa", przekształcona następnie w „zirafia" i „żyrafa", upowszechniła się dopiero pod koniec średniowiecza, zapewne za sprawą żyrafy Medyceuszy. Oznacza istotę o szybkim biegu lub chodzie – żyrafa może rozpędzić się do prędkości 55 km/h, co nie czyni jej rekordzistką, lecz być może taka prędkość robiła wrażenie w połączeniu z niewiarygodną wręcz posturą i wysokością.

> Była to pierwsza żywa żyrafa w Europie od czasów starożytnego Rzymu, następna pojawiła się dopiero prawie 300 lat później

Jednak dawniejsze, starożytne, pochodzące jeszcze sprzed naszej ery słowo nawiązywało do kształtu zwierzęcia i plam (cętek) na jego sierści: *camelopardalis* oznacza bowiem „wielbłądo-pantera". Tej nazwy używało wielu autorów starożytnych, w tym grecki geograf, podróżnik i dyplomata z przełomu II i I w. – Artemidor. Co prawda z porównaniem do wielbłąda i pantery polemizował już żyjący tuż po nim Strabon, również Grek, który widział żywą żyrafę. Uczony negował jej podobieństwo do wielbłąda, a umaszczenie zwierzęcia opisywał jako podobne do młodego jelenia. Co ciekawe, wiele wieków po Strabonie początkowo umieszczono żyrafę w rodzaju *Cervus* – jeleń.

Żyrafy budziły zainteresowanie jeszcze przed Strabonem i Artemidorem. Znane są z egipskich malowideł i opisu słynnego pochodu zorganizowanego w latach 70. III w. p.n.e. przez Ptolemeusza II, który zawdzięczamy Kalliksejnosowi z Rodos. Pośród wielu zwierząt wymienia on również żyrafę (i wielkiego białego niedźwiedzia). W I w. o żyrafach pisał Pliniusz Starszy, używał jednak słowa *nabus*, którego pochodzenie nie jest do końca wyjaśnione (być może ta nazwa wywodzi się ze starożytnego języka afrykańskiego).

Zoologiczne fakty są jeszcze ciekawsze od skądinąd intrygujących kwestii liczącego tysiące lat nazewnictwa. Żyrafa nie jest bowiem ani panterą, ani wielbłądem, lecz po prostu sobą – najwyższym z żyjących ssaków na Ziemi, bliżej spokrewnionym jedynie ze skrytym okapi. O ich pokrewieństwie świadczą obecne na głowach u żyraf i okapi jedyne w swoim rodzaju rożki, będące czymś pośrednim między rogami a porożem, czyli ossikony. Mogą być dwa, trzy, cztery, a czasem nawet pięć, co czyni te zwierzęta chyba jeszcze dziwniejszymi niż w wersji ze średniowiecznych bestiariuszy, w których żyrafy bywały jednorożcami. Być może z takiego średniowiecznego atlasu pochodzi piękne wyobrażenie żyrafy widniejącej na XVI-wiecznym arrasie wawelskim „Jednorożec-żyrafa i ryś".

Ciekawostką pozostaje też wiele szczegółów anatomii, fizjologii i biologii żyraf. Zaczynając od wysokości zwierzęcia, nie tylko pozwalającej jej na zrywanie swoim czarnym językiem liści z wysoko osadzonych koron drzew na sawannach, lecz także implikującej problemy: kiedy żyrafa się schyla, aby się napić, bez specjalnych struktur zabezpieczających dostałaby wylewu. Wyjątkowość zwierzęcia widać zresztą przy każdym kolejnym wyjaśnieniu: chcąc się napić, musi szeroko rozstawić przednie nogi i pochylić szyję – właśnie pochylić, a nie zgiąć, ponieważ mimo niezmiernej jej długości żyrafa posiada jedynie siedem kręgów szyjnych, tak jak np. kret czy mysz (wszystkie ssaki mają siedem kręgów szyjnych – wyjątkiem są manaty mające ich sześć i leniwce, które miewają nawet dziewięć kręgów szyjnych).

eprasa.pl ae11eb359b

Dział przygotowywany we współpracy z miesięcznikiem
GAZETA BANKOWA
NAJSTARSZY MAGAZYN EKONOMICZNY W POLSCE

Wszystkie klęski wicepremiera

Kryzys w Nowej Lewicy jest widoczny gołym okiem. Program się rozsypał, autorytet liderów słabnie, a spory wewnętrzne coraz trudniej ukryć

Program miał być prosty i nośny. Trzy hasła, trzy obietnice, trzy filary nowoczesnej lewicowej polityki: fundamentalna dla tego środowiska liberalizacja prawa aborcyjnego, tanie mieszkania i cyfrowe, sprawne państwo. Dziś każde z tych haseł wygląda jak osobna historia porażki, a wspólnym mianownikiem tych klęsk jest Krzysztof Gawkowski.

Pierwszy filar – aborcja – na szczęście okazał się polityczną kompromitacją. Projekt liberalizujący prawo został przygotowany bez realnego zaplecza większościowego, bez uzgodnień i bez planu przeprowadzenia go przez Sejm. Efekt? Inicjatywa, którą niesiono najwyżej na sztandarach, przepadła przed wyborami, a Lewica wyszła z tej batalii osłabiona i bezsilna. Zamiast przełomu było symboliczne głosowanie i polityczna porażka, za którą nikt nie wziął realnej odpowiedzialności. Rzecznik rządu Adam Szłapka w niedawnym wywiadzie dla „Rzeczpospolitej" powiedział wprost, że w tym Sejmie i z tym prezydentem nie będzie zmian.

KLĘSKA W BUDOWNICTWIE

Drugi filar – budownictwo tanich mieszkań – nie doczekał się nawet etapu parlamentarnego. Mimo głośnych zapowiedzi Nowa Lewica nie była w stanie przygotować spójnego projektu legislacyjnego. Nie powstała ustawa, nie powstał system finansowania, nie powstał nawet klarowny model, który można by przedstawić wyborcom. W kraju, w którym kryzys mieszkaniowy dotyka milionów ludzi, Lewica ograniczyła się do haseł i konferencji prasowych. Ambicje rozminęły się z kompetencjami.

Najbardziej brzemienny w skutki może się jednak okazać trzeci filar – Krajowy System Cyberbezpieczeństwa, firmowany przez Gawkowskiego jako jego sztandarowy projekt. Ustawa, która miała być techniczną implementacją unijnych regulacji, stała się symbolem nadregulacji, chaosu i – jak twierdzą krytycy – projektu noszącego znamiona systemowego konfliktu interesów. Polityczne kryteria „dostawcy wysokiego ryzyka", możliwość ręcznego sterowania rynkiem, natychmiastowa wykonalność decyzji ministra, brak rzetelnej oceny kosztów dla gospodarki – wszystko to sprawia, że KSC budzi sprzeciw przedsiębiorców i ekspertów, a uwagi zgłosił nawet Rzecznik Praw Obywatelskich. Projekt przewiduje możliwość natychmiastowego wstrzymania korzystania z produktów lub usług konkretnego dostawcy również w sytuacjach, gdy są one niezbędne do funkcjonowania sektorów takich jak farmacja, produkcja żywności czy energetyka. To rozwiązanie niesie ze sobą wyjątkowo wysokie ryzyko, ponieważ ustawa nie wprowadza żadnych etapów przejściowych ani instrumentów łagodzących skutki takich rozstrzygnięć. W efekcie decyzje administracyjne mogłyby z dnia na dzień usunąć wybranych dostawców z rynku, zmuszając przedsiębiorstwa z kluczowych branż do nagłej i kosztownej zmiany wykorzystywanych technologii bez zapewnienia realnych zamienników i czasu na dostosowanie.

Co ważne, w połowie grudnia wicepremier deklarował, że do końca stycznia ustawa będzie uchwalona i trafi do prezydenta. Tymczasem na ostatnim posiedzeniu przed świętami Komisja Cyfryzacji nie ukończyła dyskusji nad projektem, życząc wszystkim wszystkiego najlepszego w Nowym Roku. Nie ma zatem realnych szans, by Gawkowski spełnił swoją deklarację – a zresztą, czy serio mógł nie wiedzieć, że takie tempo jest nierealne?

Jeśli ustawa przejdzie w obecnym kształcie, to w kontrze z dużą częścią biznesu. Pytanie, czy prezydent Nawrocki zdecyduje się złożyć pod nią podpis (duże obiekcje zgłasza Konfederacja), jest coraz bardziej zasadne. Bo czy prezydent, który zawetował ustawę o kryptoaktywach z powodu niekontrolowalnych, ogromnych uprawnień ministra finansów, zaakceptuje takie same uprawnienia dla wicepremiera Gawkowskiego?

CIĄG PORAŻEK

Ten ciąg porażek dostrzega także Włodzimierz Czarzasty. Coraz wyraźniej widać, że stary-nowy lider partii nie wierzy już w polityczną skuteczność Gawkowskiego. W tle toczy się walka o przywództwo – stara gwardia kontra polityk, który miał być nową twarzą Lewicy, a stał się symbolem niespełnionych obietnic. KSC może być w tej rozgrywce punktem zapalnym: albo Gawkowski przepchnie ustawę i weźmie na siebie jej konsekwencje, albo porażka projektu stanie się pretekstem do otwartego zakwestionowania jego pozycji w partii. Bo na razie żaden z szumnie zapowiadanych projektów tego polityka nie doczekał się szczęśliwego finału.

Kryzys w Nowej Lewicy jest widoczny gołym okiem. Program się rozsypał, autorytet liderów słabnie, a spory wewnętrzne coraz trudniej ukryć. Jeśli obecny kurs się utrzyma, konflikt między Czarzastym a Gawkowskim przestanie być kuluarową rywalizacją, a stanie się jawną wojną o przyszłość partii. I wcale nie jest pewne, czy Nowa Lewica wyjdzie z niej w jednym kawałku.

Bartosz Życiński

eprasa.pl ae11eb359b



SŁODKO-SŁONY

Łatwy i zdrowy rosołek

ANNA MONICKA

Buliony kolagenowe zrobiły się modne. Tak bardzo, że można je kupować w butelkach czy słoikach i aplikować sobie codziennie po kilkadziesiąt mililitrów jak cenny lek, który poprawia działanie stawów, jelit, wygląd skóry i włosów. Można też kupić kolagenowe tabletki i shoty. Znane aktorki – także wegetarianki – chwalą się, że młodość zawdzięczają tej niezwykłej zupie na kościach lub ościach. Nasze babcie by się uśmiały, bo kilkadziesiąt lat temu właśnie takie buliony gotowały na niedzielne obiady – od soboty wywary stały z boku na kaflowej kuchni i wypełniały cały dom wspaniałym zapachem. Ba, rosoły to zupy znane i cenione chyba we wszystkich kulturach.

Co właściwie różni te nowe i reklamowane jako „cudowne" od tych sprzed lat – poza dobrym marketingiem i ceną? Trudno powiedzieć, bo każdy wywar na mięsie i kościach może stać się gwiazdą internetu pod warunkiem, że będzie przyrządzony z najlepszej jakości składników i – co dla niektórych jest największym problemem – bez pośpiechu.

Do dziś pamiętam, jak kiedyś na targu w Kowarach kupiłam prawdziwą wiejską kurę rosołową z podrobami i łapkami, do tego ogon wołowy i szponder, kość cielęcą, włoszczyznę, lubczyk (zamiast maggi) i zarządziłam gotowanie zupy (z przefiltrowanej wody) przez cały dzień na minimalnym ogniu. Przyjaciel, u którego mieszkaliśmy w czasie tego jesiennego wyjazdu w góry, kilkanaście lat pracował jako kucharz w angielskiej restauracji. Bez przerwy patrzył mi na ręce, a potem pilnował ognia i niecierpliwie podnosił pokrywkę, żeby sprawdzać smak. Wspólnie zdecydowaliśmy o dodaniu do gara – poza standardowymi czosnkiem, listkiem bobkowym i zielem angielskim – także kawałka papryczki chili, kilku plasterków imbiru, paru goździków i suszonego prawdziwka. Nasza zupa nabierała mocy przez 10 godzin. Mięso w tym czasie wygotowało się na wióry, rozpuściły się chrząstki, a wszystkie soki, witaminy i minerały przeszły do wywaru. Na końcu minimalnie go posoliliśmy, ale i bez tego miał wspaniały, bogaty smak.

Rybny wywar gotuje się krócej, wystarczy godzina, dwie. Także w tym przypadku najważniejsze są składniki – np. dziki pstrąg lub cały turbot z ościami, można dorzucić kilka krewetek z pancerzami, dobre warzywa, płatek glonów nori, żeby podkreślić smak.

Gdy na dworze jest chłodno i wietrznie, te zupy rewelacyjnie rozgrzewają i bardzo sycą.

Fot. Shutterstock



Różne czerwone kulki

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Z punktu widzenia polskiej przyrody bezśnieżna, ciepła zima ma wiele minusów. Ułatwia rozprzestrzenianie się gatunkom inwazyjnym, np. pozbawionym muszli ślimakom: ślinikom luzytańskim. Z powodu braku corocznych mrozów cierpią świerki, cofające się coraz wyżej w góry i coraz dalej na północny wschód. Bez wody z roztopów nie ma wczesnowiosennych kałuż i płytkich rozlewisk, w których w chłodne jeszcze dni pojawiają się przekopnice. Te zaskakująco duże, osobliwie wyglądające skorupiaki z gromady skrzelonogów i rodziny *Triopsidae* jako wiosenne efemerydy są ciekawostką. Często umykają naszej uwadze, ale interesują się nimi kuliki, które, brodząc po zalanych łąkach, wyplątują je długimi, zakrzywionymi dziobami spomiędzy łodyg roślin.

Śliniki i świerki to oczywiście niejedyne organizmy reagujące na zmiany temperatur, a brak wody z roztopów odczuwają nie tylko przekopnice i kuliki. Wyraźnie i dotkliwie odbija się to na całym ekosystemie.

Na pocieszenie można próbować dopatrywać się pozytywnych aspektów ocieplenia. Lekkie zimy sprzyjają sowom pójdźkom – silne mrozy połączone z grubą pokrywą śnieżną regularnie dziesiątkowały ich populację, sprawiając, że ptaki te nigdy nie były u nas liczne. Skrajną rzadkość stanowiły również coraz częstsze obecnie żołny. Ciepło może sprzyjać również żółwiom błotnym, żyjącym u nas przy północnej granicy zasięgu. Jako gady – zwierzęta zmiennocieplne i jajorodne, składające jaja w piasku – potrzebują ciepłych i suchych okresów letnich, żeby jaja się rozwinęły, potrzebne są im także zanikające niestety mokradła i zbiorniki wodne.

Ze zmianami niewątpliwie trzeba się liczyć, przygotowując się do nich w miarę możliwości. A przy okazji zwrócić uwagę, jak objawiają się czasami w drobniejszych rzeczach. Brak śniegu okrywającego gałęzie i brak mrozów, które zwykle o tej porze roku zwarzyłyby delikatne tkanki, nadając im brunatny kolor, sprawia, że w krajobrazie stają się widoczne owoce berberysu zwyczajnego, dzikiej róży i głogu (jedno- i dwuszyjkowego), które zachowały piękny, czerwony kolor. Ich owoce nie tylko stanowią piękny kolorystycznie akcent, lecz także mają zastosowanie lecznicze, są bogate w witaminę C (zwłaszcza berberys i dzika róża) i stanowią zimowe pożywienie dla wielu zwierząt.

eprasa.pl ae11eb359b

3 MIŁOŚCI

Tajemnica Tajemnic



ROBERT TEKIELI

Każdy nowy rok przybliża nas do śmierci. Świętujemy nowość i płynącą stąd nadzieję na odmianę, zakładając, że będzie to zmiana na lepsze. Ale każdy nowy rok wyczerpuje kolejną jedną dziewięćdziesiątą, jedną siedemdziesiątą, jedną czterdziestą czy trzydziestą miarę naszego życia. Nie jesteśmy w stanie do niej dodać nawet jednej nanosekundy. Nie są do tego zdolni również władcy świata, biliarderzy, w swym mniemaniu – panowie życia i śmierci. Jak by się nie miotali.

Co jakiś czas ktoś ekscytuje konsumentów popkultury katastrofą, w której „wyginęły dinozaury". Tak, 63 mln lat temu „się działo", ale 190 mln lat wcześniej było dużo gorzej – nagle wymarło 90 proc. gatunków na Ziemi. Tak się zakończył paleozoik.

Mój ulubiony w dzieciństwie Stanisław Lem: „Okresy zlodowaceń i ociepleń powtarzają się cyklicznie. Ziemia przeżyła co najmniej sześć okresów wielkiego wymierania życia na planecie. Potem to się odradzało. To były brutalne interwencje kosmosu w sprawy ziemskie. Więc ja mam poczucie, że my, ludzie, jesteśmy jak jętki jednodniówki, trzepoczące skrzydełkami nad całym przestworem, a lubimy stawiać siebie i obecne czasy w centrum wszystkiego". Lemowe poczucie chwilowości naszego istnienia wpisuje się doskonale w klimat epoki sartre'owej rozpaczy, ale rozpacz jest grzechem. A ateizm intelektualnym kalectwem.

Piszę te słowa kilka chwil po rozmowie z ks. Janem Perszonem, której powtórki można posłuchać, wpisując do przeglądarki Niepokalana.FM. To nowe, istniejące cztery tygodnie radio internetowe. Codziennie od poniedziałku do piątku od 9.00 do 10.00 w audycji „Makrofon" rozmawiam z ludźmi mądrzejszymi od siebie. Czemu „makro-", a nie mikro-fon? Bo z moimi gośćmi robimy duże fotografie.

Z ks. prof. Janem rozmawialiśmy o kaszubskiej sztuce umierania. Więc najpierw o objawieniu pierwotnym, które owocuje intuicją życia po śmierci w każdej znanej nam kulturze – w każdej z setek kultur istniejących kiedyś i dziś na Ziemi (wniosek zaś z tego właśnie taki, że rozpanoszone dziś na Zachodzie wierzenia w nieistnienie świata duchowego są rodzajem intelektualnego kalectwa). Następnie o tym, że człowiek może odnaleźć sens życia i śmierci tylko w Chrystusie. Ta tajemnica tajemnic jest wypełnieniem nie tylko prawd Starego Testamentu, lecz także intuicji każdej z kultur wywiedzionych z religii, czyli z kultu dobra, a nie zła. Tych demonicznych kultów do czasów nowożytności na szczęście nie było znowu tak wiele. Niestety Syndykat śmierci, Kartel szatana, od 500 lat nabiera coraz większego wigoru.

Nie ma Polski bez katolicyzmu, bez Jezusa przemieniającego serca. I dlatego idąca z Zachodu liberalno-lewicowa pożoga jest dla naszego narodu i państwa śmiertelnym zagrożeniem, równie groźnym, jak imperializmy niemiecki i rosyjski

Jezus jest odpowiedzią na pytanie, czy cierpienie może mieć sens. Bo Jego cierpienie znów otworzyło nam bramy nieba. On jest też odpowiedzią na pytanie, jaki cel może mieć życie. A tę odpowiedź poznajemy dość łatwo, patrząc na owoce, bo naśladowało go tak wielu ludzi, którzy czynnie kochali bliźnich, również swych najbliższych – a tych kochać najtrudniej.

Ks. Jan opowiada też o kaszubskim świecie, w którym śmierć była częścią życia, nie stając się źródłem lęku, bo pozostawała wpisana w obraz świata, w kolej rzeczy, bo nie była wypchnięta z domów do hospicjów i szpitali, bo synowie i córki towarzyszyli – czasami miesiącami – odchodzącym powoli rodzicom, mając sposobność oddać im tę porcję miłości, którą otrzymali jako bezradne dzieci od mamy i taty.

W ogóle z miesiąca na miesiąc coraz chętniej robię duże fotografie – tym łacniej, że sprawy publiczne stają się coraz bardziej oczywiste. Jeśli Polska nie pójdzie drogą Turcji, która w dwie dekady stała się liczącym się podmiotem polityki międzynarodowej, znów znikniemy jako suwerenne państwo. Choćbyśmy zachowali symbole i pozory niepodległości. Jeśli patrioci rychło nie zdobędą się na przejęcie władzy, wydamy na siebie wyrok jako wspólnota.

A w świecie szerokim?

Ilekroć chrześcijanie przybywali do jakiegoś miejsca, rozpędzali mrok. Teraz mrok powraca. Gdy 500 lat temu Europejczykom rozpadł się świat, gdy wyobraźnia skłaniała do tego, aby widzieć się w roli jętki jednodniówki, bezbronnej wobec brutalnych interwencji kosmosu, gdy rozum zaczął się

eprasa.pl ae11eb359b

rozwodzić z wiarą, nazwali ten czas nowożytnością, wcześniej nauczając lud, że nowość to zawsze coś dobrego – jakby nie istniał postęp zła – równocześnie o wszystkie możliwe problemy oskarżywszy chrześcijaństwo... Gdy nowożytny intelektualizm wpędzał naszą cywilizację w coraz głębszą ciemność, intelektualiści nazwali epokę głębokiego upadku oświeceniem. Katolickie Imaginarium przez kilkaset lat walczyło o lepsze z deistyczną, a potem sekularną wizją świata. W XXI w. poniosło totalną klęskę. Wygrała wizja jętki, przegrała prawda – obraz człowieka jako brata Boga wszechmocnego, Boga trzymającego historię w swym wszechwładnym, miłosiernym ręku.

Z wieku na wiek w społeczeństwach Zachodu szerzyła się nie-wiara. Nastał eon wielu kryteriów prawdy, czyli jego braku. Nastał czas wierzeń. A efektem działań kolejnych pokoleń alchemików, okultystów, masonów, magów, adeptów wiedzy tajemnej, swedenborgian, spirytystów, teozofów, neognostyków – i w ogóle twórców każdego nowożytnego systemu wierzeń, w tym ateizmu-monizmu-marksizmu – jest zniszczenie judeochrześcijańskich korzeni europejskiej cywilizacji. A także korzeni rzymskich i greckich. I tu wracamy do naszego ogródka.

Nie ma Polski bez katolicyzmu, bez Jezusa przemieniającego serca. I dlatego idąca z Zachodu liberalno-lewicowa pożoga jest śmiertelnym zagrożeniem dla naszego narodu i państwa, równie groźnym, jak imperializmy niemiecki i rosyjski.

Człowiek staje się wolny, gdy zaczyna widzieć, jak jest. Gdy zaczyna widzieć się takim, jakim jest naprawdę. Liberalne media głównego nurtu zrzucają maski. Przestały udawać, że nie są narzędziami wojny kulturowej z normalnością, z prawdą.

Mająca być symbolem obiektywizmu i lewicowa do bólu BBC w sposób „celowy, złośliwy i podstępny" zmontowała dwa zdania z wystąpienia Trumpa 6 stycznia 2021 r. w jedno, które prezentowało go jako podżegacza do insurekcji przeciwko władzom państwa i ataku na Kapitol. Prezydent USA złożył pozew o 10 mld dol. odszkodowania. Pieniądze mają być wypłacone na fundusz biblioteki imienia Donalda Trumpa...

A my mamy artystów odkrywających co pokolenie, że ojczyznę można rymować z blizną i bielizną. Dziś groźni są ci ostatni. Tym bardziej że przynajmniej 14 proc. Polaków doszło do wniosku, iż dla ich indywidualnej kariery i jakości życia poddanie naszego państwa niemieckiej dominacji nie stanowi problemu. Wykorzenieni. Nie tylko z polskości – również z rozsądku, jeśli myślą, że będą traktowani jak ludzie przez nadludzi.

Kto nadaje światu kształt słowem, ten decyduje o jego losie. Bóg zapytany przez Mojżesza o imię odpowiedział: „Ja Jestem".

Świat jest, jaki jest i jest, jakim go widzimy. Z napięcia między tymi obrazami wyrasta życie wewnętrzne i społeczne. Życie toczy się między rzeczą a słowem. A my mamy słowa życia wiecznego. Mamy receptę na happy end życiowej wędrówki każdego człowieka. Niech on już dłużej nie czeka.

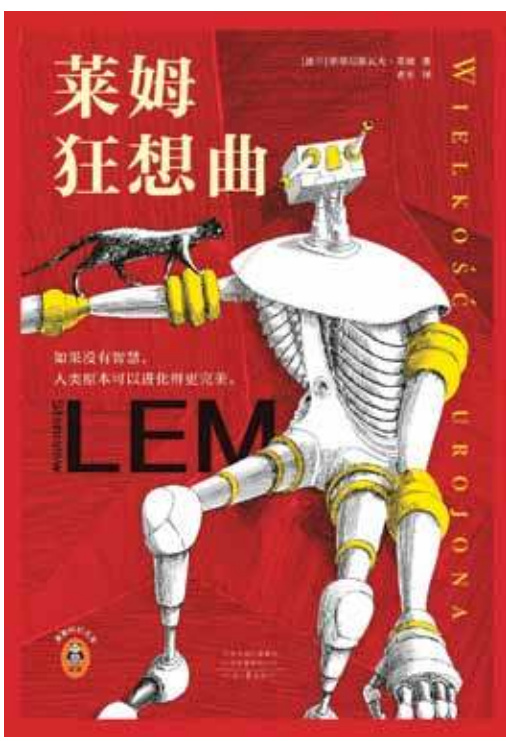
Świat nas nienawidzi. Bo każdy kocha siebie, mój egoizm broni się przed prawdą o sobie. Mamy jednak najlepszy towar na świecie. Prawdziwą nadzieję, radość rozpraszającą depresję, bezinteresowność w działaniu. Matkę Teresę, twórców hospicjów i szpitali. Dziesiątki tysięcy sióstr przewijających pieluchy osób dorosłych. Misjonarzy obmywających rany trędowatych, dotykających ich, kojących dusze. Oni wszyscy robią to z miłości do Jezusa.

Zobaczcie, jakie to w sumie jest szaleństwo. Los, życie rzucone na stos. Spalanie się w działaniu na rzecz mających mniej, potrzebujących serca i chleba. Ludzie zakochani w Kimś, kogo nie mogą dotknąć, kogo ledwie słyszą, i to tylko czasami.

Prawdziwa nadzieja wyrasta z wiary. Nadzieja i pocieszenie płyną również z wierzeń. Tyle że to nadzieja ulotna, fałszywa, a pocieszenie płynące od rzeczy uzależnia. Tylko Bóg jest w swej miłości bezinteresowny, tylko jego więzy nie krępują. Rozsądne jest więc zbliżanie się do Boga.

Jednak zło, odkładające się ze stulecia na stulecie w kulturze Zachodu, pociąga ze straszliwą siłą. Uczestnicy zdechrystianizowanych wspólnot naszej cywilizacji uznali liczne odmiany grzechu za „normalne" i „nieuniknione". Rozwody, aborcja, eutanazja, antykoncepcja, rozwiązłość, cudzołóstwo. Nie ma znaczenia – hetero czy homo. Zło się mnoży i niszczy sumienia, które ulegają dezorientacji i tracą zdolność rozeznania. Struktury grzechu degradują całe narody. Zadbały o to nowożytne, antychrześcijańskie areopagi. Grzech jest osoczem dzisiejszej kultury.

Kultura od zawsze była tworzona przez grzeszników. Tyle że oni zazwyczaj wstydzili się tego grzechu, ich dzieła były lepsze od nich samych.



Aż nadszedł czas, gdy grzech został wzięty na sztandary, zapełnił encyklopedie, wpisano go do konstytucji.

Człowiek, naród, który żyje w grzechach, staje się gorszy. Ma słabszą wolę, niższe morale. Łatwiej mu jeszcze ciężej grzeszyć, bo staje się moralnie ślepy. Który kaznodzieja mówi dziś o piekle, o potępieniu? Mało który opowiada o sprawiedliwości Bożej. A jej czasy właśnie nadchodzą. Tak. Nadchodzi czas Bożej sprawiedliwości. Czas odpłaty.

eprasa.pl ae11eb359b

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Gdybologia i rzeczywistość



www.wojciechreszczynski.pl

Ekspertyzy think tanków, analizy specjalistów od globalnej polityki, wypowiedzi przywódców państw, opinie czołowych światowych mediów – to wszystko poszerza naszą wiedzę, ale nie daje żadnej pewnej odpowiedzi na pytanie, jaka naprawdę będzie najbliższa przyszłość Europy. Jedynie autorzy książek science fiction odnajdują się w tym niepewnym świecie.

„Gdybologia" ma niewiele wspólnego z rzeczywistością, a tym bardziej logiką. Istnieje łacińska zasada: *post hoc ergo propter hoc*, czyli „po tym, a więc wskutek tego". W realnym życiu nie zawsze jest tak, że jakieś zdarzenie następuje w wyniku zdarzenia poprzedzającego je. Związek przyczynowo-skutkowy też ma ograniczone zastosowanie. Przykład? Zakładano, że Rosja boleśnie odczuje sankcje gospodarcze i finansowe nałożone na nią po zbrojnej agresji na Ukrainę. Wojna przecież kosztuje i w końcu Moskwa zrezygnuje ze swojej ludobójczej polityki, bo zabraknie pieniędzy, nowoczesnych technologii itd. Jest odwrotnie. Rosja przestawiła swoją gospodarkę na wojenną i dziś produkuje więcej broni niż cztery lata temu. Poza tym Rosjanie nadal popierają wojnę, przekonani, że jest to nie tylko konflikt z Ukrainą, lecz także z całym zgniłym Zachodem i zachłanną na ich ziemię Ameryką. Jest oczywiste, że w porównaniu z Ukrainą Rosja ma o wiele większe zasoby gospodarcze, militarne i ludzkie, a swoich żołnierzy traktuje typowo po rosyjsku – jak „mięso armatnie".

A Ukraina? Miała się poddać po czterech dniach od ataku na Kijów. Zachód czekał na jej klęskę. Wtedy tylko Polska rzuciła się z pomocą – przede wszystkim militarną i niespotykaną w świecie pomocą humanitarną. Udało się, gdyż Ukraińcy postanowili bronić swojej niepodległości. Nie tak jak w 1920 r., gdy do Kijowa wkraczało dziewięć dywizji polskich i tylko dwie ukraińskie. Mieszkańcy Kijowa witali Polaków i swoich z obojętnością, a odezwy Józefa Piłsudskiego i Semena Petlury do ludności zapowiadające niepodległość Ukrainy nie odniosły skutku. Większość Ukraińców nie chciała się bić z Moskalami. Ani Piłsudski, ani ataman Petlura tego nie przewidzieli. Trzeba było bowiem czasu, aby można było zrealizować treści zawarte w niepodległościowych odezwach.

Dziś jest ten czas. Ukraina ma własne państwo, walczy o nie i nie jest sama. Wspiera ją cały wolny świat, ale czy to wystarczy, by utrzymać niepodległość? Czy wystarczą gwarancje bezpieczeństwa na 15 lat, zaproponowane Ukrainie przez prezydenta Donalda Trumpa? Prezydent Zełenski ujawnił, że wystąpił o gwarancje na 50 lat. O gwarancjach niepodległości dla Ukrainy mówią też liderzy Europy Zachodniej, ale jak dotąd nikt nie zna szczegółów. Plan porozumienia pokojowego ma być podpisany przez USA, Rosję i Europę – można więc przypuszczać, że przez UE i Wielką Brytanię. Ale Ukraina już to przerabiała w 1994 r. Wtedy USA, Wielka Brytania i Rosja zagwarantowały jej suwerenność i integralność terytorialną w zamian za rezygnację z broni jądrowej. Kijów wywiązał się z umowy, oddając Rosji trzeci co do wielkości w świecie arsenał nuklearny, a już wkrótce utracił Krym, potem wschodni Donbas i Ługańsk. Gwarancje polityczne okazały się fikcją – bo zawarte w formie umów międzynarodowych nigdy nie są pewne. Nasz kraj przekonał się o tym boleśnie we wrześniu 1939 r. O sile gwarancji UE dla Ukrainy mogą też świadczyć łamane przez Unię umowy traktatowe, nie tylko wobec Polski. Ponadto reguły demokracji w krajach UE zależą od tego, jaki wyłoni się następny rząd i Rosja wykorzystuje tę słabość. A Putina zastąpi taki sam Putin.

Jakie by zatem były najlepsze gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy? Już cztery lata temu Jarosław Kaczyński sugerował konieczną obecność sił międzynarodowych na terytorium tego państwa. Ten pomysł powraca, ale Rosja uzna go za agresję, a Polska nie powinna się w to angażować. Moskwa domaga się od Kijowa rezygnacji z całego Donbasu i Ługańska (o Krym nikt już nie walczy), znacznej redukcji wojska, rezygnacji z udziału w NATO. Te oczekiwania – nawet jeśli zostaną spełnione – także nie dają Ukrainie gwarancji niepodległości, bo Rosja będzie chciała przyłączyć obwody zaporoski i chersoński i tam odgrzeje wojnę. Moskwa pragnie odzyskać całą Ukrainę, przywrócić swoje wpływy w Europie Środkowej. Niemcy chcą, aby Ukraina była zaporą przed Rosją, a gdy to się nie uda – aby Polska broniła ich na linii Wisły (dokumenty obronne naszego kraju z 2011 r., tzw. linia Tuska). W planach pozostaje pozbycie się USA z Europy i powrót do rosyjskiego gazu. Francji jest wszystko jedno – nikt nie wierzy, że Rosja im zagraża. Na silną obecność Ameryki w Europie liczą tylko te kraje (Europa Środkowa, państwa bałtyckie), które są bezpośrednio zagrożone rosyjskim imperializmem. Czy rząd Donalda Tuska podziela tę opinię? Czy nagła antyrosyjskość premiera jest szczera?

Co winni czynić Ukraińcy? Walczyć i układać się tak, aby za wszelką cenę utrzymać suwerenność państwową.

eprasa.pl ae11eb359b

OGNIEM NA WPROST

Trafić dwa zające jednym strzałem



Andrzej Rafał Potocki

„Zbliżamy się do końca i myślę, że jesteśmy już bardzo blisko porozumienia" – powiedział prezydent USA Donald Trump po spotkaniu z prezydentem Ukrainy na Florydzie. Wołodymyr Zełenski powiedział tymczasem, że w 100 proc. uzgodniono już gwarancje bezpieczeństwa dla Ukrainy. Kontredans dyplomatyczny trwa, a smaku dodają co najmniej kontrowersyjne wypowiedzi prezydenta Ameryki, jak ta, że „Rosja chce, żeby Ukraina odniosła sukces". Słysząc te słowa, Zełenski uśmiechnął się pod nosem, ale bredni nie skomentował. Ot, dyplomacja. Trump wyjaśnił, że kwestia terytorium jest do tej pory nierozwiązana, sugerując, że Ukraina powinna oddać nieokupowane tereny, zanim przejmie je Moskwa. „Te ziemie mogą zostać zajęte w ciągu kilku najbliższych miesięcy, dlatego lepiej zawrzeć umowę już teraz" – stwierdził. Powstaje pytanie, w co gra Donald Trump?

Odpowiedź można znaleźć w opublikowanym przez Biały Dom dokumencie pt. „Strategia Bezpieczeństwa Narodowego USA 2025". Chodzi nie tylko o trwały pokój na Ukrainie, lecz także (może nawet przede wszystkim) o przyszłe relacje USA z UE. Do tej pory w stosunkach z Kremlem Europa okazywała tragiczny brak pewności siebie. W ciągu mijających czterech lat nie była w stanie zbudować fabryk zapewniających niezbędną produkcję pocisków artyleryjskich. Za dwa lata przemysł europejski będzie wytwarzał 2 mln pocisków rocznie, czyli tyle, ile ukraińska armia zużywa w ciągu pół roku. W Waszyngtonie nie zapomniano, że Unia (a szczególnie Niemcy) jest dumnym sponsorem „trzydniowej operacji specjalnej" i to już czwarty rok! Nie zmieni tego żadna pusta retoryka. Dodajmy – jak ujawnił tygodnik „Die Zeit" – że przedstawiciele Niemiec i Rosji nadal spotykają się na tajnych „konsultacjach". Zarządzanie europejskimi relacjami z Kremlem będzie wymagało znaczącego zaangażowania dyplomatycznego USA – zarówno po to, by przywrócić warunki stabilności strategicznej na obszarze Eurazji, jak i w celu ograniczenia ryzyka konfliktu między Moskwą a państwami europejskimi. Wbrew histerii w państwach europejskich, w tym w Polsce, mamy tu wyraźną deklarację, że Stany Zjednoczone zamierzają doprowadzić do stanu, w którym wojna europejsko-rosyjska nie będzie możliwa. Bo dokładnie to oznaczają obie frazy: „przywrócić warunki stabilności strategicznej" oraz „ograniczyć ryzyko konfliktu". Aby tak się stało, konieczne jest jednak wynegocjowanie szybkiego zakończenia działań wojennych na Ukrainie, tak aby ustabilizować gospodarki europejskie, zapobiec niezamierzonej eskalacji lub rozszerzeniu wojny oraz odtworzyć stabilność strategiczną w relacjach z Kremlem, a także umożliwić powojenną odbudowę Ukrainy, by mogła przetrwać jako państwo zdolne do samodzielnego funkcjonowania. W dokumencie użyto formy „to enable its survival as a viable state". Jest ono wzięte z języka biznesowego i oznacza zdolny do samodzielnego bytu, efektywny i wygrywający, realny do wykonania, wykonalny. Strategia Bezpieczeństwa nazywa ten cel żywotnym interesem Stanów Zjednoczonych.

O ile rząd w Berlinie próbuje realizować (przynajmniej oficjalnie) linię antyrosyjską i antychińską, to już jego zaplecze – niekoniecznie. Zresztą co tu mówić o zapleczu, jeśli 5 grudnia Bundestag miażdżącą większością głosów odrzucił wniosek Zielonych i Sojuszu 90 o przekazanie Ukrainie zamrożonych moskiewskich aktywów. Za wnioskiem było 77 posłów, a przeciw 454, w tym koalicja rządząca. Podobny los (130 za i 454 przeciw) spotkał wniosek o zakończenie współpracy niemiecko-rosyjskiej w dziedzinie atomistyki. I jak w takiej sytuacji poważnie traktować europejskich partnerów? Trzeba ich wykiwać, wyprzedzając podpisanie porozumienia z Kremlem w sprawie Ukrainy, a następnie w jak największym stopniu pozbawić ich wpływów w Kijowie, czyli *de facto* przejąć, ile się da, z ukraińskiej gospodarki, której zagwarantuje się zbrojną ochronę. Sprawa diabelsko skomplikowana. Przy tym nasz prezydent Karol Nawrocki przestrzega Donalda Trumpa – i ma rację – że ufanie Putinowi to szaleństwo. Prezydent USA chce trafić dwa zające jednym strzałem: zapewnić trwały pokój na Ukrainie i powoli odsunąć od władzy demoliberalne rządy w UE, zastępując je zdroworozsądkowymi patriotami. Docelowo bezpieczeństwo i trwałość porozumienia miałoby zapewnić wzmocnienie flanki wschodniej – przede wszystkim Polski, a także Czech, Słowacji, Węgier, a nawet Austrii. Z okazji Nowego Roku życzymy administracji USA powodzenia, ale naszym zdaniem raczej nie osiągnie się go w tym podejściu.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl ae11eb359b

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Życzę szkole…



Aleksander Nalaskowski

Mamy taki czas, że – tak jak w starej piosence Czerwonych Gitar – wszyscy wszystkim ślą życzenia. Najpierw świąteczne, a potem noworoczne. Ta piosenka to „Dzień jeden w roku". Swoją drogą autor tekstu musiał się bardzo napracować, aby napisać taką „świecką pastorałkę". Nie ma tam bowiem wzmianki o Betlejem, komecie ani o nowonarodzonym. Niezły slalom. Jest tylko informacja, że to dzień grudniowy. Ale nic poza tym.

A skoro o życzeniach mowa, to będą i one. Jak na pedagoga przystało – belferskie. Otóż życzę szkole, aby przegoniła Nowacką i rozpoczęła mozolny powrót do swoich zasadniczych funkcji. A jest ich kilka, ukształtowanych przez wieki istnienia edukacji sformalizowanej, instytucjonalnej. To korzenie szkoły i jej życiodajne źródła.

Pierwsza z nich to funkcja adaptacyjna. Sprowadza się do tego, aby dziecko potrafiło zaadaptować się do istniejących warunków, by miało zdolność czucia się w szkole jak u siebie. Nie oznacza to, że dziecku wolno w szkole wszystko. Nic bardziej mylnego. Idzie tu bowiem o wpasowanie się i przestrzeganie szkolnej dyscypliny. To nie przychodzi samo – tego trzeba nauczyć.

Dzisiejsza szkoła to instytucja w dużej mierze bezradna wobec własnej misji

Druga jest funkcja emancypacyjna. Najprościej rzecz ujmując, chodzi o to, by dziecko szanowało siebie i innych jako wartość samą w sobie. Aby nie dało sobie wmówić, że jest genialne i wszystko mu wolno, ale też – że jest głąbem i jest do niczego. To taki rodzaj samodzielności, która jest matką wszystkich innych samodzielności. Dziecko bez zdolności emancypacyjnych, skazane na mityczny dobrostan i pajdocentryczne zapędy dorosłych, staje się mentalnym kaleką.

Trzecią funkcją, której życzę szkole, jest wytwarzanie umiejętności rekonstruowania kultury w najszerszym jej rozumieniu. To oznacza, że ni mniej, ni więcej dziecko próbuje znaleźć jakiś porządek, ład, harmonię w kakofonicznym brzmieniu otaczającego je świata. To umiejętność porządkowania bodźców i kształtowania z nich spójnej struktury. Nie da się tego zrobić bez docenienia wartości rodziny, dobrej znajomości języka ojczystego i historii. W tej funkcji główna rola przypada temu, co bywa nazywane czynnikiem humanistycznym i dziedzictwem kulturowym. Dlatego warto hołubić tradycję liceów ogólnokształcących jako małych akademii, gdzie poznaje się i nazywa to, co można by nazwać społecznym spoiwem.

Czwartą funkcją, której życzę szkole, jest funkcja rewitalizacyjna. To tutaj zapadają decyzje, co jest zdezaktualizowanym przeżytkiem, a co jest warte ożywiania i podtrzymywania. To tutaj poszukuje się argumentów na potrzebę znajomości „Pana Tadeusza" czy „Trylogii". To tutaj przekonuje się, że poezja wcale nie jest nudna, a malarstwo abstrakcyjne – niezrozumiałe.

Dzięki tej funkcji jesteśmy wrażliwi zarówno na starożytne, jak i współczesne wcielenia piękna jako pierwiastka, bez którego nie ma świadomego życia.

Ostatnią funkcją szkoły, której jej życzę, jest funkcja selekcyjna. Szkoła jest miejscem, gdzie na przestrzeni lat da się zauważyć, które dziecko jest uzdolnione matematycznie, które przyrodniczo, które manualnie, które twórczo. Tych zdolności możliwych do wychwycenia w przestrzeni edukacyjnej jest oczywiście znacznie więcej i mogą być one zagregowane. Idzie o to, aby je trafnie rozpoznać i odpowiednio pokierować dzieckiem w podejmowanych przez nie wyborach i decyzjach. Ta funkcja obejmuje też rzeczywistą, a nie pozorowaną współpracę z rodzicami – o ile im na takiej współpracy w ogóle zależy.

Model szkoły, który zarysowałem w powyższych życzeniach, może się wydać mocno zachowawczy. Bo jest taki w istocie. To zabieg absolutnie świadomy i według mnie nader pożądany. Obecnie szkoła jest organizacją chaosu, instytucją obciążoną idiotycznymi zaleceniami, programami, działaniami i politycznymi oczekiwaniami. W dużej mierze jest to restrykcyjnie zorganizowana strata czasu, nieefektywna maszyneria, błędne koło złych decyzji, zbiór pogardzanych i spauperyzowanych pracowników. To instytucja w dużej mierze bezradna wobec własnej misji. Nie ma w niej miejsca ani na twórczość, ani na odtwórczość. Jest bowiem do cna skażona kategorią pozoru, udawania, mistyką frazesów o misji i doniosłości. Obecna szkoła nie jest ani sprawna, ani niesprawna. Jest żadna, boleśnie nijaka, skazana na galaretowatą przeciętność, a przez to nudna i w gruncie rzeczy wroga.

Jedynym rozwiązaniem jest powrót do korzeni – modelu, w którym szkoła funkcjonowała jako zdyscyplinowana, jednoznacznie kierowana instytucja, w której nie było wytatuowanych nauczycieli z kolczykami w nosie, w której było po prostu przyzwoicie. Szkoła, w której zadawano prace domowe, robiono klasówki, odpytywano z lektur i wożono dzieci na wycieczki krajoznawcze. Takiej szkoły życzę szkole, dzieciarni, nauczycielom i nam wszystkim.

eprasa.pl ae11eb359b

Michał Korsun prezentuje:
Brigitte Bardot: Królowa Zwierzęcych Serc



Wycinki z przeszłości

W 1934 r. „Nowa Gazeta" opisywała osobliwy sposób na uniknięcie podatku od psa. Mieszkaniec Łodzi otrzymał wezwanie do zapłaty należności, a w odpowiedzi wyjaśniał urzędowi: „Wobec wielkiego kryzysu i panującej nędzy pies został zjedzony, wobec czego podatku płacić nie myślę". Trudno powiedzieć, czy naprawdę tak się stało, czy był to gorzki humor.

(sp)


DZIŚ 12 STRON
NOWY CZAS
10 gr
Pracownicy i pracodawcy!
Nie będziemy płacić na ubezpieczenia społeczne
Każdy dowie się dziś z tabeli na str. 6 i 7-ej
Kongres urzędników
Orędzie Hitlera
Jakie będą losy dolara?
...„Pies został zjedzony...
więc nie zapłacę podatku"...
ŁODZ. 17.1. Tel. wł. — Marcin Pie-
W odpowiedzi na to wezwanie Pie-
podatkowego krótki, lecz bardzo zna-
„Szanowny Magistracie. Donoszę u-
i panującej nędzy pies został zjedzo-
ny, wobec czego podatku płacić nie my-

Z WOLEJA

Polski sport jest kobietą!



Ryszard Czarnecki

To nie ukłon wobec dam – to stwierdzenie faktu. No prawie. Ale to żadna propaganda. Świadczą o tym wyniki Biało-Czerwonych w 2025 r. Nasze damy zdobywały medale i tytuły mistrzostw świata i Europy, dla nich grano najpiękniejszą melodię na globie, czyli „Mazurka Dąbrowskiego". Podbijały stadiony, korty, ringi. Polscy huzarzy polskim damom mogą tylko mocno zazdrościć.

A oto dowody. Zacznijmy od tzw. białego sportu. Iga Świątek po raz pierwszy wygrała Wimbledon, a na koniec sezonu była druga. Należy to bardzo docenić.

Skoro jesteśmy przy kobietach – globalna dominatorka w kajakarstwie górskim AD 2025 to nasza rodaczka, wicemistrzyni olimpijska Klaudia Zwolińska. Na mistrzostwach świata zdobyła dwa złote medale i jeden brązowy.

W ubiegłym roku polski sport ponownie w wielkiej mierze był kobietą. Choćby mistrzyni olimpijska z Paryża (jedyne złoto dla Polski) – Aleksandra Mirosław wysłuchała „Mazurka Dąbrowskiego" za mistrzostwo globu i ponownie pobiła rekord świata. To już jej trzeci tytuł mistrzyni (ma jeszcze trzy brązy).

W naszym – w tym roku wyjątkowo medalodajnym – pięściarstwie kobiety znów potęgą były i basta!, trawestując Wyspiańskiego. Złoty medal Anety Kaczmarskiej oraz srebrne Anity Rygielskiej i Julii Szeremety dały nam piąte miejsce w klasyfikacji generalnej (obie płcie), choć mężczyźni nie wywalczyli żadnego medalu! W tabeli medalowej nasze dziewczyny były na trzecim miejscu. A gdyby nie niesprawiedliwe werdykty, to tylko dzięki nim Polska byłaby na trzecim miejscu w tabeli koedukacyjnej! Na dodatek jesienią Polki wygrały klasyfikację medalową młodzieżowych mistrzostw Europy.

Wreszcie jedyny dla Biało-Czerwonych medal lekkoatletycznych mistrzostw świata zdobyła też kobieta, nasza rodaczka z Białorusi Maria Żodzik. To srebro smakowało chyba jeszcze bardziej niż drugie miejsce Polski w drużynowych mistrzostwach Europy i sporo medali (dwa złote, srebrny i brązowy) w halowym czempionacie Starego Kontynentu (skończyliśmy je na piątym miejscu).

A na deser jedna z najlepszych futbolistek świata – Ewa Pajor, która podbija hiszpańską żeńską La Ligę (tak naprawdę nazwa brzmi: Liga F). W tym roku do pięciu tytułów mistrza Niemiec w barwach Wolfsburga dołożyła mistrzostwo Hiszpanii w koszulce FC Barcelony i finał Ligi Mistrzyń – pierwszy z klubem z Katalonii, ale dla niej już... piąty. I ta mistrzyni Europy do lat 17 z reprezentacją Polski (12 lat temu) została Królową Strzelczyń w lidze hiszpańskiej – jednej z dwóch najmocniejszych na Starym Kontynencie. „Lewy" w spódnicy? I mało jej, mało, mało...

Polski sport kobietami stoi i basta!

eprasa.pl ae11eb359b



OD A DO ZYBERTOWICZ

Nie przeklikać życia

Jako społeczeństwo ery cyfrowej powinniśmy mieć tylko jedno zbiorowe postanowienie: zacząć znowu myśleć samodzielnie

Ponad połowa Polaków przyznaje, że ma noworoczne postanowienia. Jak wynika z niedawnego sondażu przeprowadzonego dla Wirtualnej Polski, najczęściej obiecujemy sobie żyć zdrowiej i oszczędniej. Ale prawie co dziesiąty badany postanawia: „Zdobędę nowe umiejętności".

A czy słyszeliście o Międzynarodowym Badaniu Umiejętności Dorosłych (PIAAC – Programme for the International Assessment of Adult Competencies)? Bardziej znana jest PISA, czyli Program Międzynarodowej Oceny Umiejętności Uczniów (Programme for International Student Assessment).

Ostatnio Polacy w obu wypadają coraz gorzej.

TABLET ZAMIAST PAPIEROWEJ ANKIETY

Polski raport pt. „Główne wyniki międzynarodowego badania umiejętności dorosłych PIAAC 2023" został opublikowany w grudniu 2024 r. przez Instytut Badań Edukacyjnych. To już druga edycja badań kompetencji dorosłych – pierwszą zrealizowano w 2012 r.

Poza sprawdzeniem, czy umiemy czytać ze zrozumieniem i liczyć, obecna formuła została wzbogacona o sprawdzian radzenia sobie w cyfrowym świecie. W związku z tym w ostatniej edycji respondenci odpowiadali na pytania i rozwiązywali zadania, używając wyłącznie tabletów.

EDUKACJA POSZŁA W LAS

Wyniki badań sprzed dekady (2012) dawały Polsce miejsce w stanach średnich. Najnowsze – spychają nas do grona najsłabszych uczniów.

Badanie PIAAC (podobnie jak PISA) ocenia umiejętności na skali od 0 do 500 pkt. W 2012 r. średni wynik Polaków w rozumieniu tekstu wynosił 267 pkt, a w umiejętnościach matematycznych – 260 pkt. W 2023 r. dla czytania ze zrozumieniem średni wynik to 236 pkt (spadek o 31), dla umiejętności matematycznych – 239 pkt (spadek o 21).

Wygląda, jakbyśmy w ostatniej dekadzie cofnęli się edukacyjnie. Wprawdzie umiejętności w zakresie rozumienia tekstu spadły lub pozostały na podobnym poziomie w większości z 31 uczestniczących w badaniu krajów, ale to w Polsce spadły bardzo wyraźnie. Znaleźliśmy się w towarzystwie Litwinów, Włochów, Hiszpanów i Greków, daleko za Estończykami i Czechami. A jedynym krajem, który znacząco poprawił się w obu umiejętnościach, jest Finlandia, co badacze przypisują skuteczności systemu edukacyjnego w tym kraju.

JAK KUKIEŁKI

Eksperci z Instytutu Badań Edukacyjnych mówią, że polskie wyniki mogą być niedoszacowane, gdyż polscy respondenci wykazywali niskie zaangażowanie i „rozwiązywali" zadania rekordowo krótko (na niektóre złożone pytania odpowiadali w mniej niż 5 sek). A dokładniej: Polacy często po prostu mechanicznie przeklikiwali się przez kolejne polecenia.

Rozwiązując zadania, które z natury rzeczy wymagają skupienia i analizy, polscy respondenci zachowywali się tak, jakby jak najszybciej chcieli mieć test z głowy, klikając: „Dalej" albo „Pomiń", bez dokładnego wczytania się w polecenia.

MYŚLĘ, WIĘC JESTEM

Nie jest to zatem tylko kwestia braku wiedzy – to raczej niechęć do wysiłku intelektualnego. Czyżby raport PIAAC przy okazji ujawnił naszą nową cyfrową naturę?

Osaczeni króciutkimi filmikami, których pełno w mediach społecznościowych, karmieni emocjonalnie nasyconymi nagłówkami, treściami podawanymi w punktach, utraciliśmy cierpliwość do czytania ze zrozumieniem. I nie chodzi tu o przysłowiową niechęć do czytania rozwlekłych instrukcji obsługi.

Paradoks tej sytuacji polega na tym, że formalnie jesteśmy społeczeństwem coraz lepiej wykształconym, a jednocześnie sztuczna inteligencja pisze za nas e-maile, streszcza nam raporty, w prostych słowach wyjaśnia to, czego nie rozumiemy, a nawet podpowiada decyzje.

Na pierwszy rzut oka to wydaje się wygodne, a nawet racjonalne – korzystamy ze zdobyczy cywilizacyjnych. Ale gdy algorytmy przejmą proste, powtarzalne czynności, my – dalej bezmyślnie przeklikując rzeczywistość – nawet nie zauważymy, jak AI po prostu zastąpi nam rozum.

Jeśli nowy rok potraktować jako nowe otwarcie, to jako społeczeństwo ery cyfrowej powinniśmy mieć tylko jedno zbiorowe postanowienie: zacząć znowu myśleć samodzielnie.

Katarzyna Zybertowicz

Autopromocja x2

eprasa.pl ae11eb359b

NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

Wybierz swój Paczkomat®
i czytaj SIECI
już w poniedziałek



Zyskujesz też możliwość czytania SIECI na telefonie



- **dostawa już w poniedziałek** przez Paczkomat®
- dodatkowo **dostęp do e-prenumeraty** SIECI i e-booków Sieci Extra niedostępnych dla innych czytelników
- **cena niższa niż w kiosku** – tylko 9,39 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)
- opcja zmiany na inny Paczkomat® (np. na czas urlopu)
- darmowa dostawa

Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!

prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl ae11eb359b

Stawiamy na rozwój telewizji wPolsce24



Mobilne centrum transmisyjne
to **telewizja bliżej widzów**

Chcemy być wszędzie tam,
gdzie **bije serce Polski!**

WESPRZYJ patriotyczne media

numer konta: **69 1020 4900 0000 8202 3036 2577**

tytuł wpłaty: **DAROWIZNA**

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl ae11eb359b